

# BEZ DEKRETU

---

---

**W numerze:**

- „SOLIDARNOŚĆ” W HUCIE LENINA
  - ZLIKWIDOWAĆ KOPALNIE
  - W CO WIERZY ZACHÓD ?
  - CZY MOŻNA ŻYĆ W PRL ?
- 
- 

**KRAKÓW NR 21**

---

# BEZ DEKRETU

---

PISMO CZŁONKÓW i SYMPATYKÓW  
*SOLIDARNOŚCI*

**NR 21**

---

**KRAKÓW 1989**

---

---

## SPIS TREŚCI

---

### NASZA ROZMOWA

1. Ona będzie, bo ludzie jej chcą - rozmowa z Piotrem Polmańskim.... 3

### TEMATY

2. Lesław Maleszka - Komitet Organizacyjny HiL-u ..... 9  
3. Ernest Skalski - Czarna dziura ..... 14  
4. Ewa Łosińska - Studium wojskowe na cenzurowanym ..... 18

### KLASYCY

5. Karl R. Popper - W co wierzy Zachód? ..... 24

### SPOSÓB NA ŻYCIE W PRL

6. Witold Beres - Ostatni gasi światło ..... 35  
7. Ewa Brzęczykowska - Polityka na poziomie trawnika ..... 39  
8. Tadeusz Maks - Czy można żyć z podziemia? ..... 45  
9. Jarosław Gowin - Dokąd jedziesz miody klerku? ..... 47

### BLOK WSCHODNI

10. Najpierw musi nastąpić upadek systemu - rozmowa z Mykołą Rudenko. 50  
11. A.S. - Kto chce być psem prezydenta? ..... 56  
12. Rumunia: komunizm narodowy - rozmowa z Michałem Botezem ..... 58

### OMÓWIENIA

13. Bronisław Wildstein - Klęska myślenia ..... 65  
14. Szymon Dawidowicz - Zrozumieć stalinizm ..... 68  
15. Piotr Heszen - Powicońie ..... 71  
16. Konrad Struga - Tumany i fetysze: Czerwony z orłem w koronie .... 72

© Copyright by "Bez Dekretu"

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Bogusław Sonik, Paryż, Francja

---

# NASZA ROZMOWA

## Ona będzie bo ludzie jej chcą

Rozmowa z Piotrem Polmańskim

Piotr Polmański. Pracownik kopalni "Andaluzja" w Piekarach. W kopalni przepracował jedenaście lat. W czasie sierpniowego strajku skończył 34 lata. Na przyjęciu urodzinowym miał 2,5 tys. gości. Obiecał im wszystkim po ciastku, lecz nie zdołał się z tego wywiązać. Ma nadzieję, że się nie obrażą. Przygotowuje się do obrony pracy magisterskiej na Wydziale Prawa Uniwersytetu Śląskiego. Roczne opóźnienie spowodowane zostało wydarzeniami politycznymi. Jest żonaty, ma trójkę dzieci. Ma również dwóch braci, którzy też pracują na dole w kopalni. Eugeniusz jest mechanikiem precyzyjnym i cieślą górniczym. Leszek, prócz tego, że jest górnikiem, studiuje na drugim roku teologii w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Katowicach. Jedną z trzech siostr Piotra jest zakonnica w klasztorze Boromeuszek w Mikołowie. Był przywódcą strajku sierpniowego w kopalni "Andaluzja". Z ramienia Krajowej Komisji Górnictwa NSZZ "S" jest delegatem do rozmów "okrągłego stołu". Prezentowaną poniżej rozmowę przeprowadzono na początku listopada 1988 r.

**BEZ DEKRETU:** *Zacznijmy może od początków Twojego zaangażowania w "Solidarność".*

**PIOTR POLMAŃSKI:** Kontakt z Solidarnością rozpoczął się od mojego uczestnictwa w KS z sierpnia 80 r. Następnie krótko przed wprowadzeniem stanu wojennego zostałem sekretarzem samorządu kopalni, a przez 16 miesięcy byłem wiceprzewodniczącym NSZZ "S" na oddziale, w którym pracowałem. Już od wprowadzenia stanu wojennego zebraliśmy się w kilkanaście osób, które postanowili się temu nie przyglądać biernie. Ja osobiście nie byłem internowany, ale skazany przez Kolegium d/s Wykroczeń i aresztowany przez trzy miesiące.

Po przełamaniu pierwszej bariery strachu zabraliśmy się ostro do roboty. Ta nasza nieformalna grupa zaczęła działać gdzieś od 83 roku, gdy zorganizowaliśmy pierwszą w Piekarach bezalkoholową Barbórkę. Zналиśmy osobiście ks. Jerzego Popieluszkę, zналиśmy Jego homilie, Jego Msze św. za Ojczyznę. Od Niego uczyliśmy się wartości chrześcijańskich i wierności tym wartościom.

Z upływem czasu te nasze działania były bardziej przemyślane, skoordynowane, skuteczne, a jednocześnie coraz bardziej niebezpieczne dla dyrekcji. Zaczynały się już wo-

kół nas jakieś zabiegi, przenoszenie z oddziału na oddział, "oddziały karne" itp. Ale w momencie, gdy człowiek poprzez przyjęcie jakichś wartości staje się bardziej wolny, to tego typu szkany właściwie nie sprawiają najmniejszej przykrości. Myśmy się z tego właściwie cieszyli. A Dyrekcja popełniła jeden kolosalny błąd, który zresztą powie-lała do samego końca. Przerzucali nas po wszystkich oddziałach, a my poznawaliśmy lu-dzi w całej kopalni, na każdym oddziale robiliśmy swoje, skupialiśmy wokół siebie lu-dzi.

Te represje, które trwały przez całe siedem lat, nie rozbiły naszej grupy. Wręcz przeciwnie, scementowały ją do tego stopnia, że w marcu br. złożyliśmy wniosek o re-jestrację Komitetu Założycielskiego NSZZ "S" Pracowników KWK "Andaluzja". Byliśmy pier-wszą kopalnią w Polsce, która złożyła taki wniosek. A jeszcze wcześniej, w styczniu, ukazał się artykuł w "Gościu Niedzielnym" pt. "Na przykładzie Andaluzji", pod którym podpisaliśmy się w liczbie trzynastu osób. Ten artykuł rzeczywiście wstrząsnął kopal-nianym betonem. Cała Polska się dowiedziała o katastrofalnej sytuacji w górnictwie, o machlojkach i zaniedbaniach. Dyrektor nie mógł nam wybaczyć, że "obsraliśmy" mu "jego" firmę. Represje wzmożyły się na tyle, że każdy z nas miał na swoim koncie kary regulami-nowe i to za byle co. Górnik zjeżdża na dół ze świadomością, że przepisy BHP są i mu-szą być łamane. W takiej sytuacji każdy pracownik może, ale nie musi być ukarany. Akur-rat w tym przypadku "należało" nas ukarać, kierownicy poszczególnych oddziałów wykorzy-stali więc tę możliwość. Mieliśmy już na koncie wszystkie możliwe kary i pewnie byśmy wylecieli z roboty, gdyby nie to, że po artykule w "GN" dyskretną opiekę sprawował nad nami biskup ordynariusz diecezji katowickiej.

B D: *A na uczelni nie miałeś kłopotów?*

P P: Nie. Odsiadka w 82 roku przypadła na drugi semestr, chyba najważniejszy na stu-diach. Ale dziekan Jasica bardzo mi wtedy pomógł, przedłużył sesję i jakoś się wyka-rskaliśmy.

B D: *Na jaki temat piszesz pracę magisterską?*

P P: Piszę u prof. Pazdana na temat "Problem winy małżonków w procesie rozwodowym". Mam już roczne opóźnienie, ale trzeba się będzie sprężyć. Praktycznie to pracę mam już napisaną, muszę tylko poprawić drugi rozdział. Ale to już moje tarapaty.

B D: *Wródmu zatem do głównego tematu, do "S". Pierwsze strajki na Śląsku wybuchły już w lipcu.*

P P: W lipcu "Andaluzja" nie strajkowała, była tylko 4-godzinna przerwa na jednym z od-działów chodnikowych. Ale strajki objęły znaczną część kopalń ściśle śląskich /bó Jastrzębie i Rybnik już trochę wykraczają poza ten właściwy Górny Śląsk/, w sumie 10. Krótkie strajki, w dniach od 15 do 19 lipca.

B D: *O co strajkowano?*

P P: Główną przyczyną były płace. Postulat legalizacji "S" pojawił się dopiero w sier-pniu. Od 1 lipca miała wejść w życie podwyżka dla górnictwa, którą ktoś później zamie-nił na "reorganizację plac". W ramach tej reorganizacji ludzie nic nie zyskali, a wręcz stracili po kilka tysięcy. Ktoś nawet na cechowni wysunął postulat zaprzestania podwy-żek plac, bo tylko na tym tracimy. Inicjatorem tych strajków ekonomicznych była "S", ale OPZZ w pewnym momencie przechwycił te strajki, tak że w kopalni "Bolesław Śmiały" gdzie podpisywano uzgodnienia, podpisywali je ludzie z nowych związków.

B D: *Czy te strajki lipcowe miały jakiś związek z tymi z sierpnia?*

P P: Tak, to było preludium do sierpnia. Problemy placowe pozostały nie rozwiązane i do tego doszła sprawa legalizacji NSZZ "S".

B D: *A jak zaczęła się wasz sierpniowy strajk?*

P P: Mielismy z "Manifestem" taki cichy układ, że jeśli do 15 sierpnia nie odblokują Karty Górnika, to gdy jedna kopalnia zastrajkuje, to druga zaraz zrobi strajk solidarnościowy. Było to przygotowywane gdzieś na szesnastego, siedemnastego, tymczasem "Manifest" wyskoczył już piętnastego. My ruszyliśmy siedemnastego, a między nas zdążył jeszcze wskoczyć "Worcinek". W sumie stanęło w sierpniu dwanaście kopalń. Całe Jastrzębie, Żory. Tutaj, z tych rzeczywiście śląskich kopalni, tylko "Andaluzja" i "Le-nin" /półtorej doby/.

B D: *Dlaczego na Górnym Śląsku nie ruszyło tak jak w Jastrzębiu?*

P P: Ja to przypisuję słabości struktur "S". Gdyby w każdej kopalni była choć grupka, która by strajk przygotowała, to pociągnęłyby się to inaczej. Materiał na strajk był, niezadowolenie wśród ludzi ogromne. Przy umiejętnym pokierowaniu tymi nastrojami strajk musiałby być. Ale Śląsk to jest taki walec, który trudno rozkołysać, poruszyć. Za to jak już ruszy, to trudno go zatrzymać. Dziś te struktury powstają i na pewno powinno być lepiej przy kolejnym przesileniu społecznym, które, jeżeli władza nie popuści, na pewno przyjdzie.

B D: *Ale sam powiedzieliście, że strajk się nie robi sam, że musi być grupa ludzi, która go przygotowuje. Jak to wyglądało w "Andaluzji"?*

P P: Do strajku przygotowaliśmy się już od kwietnia. Pierwszy termin był wyznaczony na jedenastego maja, ale dziesiątego wyszli stoczniowcy, więc w ostatniej chwili odwołaliśmy. Nie było sensu robić sztafety. Ale program zorganizowania strajku leżał na półce. Niebawem się przydał. Zorganizowanie strajku wymagało sporą robotę, powiadomienia całego sztabu ludzi. Uważaliśmy, że musimy mieć grupę inicjującą - gdzieś około 100 osób. Gotowi byliśmy na siedemnastego na nocną zmianę. Przygotowaliśmy przez ten jeden dzień masę prasy, ulotki itp. Chłopy wytypowali mnie, żebym rozpoczął wiec, bo wszystko miało się zacząć od wiecu pod bramą. O 21 zebrałiśmy sporą grupę ludzi i kiedy podjechali pierwsze kopalniane przewozy, zaczęłam przemawiać. Pomógł nam wtedy jeszcze jeden członek niezwiązkowy. Był pijany jak bela i w takim stanie się pokazał wśród ludzi. W dodatku naczelny inżynier kopalni próbował się na niego powoływać. I wtedy ludzie nie wytrzymali. Nie mieliśmy żadnych kłopotów z związaniem strajku. Mnie wybrano przewodniczącym Komitetu Strajkowego.

B D: *Jakie wysunęliście postulaty?*

P P: Od początku miał to być strajk o "S". W Jastrzębiu pierwszy postulat brzmiał: \*Reaktywować NSZZ "S" a my przez łącznika wpłynęliśmy na to, żeby jego treść zmienić, żeby nie dotyczył tylko "S", ale w ogóle pluralizmu związkowego. Sama "S" to jeszcze nie jest pluralizm. Były też oczywiście inne postulaty. Prócz naszych lokalnych, zakładowych, mieliśmy jeszcze cztery ogólniejsze, które w całości weszły w skład tych dwunastu wysuniętych przez MKS-Jastrzębie. Po pierwsze, oczywiście pluralizm związkowy. Po drugie, niezależnienie służb BHP od dyrekcji kopalni. Po trzecie, przywrócenie kopalniom osobowości prawnej. W chwili obecnej zniesiono gwarectwa, ale utworzono przedsiębiorstwa, czyli w dalszym ciągu kopalnie nie będą miały osobowości prawnej, lecz tylko, jak to określił Szlachta, większą samodzielność przy rozstrzygnięciu niektórych spraw. No i czwarty, płacowy, który był identyczny z jastrzębskimi.

B D: *Opowiedz teraz o przebiegu strajku.*

P P: W ciągu tych długich siedmiu dni działy się rzeczy niesamowite. Pierwsze trzy dni były raczej spokojne, milicja dopuszczała rodzinę do bramy. Było bardzo upalnie, chłopcy zdążyli się przez ten czas mocno opalić. Dowody sympatii dochodziły z całego kraju, nymy wysłali swoich łączników do Gdańska i do Jastrzębia. Początkowo obawialiśmy się ZOMO. Teraz z pewnej perspektywy widzę, że to nie było realnym zagrożeniem, ale był to nacisk psychologiczny. Ja o tym wiedziałem, trudno było jednak przekonać o tym wszystkich strajkujących. Mielismy na świetlicy konia trojańskiego - telewizor. I jak Kiszczak w swoim wieczornym przemówieniu zaczął mówić o stanie wyjątkowym godzinie politycznej, o tym, że na "Andaluzji" stosują terror, jak również w telewizji Szalajda po-

wiedział, że jedna ściana na "Andaluzji" jest już zniszczona, to ludzie zaczęli mięknąć. Jednocześnie załoga przekonała się, co potrafi zrobić i jak kłamać oficjalna propaganda. Dyrekcja, chyba na polecenie z góry, spowodowała pożar. To właśnie u nas zaczęły się te pożary, które potem "przeleciały" przez całe Jastrzębie. Myśmy nie chcieli wpuścić ratowników, bo nie było żadnego zagrożenia. Zdecydowałem się wtedy na desperacki krok, mianowicie udzieliłem wywiadu telewizji. Pierwszą sztukę puścili, tam gdzie tłumaczyłem, że zagrożenie nie istnieje i że jeżeli będzie trzeba, to wraz z dyrekcją podejmemy decyzję o pracy na cztery zmiany. Nie puścili natomiast drugiej części, gdzie mówiłem o skalowaniu nas przez PAP i "Trybunę Robotniczą".

Nacisk psychologiczny był tak ogromny, że ludzie zaczęli masowo opuszczać kopalnię. Jedni legalnie, drudzy nielegalnie. Wielu domagało się przepustek. Zaczynały się problemy rodzinne, żony strasznie chorowały, mieliśmy też mnóstwo ślubów i porodów, naprawdę niesamowite ilości. Do samego końca zostało dwustu ludzi.

**B D:** *Nie próbowałeś zatrzymywać wychodzących?*

**P P:** Strajk był jednym z najbardziej liberalnych i demokratycznych strajków, a trwał aż siedem dni, co jest rekordem w historii "Andaluzji". Cały czas stosowaliśmy zasadę, że każdy ma wolny wybór, że decyduje o sobie. W ostatni dzień strajku otworzyliśmy nawet bramę, kto chciał, mógł wyjść. Wyszło wtedy ok. stu osób. Ale nikt nam dziś nie może zarzucić, że byli na kopalni terror. Nawet główny inżynier kopalni powiedział, że bardzo godnie ześmny się zachowywali w czasie strajku. To było efektem tego, że nie chcieliśmy gnoid ludzi, choć niektórych by się dało. I nie robiliśmy tego do końca.

**B D:** *I nie żałujesz tego dzisiaj?*

**P P:** Nie, absolutnie nie. Zdawałem sobie sprawę, że nie wszyscy są tak przygotowani i tak odporni, jak ta grupa, która działała już od dłuższego czasu. Wiedziałem, że z upływem czasu ludzie będą uciekać. Nie mogliśmy ich zatrzymać siłą, bo byłoby to wbrew temu, o co cały czas walczyliśmy. Jeżeli walczę ze zniewoleniem człowieka, to nie mogę posługiwać się takimi metodami, nawet jeśli chodzi o tak wspaniałą rzecz, jak walka poprzez strajk o wartości podstawowe.

**B D:** *Sam moment zakończenia strajku wywołał jednak wiele kontrowersji.*

**P P:** Ci, którzy nie podjęli strajku, a było ich już pod koniec więcej niż nas, zaatakowali kopalnię. Wyważyli bramę i przedostali się na zakład. Na czele tej grupy stał były funkcjonariusz MO. Nie mogłem dopuścić do bratobójczej walki. Wycofaliśmy się na cechownię i tam odbyła się Msza. Po Mszy głosowaliśmy dwa warianty: honorowe wyjście z krzyżem do kościoła albo okupacja cechowni. Przegłoszaliśmy dużą większością głosów to pierwsze rozwiązanie.

Był wtedy z nami Kazimierz Świtoń. Zagalopował się trochę w swojej wypowiedzi. Ten wytrawny działacz, za jakiego go do tej pory uważam, popełnił, moim zdaniem, kardynalny błąd. W swoim dramatycznym przemówieniu zbagatelizował nasz siedmiodniowy wysiłek, nazwał nas fujarami, fałtłapami, powiedział, że wychodzimy bez twarzy, że lepiej będzie jak nas stąd ZOMO wyniesie itp. A to nagrała dyrekcja i udostępniła telewizji. Potem odtworzyli w regionalnym serwisie i w dzienniku. Kazik nie potrafił właściwie ocenić sytuacji, psychiki każdego z nas. Znęczenie było ogromne.

**B D:** *Czy strajk mógł rzeczywiście jeszcze trochę potraść?*

**P P:** Tak, jeszcze dzień, dwa. Ale to wymagałoby wprowadzenia przymusu, wyrzucenia niektórych ludzi, zablokowania łańcuchami bram itp. Słowem, wymagało działań, których nie chcieliśmy podjąć. My od 83, 84 roku, od śmierci ks. Popiełuszki, służyliśmy pewnym wartościom i nie mogliśmy ich w ten sposób przekreślać. Zresztą załoga zdecydowała tak, a nie inaczej.

**B D:** *Jakie represje spotkały was po zakończeniu strajku?*

**P P:** Następnego dnia cały Komitet /34 osoby/ i kilka innych aktywnych osób zostało dys-

cyplinarnie zwolniczych, chociaż dyrektor, gdy wychodziliśmy ze strajku, apelował, żeby jutro przyjść do roboty, że nadal stanowimy jedną załogę, że trzeba wspólnie odrobić straty itd. To opublikowała prasa, a dyrektor i tak zrobił swoje. Oszukał nas. Ale ja, prawdę mówiąc, nie liczyłem na jego uczciwość.

**B D:** *Nie masa o nim zbyt wysokiego mniemania?*

**P P:** On jest graczem, przy tym dość kiepskim. Postępuje się szantażem i innymi podobnymi metodami, w walce z nami, chociaż my gramy fair. On widzi, że w tej walce jest na przegranej pozycji i chce nas sprcwokować do użycia tej samej broni. Ale wtedy nie byłoby między nami żadnej różnicy. On jest kawał drania i o nas mógłby to samo powiedzieć.

Cóż, gdybyśmy dzisiaj wrócili na zakład, to na miejscu dyrektora, który skróczył już 50 lat i przysługuje mu emerytura, poprosiłbym o nią bez zastanowienia. Ale i tak, czy my wrócimy czy nie, to on będzie miał problemy z tą załogą.

**B D:** *Wrócimy do represji. Wyrzucenia z pracy dotknęły najaktywniejszych. A reszta?*

**P P:** Mimo, że porozumienie podpisane w Jastrzębiu gwarantowało, że nie trzeba odrabiać strajkowych dniówek, dyrektor wciąż zmusza do odrabiania tych dni. Straszy utratą trzy-nastki, czter-nastki. Poza tym masowo przesunął innych aktywnych uczestników strajku na gorzej płatne stanowiska. Stosuje się też takie praktyki, że kiedy ktoś chce wziąć dzień urlopu, to próbuje się na nim wymusić swoisty haracz, czyli zakup cegiełek na jakieś cele społeczne m.in. centrum zdrowia czy dom dziecka. Kosztuje to tysiąc albo i dwa. Finansowo na pewno górnicy są stratni, bo i teraz komuś premię obetną, tu uszczupnia, tam odbiorą. I jeszcze za każdy dzień strajku odliczają po 330 zł deputatu węglowego.

**B D:** *A co się dzieje z wyrzucenymi?*

**P P:** Wyrzucono w sumie 40 osób. Sześciu z nas, w tym mnie i moich braci, dyrektor nie chce za żadne skarby przyjąć z powrotem na "Andaluzję". Proponują nam pracę w innych kopalniach gwarectwa, po dwóch /w tym jeden Polmariski/ do każdej kopalni. Ja myślę, że i po dwóch w jednej kopalni wystarczy. Ale na razie nie biorę na serio tej propozycji zatrudnienia w innej kopalni. Chcę wrócić na "Andaluzję". Mamy poparcie tych, którzy dostali zgodę na ponowne zatrudnienie. Oni nie chcą wrócić bez nas, tym bardziej, że kopalnia nie chce płacić za okres pozostawienia bez zatrudnienia. Zgodziło się tylko trzech, ale oni musieli, bo inaczej byłiby już w wojsku.

**B D:** *Sądysz, że wrócisz do pracy?*

**P P:** Bardzo bym tego chciał, ale szansa jest mała. To zależy też od okrągłego stołu. Jeśli nogi tego stołu ostatecznie się rozejdą, to jestem bez szans. Wiem, że polskie prawo, które tak uporczywie studiowałem, nic mi nie gwarantuje. Owszem, prawo międzynarodowe tak. Ale władze cały czas utrzymują, że ratyfikacja aktów międzynarodowych nie oznacza automatycznej transformacji tych norm do prawa wewnętrznego. W każdym razie nie rezygnujemy. W tej chwili też pracy jest na całym Śląsku 105 górników. Niedawno zrobiliśmy manifestację w centrum Katowic, będziemy robić pikety i więcej przed kopalniami. 7 XI przed KWK "Andaluzja", 8 XI przed KWK "Marcel", 10 XI przed KWK "XXX-lecia".

**B D:** *Co się dzieje ze strajkowymi postulatami?*

**P P:** Co z tymi ogólnymi, to sam wiesz. A te lokalne, zakładowe, dyrektor zobowiązał się załatwić już drugiego dnia strajku. Przesunął do pracy dołowej tego neozwiązkowca-pijaka. To był jeden z postulatów - żeby on wrócił na dół do roboty. I tak się stało. Reszta postulatów czeka na realizację.

**B D:** *Jaki jest obecny stan posiadania "S" na Śląsku?*

**P P:** W tej chwili w andaluzyjskiej "S" jest ok. 700-800 osób, które podpisały deklarację



racje. Od końca września wypłacamy rekompensaty za strajk. Do tego dochodzą wypłaty osób zwolnionych - to są niebagatelne sumy, idące w miliony. Żadne struktury na kopalni nie tworzą się na razie, bo wszyscy czekają na nasz powrót i nie chcą dublować. Ale jeżeli ostatecznie nie wrócimy, bo na razie sprawy są w sądzie, to powstaną oczywiście nowe struktury.

**B D:** *A inne kopalnie?*

**P P:** Z tego co mi wiadomo, to tych zorganizowanych kopalni jest mniejszość. Powstają komitety we wszystkich jastrzębskich, również w niektórych rybnickich. Tutaj, na Śląsku właściwym, to prócz "Andaluzji" jeszcze w kopalniach "Lenin", "Julian", "Grodziec" coś przygotowują w Bytomiu. Tworzą się też struktury "S" poza górnictwem, w Hucie "Miasteczko" i w innych mniejszych zakładach. Jest też w Hucie Katowice, ale tam są kłótnie i środowisko jest dość rozbite. Ten, który to wszystko trzymał, Andrzej Rozpichowski, wyjechał. Teraz myślimy o stworzeniu struktury ponadzakładowej u nas, żeby nie być tak ściśle związanym z Jastrzębiem. To jednak 78 kilometrów.

**B D:** *Czy tylko odległość gra tu rolę? Opinie o pracy MKS są różne. że tylko młódka słowna, że niewiele się robi tylko wciąż dyskutuje.*

**P P:** Niestety, jest w tym dużo racji. Byłem na kilku spotkaniach i wios mi się języki na głowie. Tam jest typowa walka, przypominająca rok 80. Są konflikty między MKS a RKW, niektórzy atakują bardzo Henryka Sienkiewicza, do którego ja mam duże zaufanie. On wie, że może liczyć na Plekary. To może nie jest człowiek bardzo radykalny, ale zna się świetnie na rzeczy. Jest bardzo potrzebny przy "górnictwie stolicu", bo jest wysokiej klasy fachowcem, a ktoś go próbował stamtąd wykopać. Zrobił się z tego straszny galimatias. W chwili obecnej ten problem się trochę rozładował, ale chyba z tej racji, że wizja "okrągłego stolika" staje się coraz bardziej odległa i mniej realna. Moim zdaniem, nie bardzo widać tam w codziennym działaniu te wartości, o które przecież w końcu toczy się walka. Kościół traktuje się instrumentalnie. Sądze, że u nas jest to gębsze. Może jest to spowodowane tym, że w Jastrzębiu załogi składają się w wielkiej mierze z przyjeźdźnych z całej Polski. Fluktuacja jest tam ogromna, dziś pracują, jutro machną ręką i wracają do domu. Tu, w Piekarach, ludzie są bardziej zakorzenieni. Teraz wśród członków andaluzyjskiej "S" odbywa się peregrynacja krzyża "S" zdjętego w 81 roku. Wędruje po domach, odprawiane są nabożeństwa. To musi przynieść długotrwałe korzyści. To wszystko jest też niewątpliwie obecne w Jastrzębiu, ale tam to jakoś ginie w tej szarżynie codziennych trosk. Tam walka jest przed wartościami. A ja myślę, że na pierwszym planie powinny być wartości, a dopiero potem walka. To dzięki wierności tym wartościom przetrwalimy te wszystkie represje. I nie mogli nam nic zrobić, przeciwnie, to my zrobiliśmy to, oć chcieliśmy w sierpniu.

**B D:** *Jesteś górniczym delegatem do rozmów "okrągłego stołu". Co sądzisz o tej imprezie?*

**P P:** Cóż, stół można już fotografować. Jest średnicy 9 metrów. Stoi w Jablonej koło Warszawy. No i tyle. A czy ktoś tam w ogóle zasiądzie? Jest tam ponoć miejsce dla 57 osób. Tyle ma liczyć delegacja rządowa. No to niech siadają sami, jeśli uważają, że "S" da się wciągnąć w jakieś bezsensowne gadanie, nie dotyczące sprawy najważniejszej: legalizacji "S".

**B D:** *A więc nie masz już nadziei?*

**P P:** Ja zawsze jestem optymistą, ale ostatnio fakty mówią o czymś innym. Ostatnie wypowiedzi i posunięcia strony rządowej wskazują na powrót do twardego kursu. W tej chwili są dwie możliwości reaktywacji "S": w postaci sprzed 13 grudnia, co jest mało prawdopodobne i na gruncie ustawy o z.z. z 82 roku, czyli tylko na szczeblu zakładowym. Ale jest i trzecia możliwość, dla mnie najbardziej realna: nie brać ochlapów, które nam rzucają, ale pozostać na tym, co sami zdobyliśmy. Wiemy, że "S" istnieje i że ludzie jej chcą. I ona będzie, jeśli nie teraz, to już niedługo.

rozmawiał: JANUSZ OKRZESIK

LESŁAW MALESZKA

## Komitet Organizacyjny HiL-u

16 maja z aresztu śledczego zwolniono sześciu działaczy Komitetu Strajkowego KM HiL. Tego samego dnia inna grupa działaczy, ukrywająca się po pacyfikacji strajku, zdecydowała się wyjść na powierzchnię. Członkowie Komitetu Strajkowego spotkali się w kościele w Mistrzejowicach. Następnego dnia na konferencji prasowej poinformowali o utworzeniu Komitetu Organizacyjnego NSZZ "Solidarność" Kombinat Metalurgicznego Huty im. Lenina.

Komitet Organizacyjny stał się pierwszym w regionie Małopolska-jawnym przedstawicielstwem NSZZ "Solidarność" stawiającym sobie za cel odbudowę Związku w zakładzie pracy. Wcześniej, z końcem r. 1987 ukonstytuowały się trzy Komitety Założycielskie "Solidarności" /m.in. w Hucie Lenina/, których aktywność ograniczała się do podejmowania czynności prawnych na rzecz rejestracji. Powstawanie Komitetów Założycielskich miało istotne znaczenie psychologiczne - było krokiem w kierunku rezygnacji z formuły "podziemia", wyrażając gotowość struktur Związku do przebijania się na powierzchnię życia społecznego. Z drugiej strony od samego początku było jasne, że władze nie zezwola na rejestrację "Solidarności", zatem po wyczerpaniu czynności proceduralnych Komitety te stawały przed pytaniem o formę kontynuacji dalszej działalności.

Komitet Organizacyjny KM HiL przyjął założenie niepodjmowania starań o legalizację na drodze obowiązującego ustawodawstwa. Za główny cel uznał budowę jawnej struktury Związku w Kombinacie i podjęcie działalności *stricte* związkowej metodą faktów dokonanych. Skoro bowiem władza arbitralnie decyduje, co jest legalne, przykrawając normy prawa do bieżących wytycznych aparatu partyjnego, jedynym sensownym postępowaniem jest wymuszenie na rządzących przyzwolenia na tworzenie niezależnych instytucji społecznych.

To był punkt wyjścia. Pociągał on za sobą konieczność prowadzenia równoległe dwu akcji - powstawania reprezentacji Związku w poszczególnych wydziałach i zakładach oraz kompletowania imiennych deklaracji przystąpienia do NSZZ "Solidarność". W dalszej perspektywie zakładał wybory władz Związku w oparciu o ustaloną listę członków, posiadających legitymacje, płaących składki, dysponujących bezpośrednim dostępem do związkowych kanałów informacji.

Tak nakreślony program jest w tej chwili sukcesywnie realizowany. Podsumujmy zatem dla porządku. Wydziałowe i zakładowe Komitety Organizacyjne "Solidarności" powstały, jak dotąd, w następujących jednostkach struktury organizacyjnej Kombinat: Walcownia Żgniatacz, Walcownia Drobna i Druła, Walcownia Taśm, Walcownia Żelna Blach, Walcownia Karose-ryjna, Zakład Mechaniczny + Wydział Odlewni, Zakład Koksochemiczny, Stalownia Konwertowa, Stalownia Martenowska, Odlewnia Wlewnic, Wielkie Piece, Stara Aglomerownia, Walco-

wnia Gorąca, Zakład Transportu Kolejowego + Wydziały T-1, T-2, T-3, T-4, T-5, T-8, T-9, Zakład Materiałów Ogniotrwałych, Zakład Energetyczny, Walcownia Rur Zgrzewanych.

Deklaracje zbiorowe członkostwa w NSZZ "Solidarność" podpisało około 4000 pracowników /stan na dzień 13 września - 3604 podpisy, lecz od tego czasu napłynęły nowe podpisy, m.in. ze Stalowni Konwertorowej, Zakładu Energetycznego, Walcowni Slabing/. Obecnie trwa akcja wypełniania deklaracji indywidualnych.

Biuro Komitetu Organizacyjnego "Solidarność" HIL opracowało projekt Ordynacji wyborczej do władz Związku; najprawdopodobniej wybory rozpoczęte zostaną jeszcze w bieżącym roku kalendarzowym.

Zatrzymajmy się chwilę przy tej liczbie - 4000 deklaracji członkostwa w NSZZ "Solidarność". W krakowskim kompleksie KM HIL /bez ZPH Bochnia i Dolomitowni/ zatrudnionych jest około 28 tys. pracowników, w tym około 6000 na stanowiskach administracyjnych i biurowych. Ponieważ wśród administracji HIL "Solidarność" praktycznie nie istnieje, pozostaje 22 tys. robotników, wśród których Związek nasz skupia w przybliżeniu 18% załogi.

Czy to jest dużo czy mało? Odpowiedź nie jest prosta. Przyjmując stan zorganizowania Związku przed 13 grudnia 1981 - raczej nie za wiele. Owszem, tylko że wówczas "Solidarność" działała legalnie, jej możliwości były bez porównania szersze, sam zaś fakt przynależności do Związku nie wiązał się z żadnym ryzykiem osobistym. Nie ma potrzeby tłumaczyć, na ile sytuacja dzisiejsza różni się od tej sprzed siedmiu lat. Nie chodzi tylko o potencjalne represje policyjne czy sankcje ze strony kierownictwa zakładu. Każdy odcinek działalności - czy będą to związkowe tablice informacyjne czy zebrania na halach produkcyjnych - trzeba mozolnie wywalczyć, a następnie bronić go bez chwili przerwy. Każdy kontakt "reprezentacji załogi" /jak kierownictwo zwykło w pewnych sytuacjach nazywać działaczy "Solidarność"/ z władzami Kombinatu, celem zwrócenia uwagi na elementarne sprawy pracownicze, realizowany jest pod groźbą wzrostu napięcia wśród załogi. Innymi słowy: drzwi do gabinetów kierowników otwierają się dla przedstawicieli naszego Związku dopiero w momencie, gdy kierownictwu zależy na uspokojeniu atmosfery w brygadach robotniczych.

Jasne jest, że w tej sytuacji "Solidarność" musi pozostać Związkiem elit robotniczych - części załogi, która jest najbardziej aktywna, odważna i zainteresowana sprawami życia publicznego. Przystąpienie do "Solidarność" oznacza wybór nadziei, że jutro Polski będzie imię, niż dzień dzisiejszy. To przede wszystkim.

Na spotkaniu z członkami Komitetu Organizacyjnego doradca "Solidarność" Jacek Kuron przekonywał, że najistotniejszym zadaniem naszego Związku jest zdobyć dlań milicję większości społeczeństwa. Na ile działaczom w Kucie Lenina udaje się realizować to zadanie? Oczywiście, poprzeczka w postaci przystąpienia do organizacji uznanej przez władze za nielegalną, ustawiona jest dość wysoko - i z tej perspektywy 18% jest liczbą bynajmniej nie małą. Istotniejsza wszak wydaje się rzecz następująca - sam fakt rekonstrukcji struktur Związku i podjęcia aktywnej działalności na wydziałach zmienia zasadniczo postawę szeregowego pracownika. Stopniowo przełamuje dominujące w społeczeństwie nastroje niewiary, rezygnacji, apatii. Ludzie przekonują się, że są w stanie wiele zmienić, mogą mieć bezpośredni wpływ na szereg spraw. Rzecz można, że "Solidarność" upowszechnia pewien wzorzec zachowań społecznych, charakteryzujący się postawą aktywną, gotowością do publicznego artykułowania roszczeń i interesów oraz umiejętnością działania zorganizowanego.

10 sierpnia 276 pracowników Walcowni Zgniatacz w liście do dyrekcji poparło postulaty wydziałowego Komitetu Organizacyjnego, uznając Komitet za swą reprezentację w sprawach pracowniczych. Można szacować, że owe 276 podpisów stanowi około 1/3 zatrudnionych na wydziale. W tym jednak momencie na Zgniataczu rozpoczęła się akcja protestu - wyjątkowo trudna, bo polegająca na odmowie pracy w godzinach nadliczbowych i na umowy. Ta forma walki uderza bezpośrednio po kieszeni każdego pracownika. Pomimo tego do 31 sierpnia przyniosła zmniejszenie produkcji o 25 tys. ton. Zatem wzięła w niej udział istotna większość załogi.

5 września wybuchł spontaniczny strajk na bateriach koksowniczych, z postulatami o charakterze płacowo-socjalnym. 8 września większość pracowników ZK przybyła na zebranie z udziałem kierownictwa i dyrektora d/s pracowniczych. Zweryfikowano listę postulatów załogi - wpisując w punkcie pierwszym żądanie legalizacji NSZZ "Solidarność", następnie zaś niemal jednogłośnie przegłosowano, by w dalszych rozmowach reprezentować pracowników ZK Komitet Organizacyjny. Dodajmy, że w ZK deklaracje członkowskie podpisało 232 pracowników, co nie jest cyfrą imponującą wobec około 1200-osobowej załogi. Wszelako dycy-

duje nie sama arytmetyka, lecz także opiniotwórczy wpływ elit związkowych na postawy środowisk pracowniczych.

Można by mnożyć przykłady ukazujące na ile ostatnie pół roku zmieniło klimat wśród załóg i relacje między robotnikami a kierownictwem. Przerzutej dzieląca "Solidarność" od milczącej większości coraz bardziej się wypełnia - dziesiątkami petycji pracowniczych, postulatami zgłaszzanymi na zebraniach i naradach roboczych, problemami, o załatwienie których zwracają się ludzie bezpośrednio do wydziałowych Komitetów Organizacyjnych.

Tematem wymagającym osobnego omówienia jest sierpniowy protest w Hucie Lenina podjęty na znak solidarności z zakładami strajkującymi pod hasłem legalizacji naszego Związku. W ocenie wielu osób była to akcja zdecydowanie nieudana.

Nie do końca zgadzam się z tym osądem. Prawda, w czasie protestu odegrały rolę różnorakie siłowości organizacyjne - szczególnie brak sprawnej komunikacji i informacji między wydziałami, co powodowało, że strajk się rwał, przebiegał w sposób dość chaotyczny, zbyt szybko się załamywał na poszczególnych wydziałach.

Trzeba jednak uwzględnić następujące dwie okoliczności. Pierwsza - strajki sierpniowe stanowiły dla wszystkich zaskoczenie, nikt nie przygotowywał się do nich organizacyjnie. W momencie, gdy zapadła decyzja, iż Huta winna poprzeć wystąpienia na Śląsku i Wybrzeżu, starły się dwie koncepcje działania. Jedna zakładała natychmiastowe podjęcie strajku, ze świadomością pełnej improwizacji. Druga optowała za kilkudniowym przygotowaniem akcji - w efekcie jej realizacja zbiegła się w czasie z przemówieniem Kiszczaaka zapowiadającym antystrajkowe represje, co spowodowało pewne ochłodzenie nastrojów wśród załogi. Jednak w ówczesnej sytuacji wielu rzeczy nie dało się przewidzieć.

Okoliczność druga - zachowanie się dyrekcji w czasie akcji strajkowej w HIL. Uprzedzając o uprzednie wizyty na wydziałach, gotowości natychmiastowych rozmów w sprawach pracowniczych - wszystko to silnie kontrastowało z sytuacją z przełomu kwietnia i maja. Być może należało, korzystając z okazji, uwikłać kierownictwa zakładów w postulaty płacowe i socjalne dla przeciwnięcia protestu, w tym jednak momencie funkcjonował aksjomat: ten strajk jest o "Solidarność".

Za sukces strajku liczę przebieg akcji protestu w Zakładzie Transportu oraz wiece i przestoje na Wielkich Piecach i Walcowni Gorącej. Wymienione wydziały słabo lub wcale zaznaczyły swą obecność w czasie strajku wiosennego, po sierpniu zaś ich aktywność dorównuje tradycyjnie najsilniejszym zakładom. Od 1 października przez tydzień trwał protest na Walcowni Gorącej przeciw manipulacjom poczynionym władz wokół rozmów "okrągłego stołu". Protest polegał na odmawianiu pracy w nadgodzinach i na umowy. Jego skuteczność była z pewnością pośrednim rezultatem sierpnia 88. Sukcesem był też imponujący wiec pod bramą główną HIL w dniu 31 sierpnia. Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że gdyby nie apel Lecha Wałęsy, następnego dnia strajk sparaliżowałby cały Kombinat. I jeszcze jeden dość szczególny sukces. Burzliwa, twarda i męska dyskusja na posiedzeniu Komitetu Organizacyjnego po zakończeniu protestu, a później opracowanie poświęcone przebiegowi tej akcji. Od paru lat nie czytałem równie krytycznego dokumentu, powstałego w gronie jakiegokolwiek komórki "Solidarności", a omawiającego własną pracę danej struktury. Za sukces uważam zdolność do samokrytycyzmu, może nawet zbyt kategorycznego w ocenach szczegółowych, ale stawiającego precyzyjne wymagania na przyszłość, by uniknąć niedowładu organizacyjnego i niezdeterminowania w sytuacjach wymagających szybkich, operatywnych decyzji.

Powstanie Komitetu Organizacyjnego NSZZ "Solidarność" KM HIL w sposób zasadniczy zmieniło mechanizmy współdziałania i stosunki w aktywno działający Związek. Powiedzmy w pewnym uproszczeniu: Komitet Organizacyjny utworzyły trzy dość różne/grupy osób. Pierwsza - działacze Komisji Robotniczej Hutników z lat 1980-81, obecnie nie pracujący w Kombinacie, którzy w r. 1986 powołali jawny Komitet Robotniczy Hutników. Druga - działacze Tajnej Komisji Robotniczej Hutników, pracownicy HIL od staru wojennego kontynuujący działalność związkową w konspiracji. Trzecia wreszcie - to ludzie nowi, którzy poznali się dali w okresie strajku wiosennego i w trakcie zbierania deklaracji członkowskich. Na zdjęciu wykonanym pod bramą główną HIL w dniu 1 maja stoją obok siebie: Stanisław Handzlik, Andrzej Szewczuwaniec, Maciej Mach i Kazimierz Fugiel; ta lista nazwisk jest nader charakterystyczna.

Nie jest tajemnicą, że do strajku kwietniowego stosunki między KRH i TKRH układały się źle, po obu stronach narosła duża lista pretensji i uprzedzeń. Strajk w znacznym stopniu zatępił podziały. Problem wszelako nie sprowadza się do odmienności charakterów. Jest rzeczą oczywistą, wręcz banalną, że w każdej większej zbiorowości zawsze ist-

nieją prywatne ambicje i jednostkowe aspiracje, czysto ludzkie urazy i konflikty, zaś walka o program czy różnice ocen wpływają po trosze na stosunki osobiste. Tego się nie da nigdy uniknąć. Istotne jest natomiast, by można wypracować mechanizmy umożliwiające mediację w sytuacjach konfliktowych. Otóż jawność działania stwarza tę szansę - po prostu dlatego, że istnieje consensus dla zasady, iż sprawy sporne są przegłosowywane, rozstrzyga zaś stanowisko większości.

To są wprawdzie rzeczy banalne, ale dziś trzeba je na nowo przypominać, bowiem okres konspiracji przyniósł, niestety, zbyt dużo zniekształceń. Podziemie nie sprzyja demokracji, ułatwia natomiast praktykę cichego eliminowania - "wycinania" - ludzi niewygodnych. Często także działania usprawiedliwiano względami bezpieczeństwa, co jednak w rzeczywistości i do końca nie tłumaczy.

Obrazy Komitetu Organizacyjnego są w zasadzie jawne, w każdym razie otwarte dla prasy związkowej. Biuro Komitetu powiela sprawozdania z kolejnych posiedzeń, od pewnego czasu również ustalenia prezydium KO. Jawność obejmuje także znaczną część decyzji finansowych, co jest ewenementem w skali kraju. Komitet opracował szczegółowe sprawozdanie ze zbiórki pieniędzy na robotników represjonowanych za udział w sierpniowym protestie, zaś wydziałowy Komitet Organizacyjny "Solidarności" Stalowni Konwertorowej podjął uchwałę o asygnowaniu comiesiężnej dotacji na edycję "Hutnika".

W obradach biorą udział delegaci wydziałowych Komitetów Organizacyjnych. Głosowanie odbywa się mandatami, zgodnie z ustalonym podziałem. Nawiasem mówiąc, kryteria podziału mandatów były jednym z tematów spornych i zostały przyjęte w formie odbiegającej od sugestii prezydium. Rzecz charakterystyczna, bo świadcząca o końcu okresu "entuzjastycznej jedynomyślności" z pierwszych tygodni istnienia Komitetu. Stopniowo torują sobie drogę trudne procedury demokracji.

Na tym tle doszło we wrześniu do chwilowego konfliktu między Komitetem Organizacyjnym a Regionalnym Komitetem "Solidarności" Małopolska. Chodziło o mechanizmy konstytuowania RK "S" - czy jego członkowie mają być powoływani ogólnie czy delegowani oddzielnie przez jawne struktury zakładowe "Solidarności"? Fala strajków 1988 r. zmieniała zasadniczo punkt widzenia Związku w sprawie jawnych form działalności. Wyraźna jest dziś świadomość, na ile konspiracja paraliżuje możliwości szerszych inicjatyw w zakładach pracy, tworzy bariery dla włączenia się do działalności nowych roczników zatrudnionych, a w końcu sprzyjać może uprawianiu mastyfikacji i gry pozorów. Teraz chodzi o to, by reaktywowaniu jawnych struktur towarzyszyła od początku szansa współdecydowania o wszystkich sprawach "Solidarności", by więc Komitety Założycielskie i Organizacyjne mogły odegrać podmiotową rolę również w instancjach ponadzakładowych. Rozwiązanie przyjęte w naszym regionie wydaje się być optymalne; analogiczne pomysły biorą dziś górę również w innych regionach /np. w Mazowszu - por. wywiad Henryka Wujca dla "PWA"/.

Trzeba jeszcze postawić pytanie o perspektywę dalszej działalności Komitetu Organizacyjnego "Solidarności" HiL. Oczywiście, celem pozostaje doprowadzenie do relegalizacji Związku. Trzeba się jednak liczyć z sytuacją, w której uprzywilejowanie tego celu odsuwa się na pewien czas /może paru miesięcy, może nawet roku - dwa lat/. Kryzys "okrągłego stołu" oddala w każdym razie szansę realizacji owego programu w najbliższych miesiącach. Tym samym - czekają nas następne konflikty i nowa fala strajków.

W praktyce jednak rysuje się pewien program działania, możliwy do podjęcia już dzisiaj. Jeśli parę lat temu uważano, że hiszpańskie komisje robotnicze z lat sześćdziesiątych są doświadczeniem niemożliwym do przeniesienia w realia państwa komunistycznego, to obecnie wydaje się, że adaptacja tamtej praktyki stanowi wielką szansę ruchu "Solidarności".

Słida się na to parę okoliczności związanych z przekształceniem niektórych mechanizmów sprawowania władzy w naszym kraju. Po pierwsze - wzrost samodzielności przedsiębiorstw pociąga za sobą większą nieco suwerenność kadry kierowniczej względem "centrum". Po drugie - pogłębiająca się partularyzacja interesów w ionie aparatu powoduje powstawanie nowych konstelacji sił również w przedsiębiorstwach; dawna monolityczna struktura dyrektora-partia-związeki zawodowe-uległe samorządy pracownicze rozpada się na naszych oczach. Po trzecie we wrześniu - wśród kadry kierowniczej bierze górę myślenie pragmatyczne, zdroworozsądkowe, a to zakłada wytworzenie mechanizmów mediatyzowania konfliktów, stabilizacji nastrojów wśród załogi, w końcu - dogadywania się z rzeczywistymi przedstawicielami robotników. W okresie strajków 1988 r. władze spychały kadrę kierowniczą na pozycje sojusznika sił milicji i prokuratury, zaangażowanych w pacyfikację protestu. W chwili obecnej kancelaria KC PZPR nakazuje "prowadzenie walki politycznej" z "Solidarnością" na

terenie zakładów pracy. Trudno powiedzieć, kto miałby w tej walce zwyciężyć, wiadomo natomiast, kto z pewnością ją przegra - przegrają ci, których troską jest dziś wzrost wydajności i efektywności pracy, zapewnienie pełnej obsady na stanowiskach produkcyjnych, unikanie konfliktów wywołanych przez drugorzędne okoliczności /jak uczy doświadczenie, ludzie potrafią strajkować z powodu braku napojów chłodzących/. Otóż żaden zdrowo myślący kierownik czy dyrektor nie może pragnąć takiej walki politycznej w swoim zakładzie. W ostatecznym bilansie autentyczny związek zawodowy leży w interesie dyrekcji - łatwiej bowiem dogadać się z delegacją załogi, niż gasić lokalne wybuchy, jeden po drugim, w atmosferze stałego napięcia i awantur. Z drugiej strony żaden związek zawodowy nie będzie przedstawiał żądań tak wygórowanych, by miały one prowadzić do zrujnowania zakładu - robotnikom zależy na płacach, ale w równym stopniu na stanie technicznym urządzeń, na których pracują.

Jak zatem tworzyć status faktycznego uznania formalnie nielegalnej organizacji, jaką jest NSZZ "Solidarność"? W nowohuckim kombinacie próbuje się to realizować na trzech - jako poziomach.

Poziom pierwszy - walki o jawną, publiczną obecność "Solidarności" wśród załogi. Zaczęło się już w maju, kiedy dniówką potrącone za udział w strajku wypłacano otwarcie, na oczach mistrzów i kierowników, wprost na halach produkcyjnych. Później rozpoczęto organizowanie zebrań z załogą w poszczególnych brygadach czy na zmianach. Ostatnim wreszcie pomysłem były tablice informacyjne "Solidarności". Na kilku wydziałach przyszło o nie stoczyć walkę - kierownictwa starały się je usuwać bądź żądały tego od członków Komitetów Organizacyjnych, na Wielkich Piecach zaczęto szafować naganami. Konflikt trwał około miesiąca; koniec końców na znacznej większości wydziałów kierownicy pogodzili się z faktami dokonany, akceptując istnienie gablot związkowych.

Poziom drugi - występowanie z postulatami związkowymi na poszczególnych wydziałach. Można je przedkładać w postaci wniosków Komitetów Organizacyjnych bądź petycji załóg pracowniczych. Zasadniczym problemem jest uruchamianie "pasów transmisyjnych" postulatów do kierownictwa bądź dyrekcji. W sytuacji bowiem, gdy władze zakładu nie są gotowe odpowiadać na pisma składane imieniem grupy pracowników, trzeba znaleźć właściwą formę przedstawienia roszczeń, tak by zmusić kierownictwo do udzielenia odpowiedzi. Oczywiście, ostatecznym środkiem nacisku pozostaje strajk, ważne jest jednak wypracowanie mechanizmów pośredniczących. Komitet Organizacyjny Walczowni Karoseryjnej zażądał zmiany zasad premiovania - wkrótce potem podniosła tę sprawę Rada Pracownicza ZB w swej uchwale. Z inicjatywy Komitetu Organizacyjnego T-4 grupa pracowników delegowanych przez zebranie załogi wystąpiła w kwestii dramatycznych warunków bhp do Państwowej Inspekcji Pracy. Mówiąc o "pasach transmisyjnych" mam na myśli środki w rodzaju wyżej wspomnianych, pozwalające artykułować postulaty pracownice w warunkach, gdy władze zakładu uważają się za niezobowiązane odpowiadać na żądania "nielegalnego" związku zawodowego "Solidarność". Ważnym mechanizmem w tej grze są zebrania załogi - narady robocze, spotkania z kierownictwem zakładu. Zdarcza się, że do zebrań dochodzi z inicjatywą przedstawicieli załogi /7 października na T-4/, bądź wskutek akcji protestu na wydziale. Działacze Komitetów Organizacyjnych na ogół odgrywają decydującą rolę na owych zebraniach, zgłaszając postulaty i omawiając stan ich dotychczasowej realizacji, uzyskując też od załogi upoważnienia do dalszych działań.

Poziom trzeci wreszcie - konsultacji i negocjowania przez nasz Związek treści postulatów załóg z gremiami kierowniczymi. Ta rzecz wydaje się dziś najmniej realna, a przecież zaczyna już mieć miejsce. Oczywiście, kierownictwa nie podejmują rozmów z "Solidarnością" tak nazwaną - coraz częściej jednak zdarza się, iż zapraszają członków Komitetów Organizacyjnych do udziału w posiedzeniach komisji, na których rozstrzyga się podział premii, podział mieszkani z puli Kombinatu, ocenę kategorii szkodliwości danego stanowiska pracy itp. Członkowie Komitetu zasiadają w tych zespołach jako "przedstawiciele załogi", niejako osoby prywatne - ale przecież dla każdego znającego realia danego wydziału jest jasne, że chodzi o wprowadzenie "tylnymi drzwiami" reprezentanta "Solidarności".

Po wszystkim, co zostało powiedziane, trudno o proste konkluzje. Szczególny układ sił w Kombinacie jest w tym momencie czymś bardzo płynnym i często załamuje się na różnych wydziałach. Stabilizację przynieść może dopiero prawne uznanie "Solidarności" za legalnie działający związek zawodowy. Tymczasem czekają nas konflikty - zresztą nie tylko w Hucie, lecz przede wszystkim w skali kraju, na które to konflikty załoga Kombinatu musi odpowiedzieć akcją czynnego poparcia. Dziś jest trudne, jutro nie będzie łatwiejsze. Może to i dobrze, że o "Solidarność" będziemy musieli jeszcze walczyć. Ludzie nie cenią tego, co

dostają po niższej cenie.

LESŁAW MALESZKA

ERNEST SKAŁSKI

# Gzarna dziura

Trzeba było aż strajku w przemyśle węglowym, byśmy się dowiedzieli z miarodajnych źródeł jak strasznie niebezpieczne są polskie kopalnie. Musimy wierzyć na słowo, że podczas strajku - nielegalnego - niebezpieczeństwo wzrasta, ale nie uwierzymy, że znika ono wraz z podjęciem roboty, bądź maleje do nieistotnych wymiarów. Zbyt wiele jest wypadków wówczas, gdy w kopalniach nic się nadzwyczajnego nie dzieje.

Uświadomiona nam groza każe się zastanowić nad pytaniem: jakie dobro jest od lat okupywane tak wielkim niebezpieczeństwem? Dlaczego coraz więcej ludzi - już ponad ćwierć miliona - musi latami narażać życie i niszczyć zdrowie pod ziemią? Jak to się kalkuluje im i nam wszystkim?

## NAJGORSZY INTERES ŚWIATA?

Do niedawna był to deficytowy interes. W roku 1985 koszt własny wydobycia węgla był o 24,3% wyższy od sumy uzyskanej z jego sprzedaży, w roku następnym - o 28,5%. Za zeszły rok deficyt nie był już tak wielki, lecz wciąż jeszcze średni koszt wydobycia tony wynosił 5750 złotych, a średnia cena zbytu 5160 złotych, jak podał w "Żyćciu Gospodarczym" Aleksander Szpilewicz, na którego dane będziemy się powoływać.

Światowa cena węgla w ostatnich kilku latach jest raczej stała i oscyluje w okolicach 43-44 dolary za tonę. Myśmy w zeszłym roku uzyskiwali nawet 45 dolarów, co wywoływało proeksportową euforię u szefów górnictwa, twierdzących o wyjątkowo korzystnym eksporcie. Faktycznie, jeśli koszt uzysku dolara nie wynosił nawet 150 złotych. O ile jednak te czterdzieści parę dolarów jest realną ceną rynkową w świecie, o tyle cena złotówkowa jest po prostu wzięta z sufitu. Z tego samego sufitu wzięto też ceny poszczególnych czynników składających się na koszt wydobycia. Na peryferiach gospodarki - z punktu widzenia centrum - pewne ceny mogą się kształtować prawie że samoczynnie i to jest przedstawiane jako oznaka reformy. Lecz punktem wyjścia dla tych rzekomo rynkowych cen są sztuczne ceny na większość artykułów, a w tym na najbardziej strategicznych ze strategicznych, czyli węgla. Zgodnie z zasadą realnego socjalizmu, że im co ważniejsze dla gospodarki i kraju, tym dalsze ma być od jakichkolwiek elementów racjonalności ekonomicznej.

W związku z tym, górnictwo węgla korzysta z odrębnych zasad kalkulacji, do tego praktycznie tajnych. Warto zwrócić uwagę, że na liście 500 największych - według wielkości obrotów - zakładów przemysłowych, publikowanej od kilku lat przez "Zarządzanie" nie ma przemysłu wydobywczego. Przy całej sztuczności i tych danych, które kształtują listę /ceny, wartość środków trwałych/ można się jednak czegoś na jej podstawie dowiedzieć. Natomiast nasz "przemysł narodowy" wyjęty jest spod jakiegokolwiek kontroli narodu.

Rachunek jest zastępowany obliczonymi na idiotów frazesami o "narodowym bogactwie", "czarnym złocie", bądź "czarnych diamentach" i o "górnictwym trudzie". Na nieco tylko wyższym poziomie twierdzi się, że jakby nie liczyć, to bez węgla wszystko by stanęło, że

węgiel jest tu, a nie nad Zatoką Perską i nie płaci się zań dolarami, że przecież węgla nam w oczywisty sposób brakuje i przedstawia się jasno bilans, nieodmiennie napięty na wszystkich poziomach wydobycia.

"Jakby nie liczyć?" znaczy: aby nie liczyć. Wszelako pewne rachunki mogą być dokonane i podań je Aleksander Spiliewicz. Otóż koszt wydobycia węgla w ubiegłym roku, liczony w dolarach wynosił średnio... 60 /słownie: sześćdziesiąt/ dolarów za tonę!

To, że gospodarka jako całość w naszym systemie jest deficytowa, że zużywa w sumie więcej wartości niż tworzy nie może być wyliczone, gdyż zbyt wiele czynników w zbyt skomplikowany sposób się ze sobą przeplata. Udać się to po części w stosunku do jednolitego i prostego produktu jakim jest węgiel. I to bez liczenia kosztów w gruncie rzeczy najistotniejszych, czyli strat wyrządzanych naturalnemu środowisku - i infrastrukturze - jak wycienić zasoloną Wisłę, dewastację lasów przez siarkę itp?

Zostawmy przy kosztach policzalnych. To fakt, że nikt tych 60 zielonych nie wyklada na stoł, a 45 jednak się pobierało. Lecz te średnie 15 dokładane do wyeksportowanej tony, to nie abstrakcja, lecz: praca, stal, energia, mechanizmy i usługi - wszystko jak najbardziej realne. Sztuczne zaniżanie kosztów nie zmieni faktycznego rachunku, który pokrywa kraj. Warto sobie uzmysłowić, że całe zeszłoroczne wydobycie to po cenach światowych ok. 8,7 miliarda dolarów, zaś koszt to ok. 11,6 miliarda - dopiąta: blisko 3 miliardy, tylko tych policzalnych kosztów.

Dolarów się nie wyklada, ale z 23 kilogramów stali, które trzeba było użyć w roku 1978, aby wydobyć jedną tonę węgla zrobiło się w roku 1985 - 53 kilogramy. Z jednej czwartej - do jednej trzeciej wzrosło w tym czasie zużycie przez górnictwo całej stali towarowej w kraju. W tym samym czasie moc zainstalowana w energetyce rosła średnio rocznie o 3,7%, a zużycie energii w górnictwie węgla kamiennego rosło rocznie o 5,6%. Pisaliśmy już o swoim "trójkącie bermudzki" naszej gospodarki, na który składa się górnictwo - hutnictwo - energetyka: agregat pracujący głównie na swoje własne potrzeby, w znacznie większym stopniu zasilany z zewnątrz niż dający na zewnątrz to co wytwarza. Powyższe dane pokazują właśnie jego funkcjonowanie.

Proces ten można wyrazić jeszcze inaczej. W roku 1960, aby wydobyć tonę węgla trzeba było zużyć, na różne sposoby, 100 kilogramów węgla, w dziesięć lat później - już 180 kg. W okresie 1978-85 zużycie węgla wzrosło z 238 do 288 kg na wydobytą tonę. Licząc w tym samym tempie wychodzi nam 309 kg w roku bieżącym, czyli innymi słowy ze 193 milionów wydobytych ton górnictwo zużyje 60 milionów ton na swoje potrzeby. Czy trzeba się dziwić, że w miarę wzrostu wydobycia stale powiększa się brak węgla i że powiększa się on również na ustabilizowanym poziomie wydobycia.

Możemy jeszcze dodać, że tylko w latach osiemdziesiątych /do 1986/ zatrudnienie pod ziemią wzrosło z 240 do 264 tysięcy, a wydobycie spadło z 4154 kg do 3900 kg na górnika.

Wyłączone spod jakiegokolwiek kontroli dominium węglowe, powiązane z najwyższymi ogniwami władzy, wspierane przez inne branże ciężkiego przemysłu i okadzane przez zespoły klakierów, było szczególnie podatne na samowolę swoich szefów, wybierających najdogodniejsze dla nich osobiste rozwiązania i tępiących skutecznie próbujących ich krytykować. Stan ten jednak stwarzał iluzję, iż wszelkie zło związane z górnictwem wynika z nieprawości i że wystarczy je usunąć, na co bezskutecznie liczone przy każdym politycznym zakręceniu, aby wszystko było w porządku. Tymczasem niezależnie od owych nieprawości, błąd tkwi w samej istocie sposobu gospodarowania, w którym takie właśnie górnictwo czy szerzej: gospodarka surowcowo-energetyczna stanowi podstawę jego funkcjonowania: koncepcja, doktryna, interes przemysłowych grup - wszystko chronione przed niemożliwym w tym systemie rachunkiem ekonomicznym.

Od roku 1970 porównywalne górnictwo europejskie zmniejszało wydobycie: o ponad połowę we Francji i Belgii oraz o prawie jedną trzecią w RFN i W. Brytanii. W Polsce wzrosło o prawie 40 procent i to już do końca poprzedniej dekady. Rosłoby dalej, gdyby były fizyczne możliwości. Nie na obecnie potrzeby przekonywać, że nie był to wybór innej drogi rozwoju cywilizacyjnego, gdyż jest to proces na przekór cywilizacji. Jednakże doktryna nie dopuszczała, aby coś, co jest wielkie i znaczące w realnym socjalizmie, nie rosło: interes węglowego lobby opierał się na tym wzroście; a usłużna doktryna potrafiła to uzasadnić, zwłaszcza kiedy się zatykało twarz oponentom.

#### CZYNNIK LUDZKI

Drewno jest bardzo ważnym surowcem, a praca drwali ciężka i niebezpieczna. Zasluguje



przeło na szacunek i godziwe wynagrodzenie. Co byśmy jednak powiedzieli, gdyby dzielne leśnictwo w niecałe dwa pokolenia wybrało prawie wszystkie dostępne zasoby leśne, zużywając ogromną ich część na styliska do siekier?

Analoga z górnictwem jest o tyle naciągana, że leśnictwo nie byłoby w stanie osiągnąć porównywalnych kosztów. Poza tym brak lasów rzuca się w oczy, zaś manipulowanie zasobami węgla, które teoretycznie przynajmniej można wydobywać jeszcze przez liczne dziesięciolecia, pozwala na tworzenie iluzji na temat roli górnictwa i podtrzymywanie jego liturgii i mitologii.

Dotyczy to, niestety, nie tylko baronów węglowych, lecz również - choć w zupełnie inny sposób i w innym stopniu - ogółu górników. Przykro jest o tym mówić, lecz jeśli prawda ma nas oswobodzić, to wypadałoby ją głośno powiedzieć. Otóż prawda jest taka, że praca górnika jest wyjątkowo ciężka i niebezpieczna, ale trudno jednoznacznie powiedzieć, że jest w całym swym rozmiarze potrzebna i pożyteczna. W jakiejś, na pewno wielkiej, chociaż niepoliczalnej części, na pewno tak. Różnie to zresztą w różnych okresach wygląda, lecz proporcja ta z latami zdecydowanie zmienia się na niekorzyść. Tragedia polega na tym, że wysilek, kwalifikacje, poświęcenie górników nie mają z tym żadnego związku. Następuje coraz większe oddzielenie pracy i jej wyników. Górnicy bez wątpienia zasługują na o wiele więcej niż otrzymują, zarówno w dobrach materialnych jak i honorach, lecz w skali makro powstaje dosyć paradoksalna sytuacja. Do ich zarobków, Karty Górnika, gieweńsków, partyjno-rządowych i opozycyjno-kościelnych Barbórek z tymi wspaniałymi mężczyznami z ich kolorowymi piropuszkami, muszą po części dopłacać zabiedzone włókieniarki i zaharowani rolnicy, upadłani całonocnymi kolejkami po węgiel.

A przy tym większość społeczeństwa jakby sobie nie zdaje sprawy na czym głównie polega kosztar pracy w górnictwie. Wszyscy reagują na wielkie katastrofy: obawy, zalania, wybuchy, pożary. To atakuje wyobraźnię i nie można tego zataić. Mało do kogo dociera świadomość jak uciążliwa i niebezpieczna jest sama tylko praca w kopalni czy nawet przebywanie w niej. I to w kopalni nowoczesnej, zmechanizowanej. Ludzie się muszą przeciskać przy pracujących mechanizmach, w ciasných, źle oświetlonych przestrzeniach. Nagminnie więc są najrozmaitsze urazy, a proste zżamanie na nildm nie robi wrażenia. Większość z tych mechanizmów muszą ręcznie przerosić i instalować - stąd strajkowy postulat o uznaniu chorób kręgosłupa za zawodowe. Mają oni do czynienia z instalacjami pod napięciem. Przebywają w ogłuszającym hałasie i na przemian w miejscach dusznych, gorących i zapyłonych oraz tam gdzie jest zimno, mokro, gdzie wleje i pada. Pylicę każdy kojarzy z górnictwem, ale mało kto - stałe niezłyty, artretyzm i reumatyzm. Do tego w przypadku większości pracujących pod ziemią dochodzi nieustający latami stres, o czym wiedzą psychologowie w tej branży. Człowiek jest stworzeniem lądowym i tylko nieliczni osobnicy dobrogie się czują pod ziemią, jak i wysoko nad nią, na wodzie czy pod wodą. Tam gdzie liczne zbiorowości muszą funkcjonować w takich warunkach, tam wypracowuje się pokoleniami cały system adaptacji w rodzinach /górnickich, rybackich/ już od wczesnej młodości. W Polsce natomiast dzieci górników przeważnie nie pracują w kopalniach, przybywają tam natomiast ludzie spoza Śląska, co wpływa stannieprzystosowania się. Wszystko to razem sprawia, że czterdziestoletni mężczyzna po dwudziestu latach pracy - świętek-piątek - pod ziemią często jest już inwalida. Od dawna wiadomo, że więcej górników idzie na rentę niż na emeryturę i domaganie się prawa do emerytury w średnim wieku, tu akurat bynajmniej nie jest fanaberią.

W kraju, w którym stale przeciętne miesięczne uposażenie nie pozwala utrzymać żony i dziecka powyżej minimum socjalnego i gdzie dwie trzecie uposażeń jest poniżej średniej; w kraju, w którym prawie niczego nie można za swoje pieniądze kupić w normalny sposób, wystarczy zapewnić nieco wyższy, choć nie zawrotny zarobek i ułatwić nabycie niewielkiej tylko części dóbr składających się na uposażenie przeciętnej Europejczaka pod koniec XX wieku, aby pozyskać ludzi do katorżniczej pracy /już nie wracając do omawianego wielokroć chwytu, który powoduje, że cały ten system przywilejów przysługuje za pracę w dniach wolnych od pracy/.

Iluzoryczność tych przywilejów może uświadomić konstatacja, że górnik zarabiający 100 tysięcy miesięcznie może naprawdę nabyć małego fiata za równowartość dwu i półrocznej płacy /gdyby ją tylko na to przeznaczył/, ale i takie chętały wystarczają, aby antagonizować środowiska pracownicze, gdyż często ludzie pracujący niewiele mniej, nie posiadają i tego.

## WYCHODZENIE PRZEZ KOMIN

Jak się już wielokrotnie zwracało uwagę na samym wstępie II etapu, gdy się jeszcze myślało, że to i owo będzie naprawdę zrobione, górnictwo zostało - wraz z bratnimi gałęziami - skutecznie ochronione przed jakimikolwiek istotnymi zmianami. Resort się nazywa teraz wspólnotą, zjednoczenia - gwarectwami. Ponieważ między wspólnotą-resortem a Komisją Planowania pojawił się - w ramach upraszczania struktur! - nowy szczebel - Ministerstwo Przemysłu, szef wspólnoty ma tytuł wiceministra, ale ministerialne uposażenie. Ośmiu jego zastępców ma uposażenie wiceministerialne, a ponadto każdy wchodzi do rady nadzorczej jednego z ośmiu gwarectw. "Gwarectwa" to czyjeś wyobrażenie o tradycjach górniczych, zaś owa rada, podobnie jak "wspólnota", "spółka z o.o.", "socjalistyczny koncern" itp. to wyraz upodobania menadżerów do kapitalistycznego nazewnictwa i apanaży. Zapominają przy tym, że jeśli zwierzchnik bierze pieniądze od podległych sobie ogniw to jest to układ korupcyjny.

Wszakże istotniejsze od tego jakie pieniądze i skąd biorą menadżerowie górnictwa, jest to, co za te pieniądze robią. W przeciwieństwie do ogółu górników nie mają oni prawa nie wiedzieć, jaka jest prawdziwa sytuacja ekonomiczna kierowanego przez nich biznesu. Ani tego jakie są jego perspektywy. Według danych Aleksandra Szpilewicza średni koszt wydobycia tony z 60 dolarów weszliśmy w roku 1986 do 75 w roku 1990 i do 170 dolarów w roku dwutysięcznym.

Można było sobie wyobrazić, że po takiej informacji posypią się sprostowania, procesy bądź dymisje, nie mówiąc o samobójstwach. Lecz baronowie węgłowi wola nie reagować, bo albo to ich nie obchodzi, albo sami to dobrze wiedzą. Szacunek przyszłych kosztów może nie być zbyt precyzyjny, lecz ich skokowy wzrost jest nieunikniony już nie przy wzroście, lecz przy utrzymywaniu obecnego poziomu wydobycia. Względnie łatwo dostępny węgiel kończy się i trzeba go brać z coraz głębszych pokładów, co musi być coraz droższe.

Do tego będą się kumulować skutki zasilarczania atmosfery i zasilania wód. Będą się też potęgować szkody górnicze. Nie tylko dlatego, że już dawno machnięto ręką na zachowanie np. filaru ochronnego pod Katowicami, gdzie lokuje się teraz nową kopalnię. Stosowany u nas mechaniczny sposób wydobycia z obudową krocząca oznacza wzrost wydobycia na zawał: 52 proc. w roku 1970 i 82,7 proc. w roku 1986. Są miejscem na Śląsku, w których łączna wysokość wybieranych pokładów ma 20 metrów i o tyle musi się z czasem zapasć powierzchnia: trzęsienie ziemi rozłożone w czasie i na odcinki. A wszystko głównie po to, aby górnictwo mogło z roku na rok zużywać wciąż więcej węgla.

Zróbmy sobie bardzo przybliżony i teoretyczny rachunek: oto w ogóle nie wydobywamy węgla. Nie wydajemy zatem 11,6 miliarda dolarów. Wyobraźmy sobie, że gospodarka jest w stanie zużyć te środki na zakup 92 milionów ton ropy naftowej, co jest odpowiednikiem mniej więcej 120 milionów ton węgla. Do wydobywanych 193 jeszcze daleko, ale przecież 60 milionów ton, tych dla górnictwa, już nie potrzeba. Nie ma też eksportu, w którym de facto dopłacamy 15 dolarów do tony. W sumie więc jakbyśmy mieli nadwyżki energetyczne i nie wykluczone, że by się w nich zmieściła równowartość tej ropy, którą dziś kupujemy.

Czywiście, że w optymalnym modelu nie zlikwidowałoby się całego wydobycia węgla; jakaś jego ogromna i opłacalna część by została. Dziś jest to czysta teoria, lecz tak by było, gdyby w swoim czasie nie został gospodarce narzucony obecny system, a ona sama nie została faktycznie oddana w pacht górnictwu oraz pokrewnym, kooperującym bractwom. Tak się jednak nie stało i dziś mamy wyszabrowane zasoby, które starczyły by jeszcze dla dzieci i wnuków; mamy zdewastowany kraj, ze wszystkimi tego konsekwencjami również dla przyszłych pokoleń. Ale miast trwałego dorobku - niechby - nawet spóźnionej ery węgla i stali - bazy dla dalszego rozwoju; siedzimy u rozbitego koryta, w postaci monstrualnej góry rdzewiejącego złomu, jakim staje się nieodwracalnie nasza baza produkcyjna - owoc pracy i wyrzeczeń dwóch kolejnych pokoleń.

I robi się wszystko, aby ten proces trwał dalej. Przy gromkich zapowiedziach restrukturalizacji. W ramach drugiego etapu podnosi się cenę węgla do 15 tysięcy za tonę, czyli prawie trzykrotnie. Przy okazji rzecznik rządu wyjaśnia z przekazem zachodnim dziennikarcom, że przecież w ich krajach też nikt nie sprzedaje węgla poniżej kosztów wydobycia. Widać rząd, kierowany przez co najmniej dwóch profesorów ekonomii nie miał okazji dowiedzieć się, że na Zachodzie również nikt nie produkuje stałe powyżej ceny. Ale w ten sposób deficytowa gałąź może zacząć przynosić "dochód". Nic się nie zmieniło; ani światowe ceny węgla, ani sposób jego wydobycia w PRL. Rozpisano jedynie koszty na pokrewnie gałęzie: dwukrotnie rośnie cena ropy i gazu, odpowiednio - wszystkie pochodne produkty. W

obrębie gospodarki państwowej zwiększa się ilość cyfr, a na wylocie dopłaca do tego kon-  
sument, władza zaś ubolewa, że nie udało się operacja cenowa, tak jakby był możliwy jak-  
ikolwiek inny tego rezultat poza skokowym wzrostem inflacji.

Arogancją bądź ignorancją było twierdzenie, że podrożenie nośników energii skłoni u-  
żytkowników do jej oszczędzania. Skąd ci użytkownicy mają wziąć oszczędne technologie  
z odpowiednimi urządzeniami? I zresztą nie mają oni żadnej potrzeby, aby to robić. Przy  
kosztownym tworzeniu cen z procentowym zyskiem, zarabia się na podniesieniu kosztów. Co  
prawda kosztowej metody ma nie być, lecz zapowiedzi te nie są już warte papieru, na którym  
się je drukuje.

Interes węglowego lobby polega przy tej operacji nie tylko na skryciu ogólnego deficy-  
tytu branży, lecz chyba jeszcze bardziej na uśrednianiu wyników. Różnice między kopal-  
niami są takie, że przy niewielkich różnicach w cenie zbytu węgla, koszt wydobycia ma  
się jak sześć do jednego i więcej. Gdyby to był interes nastawiony na zysk czy w ogóle  
jakoś zorientowany ekonomicznie, wówczas jego szefowie sami by zlikwidowali jego naj-  
bardziej rujnującą część. Jest to jednak imperium, z którego nie chcą oni oddać ani ka-  
wałka. Na środku dlań bowiem pracuje cała niszczonej przez siebie gospodarka, zaś ich wielkość,  
wpływy, znaczenie, a i osobiste dochody, zależą od wielkości tego czym bezpośrednio roz-  
porządzają. Tylko dlatego cała ta struktura zarządzająca jest potrzebna jakiejś części  
przemysłu węglowego. Kopalnia, która byłaby w stanie z zyskiem sprzedać swój węgiel, je-  
szcze więcej by zarobiła, nie opłacając niepotrzebnych jej "gwarków" i dyrektorów. To  
kopalnie są potrzebne administracji, by uzasadnić jej istnienie, co zresztą nie jest spe-  
cyfiką tylko tego resortu...

ERNEST SKAŁSKI

EWA ŁOSIŃSKA

## Studium wojskowe na cenzurowanym

Inauguracja roku akademickiego 1988/89 na Uniwersytecie Jagiellońskim nie wróżyła spo-  
koju na uczelni. Tradycyjne przejście wykładowców Alma Mater z Collegium Maius do Colle-  
gium Novum zakończyło się tym razem dość nieoczekiwanie: tuż za gromem odzianym w togę  
podążało dwóch studentów - uczestników Ruchu "Wolność i Pokój" - niosąc transparent z na-  
pisem "Żądany autonomii dla szkół wyższych". Przy bramie Collegium Novum powitał pochód  
grad ulotek Akcji Studenckiej WiP.

Co ciekawe, zdjęcie owego przemarszu, z widocznym transparentem, zamieściła następnego  
dnia "Gazeta Krakowska", której reporter nieopatrznie sfotografował także studentów.  
Wprawdzie zdjęcie było bardziej niewyraźne niż zwykle, ale i tak można było dostrzec nie-  
zwykły "ogon" pochodu.

Jednym z radykalnie sformułowanych warunków wolności Uniwersytetu, które znalazły się  
na rozrzucanych ulotkach było usunięcie wojska z uczelni.

ciąg dalszy wkrótce nastąpił. W pierwszych dniach października grupa studentów IV ro-  
ku podjęła bojkot zajęć wojskowych na Uniwersytecie Warszawskim. 13 października do bojk-  
kotu przyłączył się Wydział Prawa UJ, po nim - kolejne wydziały odmawiały udziału w szko-  
leniu wojskowym i sanitarno-obronnym. Do studentów UJ dołączyli wkrótce ich koledzy z A-  
kademią Górniczo-Hutniczej. Na wiecu, który odbył się w miasteczku studenckim 18 paździer-

rnika, swe poparcie i przystąpienie do protestu zadeklarowali przedstawiciele Politechniki Krakowskiej, Akademii Sztuk Pięknych i Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Później do akcji włączyły się Akademia Ekonomiczna i Rolnicza. Bojkot podjęli też studenci Wrocławia, Gdańska i Poznania.

Skąd wziął się postulat usunięcia wojska z uczelni? Dlaczego zajęcia wojskowe są tak uciążliwe dla studentów? Otóż problem polega przede wszystkim na niemożności ukończenia studiów bez zaliczenia zajęć wojskowych. Z kolei odbycie szkolenia wojskowego w jego obecnym kształcie, m.in. konieczność zaliczenia ćwiczeń z bronią czy przedmiotu "Podstawy polityki obronnej" - służącego intensywnej indoktrynacji studentów - nie odpowiada znaczącej części środowiska akademickiego, szczególnie tym, którzy ze względu na sprzeciw sumienia decydują się na odbycie zastępczej służby wojskowej po studiach.

Problem, jak zwykle bywa w takich przypadkach, nie pojawił się z dnia na dzień. Wyraźne sygnały jego istnienia docierały do władz wojskowych co najmniej od półtora roku.

W styczniu 1987 r. student socjologii UJ, Maciej Klepacz, zwrócił się do WKU Kraków-Krowdrza o skierowanie go do zastępczej służby poborowych, a następnie - do Kierownika Studium Wojskowego UJ o przeniesienie z zajęć wojskowych na następnie obronne. Odmówił pełnienia służby wojskowej oraz uczestniczenia w zajęciach wojskowych jako sprzecznego z jego sumieniem. Deklarował jednocześnie gotowość odbycia szkolenia obronnego oraz służby zastępczej w zakładzie użyteczności publicznej, tj. placówce służby zdrowia, opieki społecznej czy też zajmującej się ochroną środowiska naturalnego. W obu przypadkach odmówiono spełnienia jego prośby.

Kolejne pismo skierował Maciej Klepacz do Ministerstwa Obrony Narodowej. W lutym 1987 r. otrzymał odpowiedź, iż "zgodnie z Ustawą o Powszechnym Obowiązku Obrony z dn. 21 listopada 1967 r., art. 101 oraz Zarządzeniem nr 38 Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dn. 13 grudnia 1984 r., §5, p.3, zajęcia wojskowe są objęte planem studiów i są jednym z obowiązkowych przedmiotów. /.../ Szkoleniem obronnym w Studium Wojskowym mogą być objęci tylko studenci uznani za czasowo niezdolnych do służby wojskowej /kategoria "B"/ oraz trwale niezdolni do służby wojskowej /kategoria "E"/, na podstawie Zarządzenia MON nr 58 z dn. 18 grudnia 1980 r., rozdz. 1. §2.

Na kolejne odwołanie, skierowane do Sztabu Generalnego WP odpowiedź nadeszła w marcu. Zastępca Szefa Sztabu pisał w niej, iż "absolwentów szkół wyższych nie kieruje się do zastępczych form służby, ponieważ nabyte przez nich predyspozycje nie byłyby racjonalnie spożytkowane. /.../ Zaliczenie programowych zajęć wojskowych jest jednym z warunków ukończenia studiów. Odmienne stanowisko w kwestii światopoglądu nie może stanowić przeszkody w spełnieniu ustawowego obowiązku służby wojskowej. Obowiązujące przepisy nie przewidują w tym względzie żadnych przywilejów ani wyjątków". /.../

Maciej Klepacz złożył więc podanie o urlop dziekański, licząc na zmianę owych przepisów i - tym samym - możliwość ukończenia studiów. Treść tej korespondencji znali tylko jego najbliżsi przyjaciele i znajomi. Wróćcie jednak problem odmowy uczestnictwa w zajęciach wojskowych stał się głośny.

W marcu 1987 r. Janusz Okrzesik, student IV roku nauk politycznych UJ, w czasie szkolenia wojskowego odmówił przyjęcia broni i odbycia z nią praktycznych ćwiczeń. Decyzję swą motywował pobudkami etycznymi i religijnymi. Wyraził też chęć odrobienia tych zajęć w sposób zgodny z jego sumieniem tj. poprzez teoretyczne zaliczenie tematu lub wykonanie innej, nadobowiązkowej pracy, zleconej przez kadrę studium wojskowego. Ani jego dobra wola, ani niewielki wymiar czasowy praktycznych zajęć z bronią /cztery godziny lekcyjne/ nie zostały uwzględnione przez kierownictwo studium, które zagroziło mu usunięciem ze studiów. Nie wpiąknięta na zmianę tej decyzji prośba Rady Kompanii i Rady Samorządu UJ, nieskuteczny też okazał się protest przeciwko jej wykonaniu podpisany przez ponad tysiąc studentów i pracowników naukowych krakowskich uczelni. Nie pomogły nawet interwencje Dyrektora Instytutu Nauk Politycznych i Rektora UJ, którzy starali się umożliwić Januszowi Okrzesikowi ukończenie studiów. Mimo to, do końca roku akademickiego uczęszczał on na szkolenie wojskowe, chcąc potwierdzić w ten sposób gotowość odbycia tych zajęć. Z powodu niezaliczenia wspomnianych 4 godzin nie został jednak dopuszczony do egzaminu z tego przedmiotu, nie mógł więc ukończyć czwartego roku studiów. Obecnie studiuje na Wydziale Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie szkolenia wojskowego nie ma w programie studiów.

Sprawa Janusza Okrzesika wywołała poruszenie i gorące dyskusje w środowisku studenckim. Okazało się, że problem nie jest jednostkowy. Rezultatem, dyskusji na temat konieczności odbycia szkolenia wojskowego w trakcie studiów była - oprócz wspomnianego już pro-

testu - Uchwała nr 4 Środowiskowego Spotkania Samorządów Studenckich szkół wyższych Krakowa podjęta w czerwcu 1988 r. i zaakceptowana przez rektorów tychże uczelni. Przedstawiciele samorządów, biorąc pod uwagę możliwość konfliktu sumienia spowodowaną obowiązkiem odbycia służby wojskowej, proponowali w niej m.in.:

- 1/ zezwolenie na zmianę szkolenia wojskowego na szkolenie obronne na zasadzie dobrowolnego wyboru studenta,
- 2/ zniesienie zajęć w studium wojskowym dla studentek i studentów z kategorią "E"
- 3/ uściślenie z programu szkolenia wojskowego przedmiotu "Podstawy polityki obronnej" służącego indoktrynacji ideologicznej,
- 4/ zmniejszenie liczby godzin przeznaczonych na szkolenie wojskowe studentów,
- 5/ zniesienie egzaminu z tego przedmiotu,
- 6/ przyznanie absolwentom szkół wyższych prawa do odbywania służby zastępczej,
- 7/ zaniechanie przeprowadzania w czasie zajęć wojskowych ankiet, których pytania ingerują w osobiste sprawy studentów,
- 8/ zmianę roty przysięgi wojskowej,
- 9/ zniesienie służby wojskowej dla absolwentów uczelni artystycznych, ponieważ wpływa ona ujemnie na rozwój ich szczególnych uzdolnień,
- 10/ uniezależnienie ukończenia studiów na Akademii Medycznej od złożenia przysięgi /za odmową jej złożenia ze względu na sprzeciw sumienia usunięto z tej uczelni Mieczysława Ryzio/.

Na sformułowaniu postulatów tym razem się skończyło, przede wszystkim dlatego, że studenci wyjechali na wakacje.

Problem prawa do odbywania zastępczej służby wojskowej pojawił się w naszym kraju co najmniej kilka lat temu. Młodzi ludzie odmawiający służby wojskowej ze względu na przekonania religijne, etyczne i polityczne, o ile nie mogli się wylegitymować obniżoną sprawnością psycho-fizyczną, narażeni byli na możliwość skazania przez sąd wojskowy na karę pozbawienia wolności do lat osmiu. Starania o zmianę tekstu Ustawy o Powszechnym Obowiązku Obrony PRL, będącej podstawą prawną tej procedury, których "siłą napędową" był Ruch "Wolność i Pokój", doprowadziły do zmiany roty przysięgi wojskowej, a następnie do uchwalenia przez Sejm w lipcu br. jej nowelizacji.

Ponieważ znacznie rozszerzonoj niej możliwość odbywania zastępczej służby wojskowej, zainteresowani postanowili skorzystać z przysługującego im prawa. Janusz Okrzesik podjął starania o powrót na UJ, a Maciej Klepacz po raz kolejny zwrócił się do kierownictwa studium wojskowego o umożliwienie mu odbycia szkolenia obronnego zamiast wojskowego. Władze wojskowe poinformowały obu, że zasady odbywania zajęć wojskowych w trakcie studiów nie zostały zmienione. Do czasu ewentualnego wskazania się nowych przepisów wykonawczych studenci ubiegający się o służbę zastępczą muszą je zaliczać tak samo jak przed nowelizacją ustawy.

Odpowiedź ta nie zadowoliła nie tylko dwóch wymienionych studentów. W Warszawie rozpoczęto protest przeciwko nieuwzględnieniu problemu szkolenia wojskowego w nowych przepisach. Dalej wydarzenia potoczyły się lawinowo. W Krakowie NZS zwołał na Uniwersytecie Jagiellońskim wiec. Po jego zakończeniu studenci pomazzerowali w kierunku studium wojskowego uczelni, zamierzając rozpocząć bojkot zajęć. Przed wejściem na teren studium ustawiono pikietę z transparentami informacyjnymi o celach bojkotu szkolenia wojskowego. Pozostali uczestnicy marszu weszli do sal lekcyjnych, przerywając odbywające się zajęcia, przedstawiając obecnym na nich kolegom i prowadzącej je kadrze wojskowej powody protestu, oraz wzywając do poparcia ich żądań. Na ścianach studium namalowano farbą w aerozolu trzy hasła. Oprócz tego, nie ucierpiał żaden sprzęt na czerwie studium. Podczas kolejnych dni bojkotu studenci w ogóle nie wchodzili do budynku studium. Krótkie wystąpienia omawiające przebieg protestu oraz jego cele, a także rozmowy z pracownikami studium odbywały się przed jego bramą.

19 października włączyła się do bojkotu Politechnika Krakowska. Protest rozpoczął wiec zorganizowany przed budynkiem studium wojskowego. Jeden z obecnych na wiecu studentów UJ, Paweł Chojnacki, został w czasie swego wystąpienia spoliczkowany przez zdenerwowanego kierownika Studium Politechniki, pułkownika Migdała, który uznał go za pijaka i chulligana zakłócającego zajęcia wojskowe. Warto dodać, że płk Migdał jest jednocześnie szefem studiów wojskowych wszystkich krakowskich wyższych uczelni. Gdy ochłonął, tłumaczył podobno swoje zachowanie obawą o utratę guzików przy mundurze...

Zajście to umiejętnie wykorzystwała prasa oficjalna, która już wcześniej donosiła o "skandalicznych wydarzeniach mających miejsce wokół studium wojskowego UJ". Rzecznik

prasowy rządu poinformował najpierw o zdemolowaniu budynku studium, a następnie - o "użyciu siły fizycznej wobec oficera LMP". A przecież Paweł Chojnacki nie jest - jak dotąd - oficerem LMP...

"Gazeta Krakowska" zaczęła zamieszczać informacje o wandalizmie i niefrasobliwości studentów, którzy nie uczą się, tylko piją i z nudów demolują akademiki. "Gazeta" przyznawała studentom niezwykły poziom w tej dziedzinie: urządzenie zawodów ile osób zawieszono na przyszłość, "rozpruwanie" gaśnic, wreszcie ćwiczenie ciosów karate na sprzętach, które trudno wykorzystać w sposób bardziej oryginalny. Za wybitne osiągnięcia w rzetelności swych doniesień wspomniany dziennik został na kolejnym wiecu wyróżniony przez studentów specjalnym transparentem: "Gazeta Krakowska" łże!

Na efekty tej nagonki prasowej nie trzeba było długo czekać. Paweł Chojnacki i Przemysław Markiewicz /student Politechniki/ zostali zatrzymani na 48 godzin i oskarżeni o pobicie oficerów. Na Politechnice natomiast, wśród pracowników administracji, "wieść gminna niesła", że studenci strzelali do szefa studium z jego własnej broni...

Najbardziej przykre było jednak to, że - mimo stosunkowo dobrej orientacji co do faktycznego przebiegu wydarzeń - do chóru potępiającego studentów dołączyło Kolegium Rektorów szkół wyższych Krakowa. To samo, które wcześniej poparło postulaty środowiska akademickiego.

20 października, na kolejnym wiecu przed Collegium Novum UJ, studenci zdecydowali, jakie postulaty skierują pod adresem władz wojskowych. Obecni na wiecu opowiedzieli się za programem Niezależnego Zrzeszenia Studentów, tj. głęboką reformą szkolenia wojskowego, a nie za jego całkowitym zniesieniem, czego domagają się uczestnicy Ruchu "Wolność i Pokój".

Stanowisko NZS-u, opracowane na zjeździe jego przedstawicieli we wrześniu 1988 r., pokrywa się niemal całkowicie z uchwałą Środowiskowego Spotkania Samorządów Studenckich szkół wyższych Krakowa. Dodano do nich jedynie postulat zniesienia obowiązkowego zaliczenia szkolenia wojskowego jako warunku ukończenia studiów, tj. możliwość odycia szkolenia po studiach, oraz żądanie skrócenia czasu trwania służby wojskowej absolwentów szkół wyższych do trzymiesięcznego szkolenia praktycznego w jednostkach wojskowych.

Na Uniwersytecie powołano Komitet Bojkotowy, w skład którego weszli przedstawiciele czwartej lat studiów poszczególnych kierunków. Po kilku dniach przekształcił się on w Międzyuczelniany Komitet Bojkotowy, który zajął się opracowaniem szczegółowych postulatów mających stać się podstawą do podjęcia rozmów z przedstawicielami Ministerstwa Obrony Narodowej i Ministerstwa Edukacji Narodowej. Rozpoczęcie rozmów po zaprzestaniu bojkotu zajęć wojskowych obiecał studentom rektor AGH, prof. Janowski oraz prorektor ds. studenckich UJ, prof. Grodziski. Komitet Bojkotowy podjął więc decyzję o zawieszeniu akcji protestacyjnej od 27 października do 7 listopada, licząc się z możliwością wznowienia bojkotu, gdyby rozmowy zakończyły się fiaskiem.

Część przedstawicieli Komitetu, a zwłaszcza Akcja Studencka WiP oraz KPN, sprzeciwiała się przerwaniu bojkotu. Ruch "Wolność i Pokój" zwołał 27 października kolejny wiec na Uniwersytecie, choćby zebrani na nim studenci sami zdecydowali czy godzą się z decyzją Komitetu Bojkotowego. Wiec opowiedział się za kontynuowaniem bojkotu, co z kolei przedstawiciele Komitetu uznali za nielegalne. Na wiecu doszło do żenujących kłótni między uczestnikami Akcji Studenckiej WiP i NZS-em, co mniej zorientowanym w przebiegu wydarzeń skutecznie zamąciło w głowie. Jeszcze bardziej szokujące sceny rozgrywały się następnego dnia przed budynkiem studium wojskowego UJ. Pikieta WiP wzywała przybyłych do kontynuowania bojkotu. Jednocześnie przedstawiciel Komitetu Bojkotowego odczytywał oświadczenie o zawieszeniu bojkotu i zachęcał do wejścia na zajęcia. Większość posłuchała go, mimo głośnych protestów WiP-u i KPN-u.

Rozmowy miały być podjęte 3 listopada. Tak przynajmniej sądzili członkowie Międzyuczelnianego Komitetu Bojkotowego, do których dołączyły delegacje studentów z Wrocławia, Warszawy, Poznania i Gdańska. Tymczasem odbyło się tylko posiedzenie Kolegium Rektorów, na które przybyło dwóch przedstawicieli MEN, dyr. Pietrasik i zastępca dyr. Departamentu Spraw Obronnych, płk Rutecki. Nie mieli oni praktycznie żadnych kompetencji, by uzgodnić cokolwiek z delegacją studencką, zresztą - jak się okazało - nie zamierzali z nią w ogóle rozmawiać. Przedstawiciele innych ośrodków akademickich zostali po zakończeniu części ogólnej posiedzenia wyproszeni z sali, reszcie pozwolono na przysłuchiwanie się dyskusji przedstawicieli MEN z gronem rektorów. Postulaty studentów nie były właściwie omawiane, toteż Komitet Bojkotowy poczuł się oszukany i zdecydował się na opuszczenie posiedzenia. Pewne ustalenia jednak na nim zapadły. Przedstawiciele MEN nie dotykając nawet istoty

problemu, zgodzili się na:

- zniesienie egzaminu ze szkolenia sanitarno-obronnego,
- zniesienie dodatkowych godzin, tzw. Informacji Politycznej,
- przepisywanie wszystkich ocen z lat poprzednich /dotąd było to możliwe tylko w przypadku ocen dobrych i bardzo dobrych/,
- odbywanie zajęć wojskowych na III, IV lub V roku studiów,
- zdawanie zaległości, poprawianie ocen w ciągu całego semestru.

Zmiany te dotyczą spraw trzeciorzędnych, ale MEN uznało problem za rozwiązany. Zresztą rektorzy zgodzili się z tą opinią, czego potwierdzeniem było kolejne oświadczenie Kolegium oskarżające studentów o zerwanie rozmów i opuszczenie sali obrad. Być może szanowne grono miało dobre intencje, ale jego postawa była, mówiąc delikatnie, niekonsekwentna. Wprawdzie nigdy nie poparli rektorzy formy protestu, jednak jego zasadnicze cele uznali za słuszne, gwarantując własnym autorytetem rozpoczęcie rzeczych rozmów z pełnomocnikami MEN i MON. Studenci zaufali tym obietnicom, przerywając bojkot. Niestety, okazało się, że nikt nie zamierza z nimi rozmawiać, gdyż chodziło faktycznie o spacyfikowanie nastrojów. Oczywiście winę za zignorowanie problemu ponosi przede wszystkim strona rządowa, która kolejny raz nie dotrzymała wcześniejszych obietnic. Jednak jej zła wola nie rozgrzesza wcale władz uczelni, które swą postawą umożliwiły taki rozwój wydarzeń, tracąc w dużej mierze zaufanie studentów. A rozbiście jedności środowiska studentckiego, to poważna strata.

Jeszcze bardziej dziwi to, że równie niechętnie odniósł się do protestu studentów Komitet Założycielski NSZZ "Solidarność" UJ, który w wydanym oświadczeniu zwracał uwagę, że należy walczyć o pluralizm w życiu akademickim, a nie "rozpraszać siły i energię na walkę o cele zastępcze". Zapelowano też o przerwaniu bojkotu. Oczywiście członkowie Komitetu Założycielskiego mają prawo mieć swoje zdanie na temat protestu studentów, ale uznanie sprawy, która tak bardzo poruszyła środowisko, za cel zastępczy wywołuje konsternację. Czyżby sugerowano w ten sposób, że studenci nie wiedzą, na czym naprawdę im zależy i potrzebują kogoś, kto im to wyjaśni?

4. listopada Komitet Bojkotowy wydał własną ocenę "przebiegu rozmów". Było to faktyczne przyznanie się do porażki, tym bardziej, że na wznowienie bojkotu już się nie zdecydowano. Żaden z zasadniczych celów protestu nie został osiągnięty. Praktycznie o próżność pozbycia się drobnych uciążliwości związanych ze szkoleniem wojskowym - jedyną ceną zdobyczą jest zasygnalizowanie problemu nie tylko władzom, ale całemu społeczeństwu, a także aktywizacja wspólnoty studenckiej.

Oprócz reformy szkolenia wojskowego studenci domagają się istotnych zmian w programie nauczania: m.in. zmiany statusu zajęć z ekonomii politycznej, socjologii i podstaw nauk politycznych z obowiązkowych na nadobowiązkowe, gdyż przedmioty te są często wykonywane do indoktrynacji politycznej.

Mimo niewielkich osiągnięć przedstawiciele Komitetu Bojkotowego bronią słuszności decyzji o zakończeniu protestu. Twierdzą, że nie można było dopuścić do "wykrzawienia się" studentów w proteście dotyczącym reformy studium wojskowego, ponieważ władzom właśnie na tym zależało. Poza tym sytuacja polityczna w kraju nie sprzyjała przeciąganiu protestu, a sami studenci byli zmęczeni trwającym ponad dwa tygodnie bojkotem. Argumenty te nie okazały się jednak dość przekonujące dla środowiska studentckiego, skoro 7 listopada przedstawiciele MZS Politechniki, AGH, AE, AR, Akcji Studenckiej WłP i Organizacji Studenckiej KPN w kolejnym oświadczeniu oskarżyli członków Komitetu o torpedowanie prób dalszego prowadzenia bojkotu, dopuszczenie do rozbięcia ogólnopolskiej reprezentacji studentów oraz przyjęcie - bez protestu - roli obserwatora, a nie strony negocjującej. Opinia ta jest w dużym stopniu krzywdząca dla MKB, ale zarzutów naiwności i braku konsekwencji trudno nie uznać za słuszne. Tym bardziej, że nie obszło się bez "strat własnych". Przemysław Markiewicz został zawieszony w prawach studenta, a środowisko podzieliło się na zwolenników i przeciwników kontynuowania bojkotu. Są także tacy, którzy pukają się w głowę i pytają, po co nam to było? Być może mają najwięcej racji.

Komitet Bojkotowy zapowiada tymczasem inne formy działania, które mają być koordynowane na szczeblu ogólnopolskim w ramach tzw. Krajowej Reprezentacji ds. Reformy Szkolenia Wojskowego. Konkrety nie są na razie znane. W skuteczność tego rodzaju inicjatyw wiążąc się nie wierzy, gdyż stanowisko władz nie uległo zmianie. Minister Edukacji Narodowej, Jacek Pisiak, wysłał do rektorów wyższych uczelni telexy, w którym stwierdza, że studenci odbywający szkolenie wojskowe nie są żołnierzami, stąd nie mogą się ubiegać o jego zmianę na szkolenie obronne. Twierdzenie to jest sprzeczne z obowiązującymi przepisami,

które mówią m.in. o możliwości umundurowania studentów w czasie trwania szkolenia czy też przyznają prowadzącym zajęcia kompetencje dowódców jednostek wojskowych.

Rektor UJ, prof. Koj obiecał przekazać postulaty studentów stronie rządowej. Czy i kiedy jednak możliwe będzie podjęcie rozmów, nie jest w stanie powiedzieć. Najprawdopodobniej znowu wszystkie sprawy będzie musiał przejąć Samorząd Studencki, gdyż Komitet Bojkotowy z chwilą zakończenia bojkotu nie reprezentuje nikogo prócz siebie. NYS nie jest przez władze uznawany za partnera do rozmów. Problem pozostaje nie rozwiązany. Być może trzeba kolejnego masowego protestu studentów, by twierdza, jaką jest studium wojskowe na uczelni, została zdobyta.

EWA ŁOSIŃSKA



KARL R. POPPER

## W co wierzy Zachód?

Muszę niestety zacząć od pewnego usprawiedliwienia, mianowicie od usprawiedliwienia tytułu mojego odczytu.\* Tytuł ten brzmi: *W co wierzy Zachód?* Myśląc o dziejach słowa "zachód" zapytuję samego siebie, czy nie powinienem być raczej go unikać. Słowo "zachód" jest bowiem tłumaczeniem angielskiego wyrażenia "the west", które to rozpowszechniło się w Anglii, szczególnie dzięki tłumaczeniu *Zmierzchu Zachodu* Spenglera, którego angielski tytuł brzmi: *The Decline of the West*. Ale ze Spenglerem oczywiście nie chciałbym mieć nic do czynienia. Uważam go bowiem nie tylko za fałszywego proroka rzekomego zmierzchu, ale także za symptom pewnego rzeczywistego zmierzchu, niekoniecznie zmierzchu Zachodu: jego prorocтва świadczą w istocie o umysłowym zmierzchu wielu myślicieli zachodnich. Obrazują one zwycięstwo intelektualnej nierzetelności, zwycięstwo pokusy uwodzenia bombastycznymi wyrażeniami spragnionej publiczności, słowem zwycięstwo heglowszczyzny /Hegalei/ i heglizującego historycyzmu, które już Schopenhauer przed ponad stu laty zdemaskował i zwalczał jako duchową zarazę Niemiec.

Przez wybór mojego tytułu i z uwagi na heglowskie reminiscencje, które może on wzbudzić, zmuszony jestem rozpocząć mój odczyt od wyraźnego odwołania się do heglowskiej filozofii, od prorocтва zmierzchu, jak również od prorocтва postępu.

Toteż przede wszystkim chciałbym się zaprezentować jako całkiem staroświecki filozof. - jako zwolennik owego dawno przezwydęzionego i przebrzmiałego kierunku, który Kant nazwał "Oświeceniem", inni zaś "Aufklarerei" bądź też "Aufklaricht".<sup>1/</sup> To jednak oznacza, iż jestem racjonalistą i wierzę w prawdę oraz rozum. Nie znaczy to, rzecz jasna, że wierzę we wszechmoc ludzkiego rozumu. Racjonalista nie jest wcale, jak utrzymują często nasi antyracjonalistyczni przeciwnicy, człowiekiem, który chciałby być czysto rozumną istotą i uczynić innych czysto rozumnymi istotami. Byłoby to przecież wysoce nierozumne. Każdy rozumny człowiek i stąd również, mam nadzieję, racjonalista, wie bardzo dobrze, iż w życiu ludzkim rozum może odgrywać tylko skromną rolę. Jest to rola krytycznego namysłu, krytycznej dyskusji. To, co mam na myśli mówiąc o rozumie lub racjonalizmie, nie jest niczym innym jak tylko przekonaniem, że możemy się uczyć przez krytykę - poprzez krytyczną dyskusję z innymi oraz samokrytykę. Racjonalista jest więc człowiekiem gotowym uczyć się od innych, nie przeto wskazuje, iż przyjmuje po prostu każde pouczenie, lecz dzięki temu, że pozwala innym krytykować swoje idee i krytykuje idee innych. Akcent położony jest tutaj na słowa "krytyczna dyskusja". Prawdziwy racjonalista nie sądzi, że on sam, czy też ktoś inny, zjadł wszystkie rozumy. Wie, że potrzebujemy wciąż nowych idei, a także, że sama krytyka ich jeszcze nie tworzy. Ale krytyka może nam właśnie pomóc w oddzieleniu ziarna od plew. Wie również, że uznanie lub odrzucenie jakiejś idei nie może być nigdy sprawą czysto racjonalną. Atoli tylko krytyczna dyskusja może nam pomóc widzieć wielostronnie daną ideę oraz właściwie ją osądzić. Oczywiście racjonalista nie będzie twierdził, że wszelkie stosunki ludzkie wyczerpują się w krytycznej dyskusji. Byłoby to znów wysoce nierozumne.

\* Tłumaczenie niniejsze za: K.R. Popper, *Auf der Suche nach einer besseren Welt*, Piper, München 1984

Wszelako racjonalista może zapewne wskazać na to, że nastawienie na *give and take*, czyli na wymianę i wzajemne korzyści, nastawienie, które leży u podstaw krytycznej dyskusji, ma wielkie znaczenie także z czysto ludzkiego punktu widzenia. Racjonalista łatwo bowiem zrozumie, że zawiężąc swój rozum innym ludziom, łatwo się przekona, iż krytyczne nastawienie może być jedynie wynikiem krytyki ze strony innych, że samokrytycznym można być tylko dzięki krytyce ze strony innych. Racjonalne nastawienie wyraża może najlepiej zdanie: Być może masz rację, ja zaś mogę się mylić; i jeśli nawet w naszej krytycznej dyskusji nie rozstrzygniemy ostatecznie, kto z nas ma rację, to możemy przecież mieć nadzieję, że po takiej dyskusji zobaczymy rzeczy nieco jaśniejsze niż przedtem. Obaż możemy uczyć się od siebie nawzajem, dopóki nie zapomnimy, iż rzecz nie polega na tym, kto zachowa rację, lecz raczej na tym, by zbliżyć się do obiektywnej prawdy. Albowiem chodzi nam przede wszystkim o prawdę obiektywną.

To właśnie, mówiąc krótko, mam na myśli, kiedy deklaruje się jako racjonalista /Aufklärer/. Jeśli jednak deklaruje się jako czysty racjonalista, wówczas twierdząc jeszcze coś więcej. Myślę wtedy o nadziei wyzwolenia samego siebie poprzez wiedzę, którą to nadzieję zainspirował Pestalozzi, a także o pragnieniu przebudzenia się z naszej dogmatycznej drzemki, jak to określili Kant. I myślę też o obowiązku każdego intelektualisty, o którym zapomniała niestety większość intelektualistów, począwszy zwłaszcza od filozofów: Fichtego, Schellinga i Hegla. **O b o w i ą z k i e m j e s t n i e p o z o w a ń n a p r o r o k a .**

Przeciwno temu obowiązkowi zgrzeszyli ciężko zwłaszcza myśliciele Niemiec; bez wątpienia dlatego, ponieważ o c z e k i w a n o od nich, by wystąpili jako prorocy - jako założyciele religii, objawiciele tajemnic świata i życia. I tutaj, jak twierdzię, stały popyt wytwarza niestety podaż. Poszukiwano proroków i wódzów. Nic więc dziwnego, że prorocy i wodzowie zostali znaleźieni. To, co wynaleziono w tej dziedzinie, szczególnie w obrębie kultury niemieckiej, zakrawa na nieprawdopodobieństwo. Na szczególne w Anglii rzeczy te są bardzo mało pożądane. Kiedy porównuję sytuację w obrębie obu sfer kulturowych, mój podział dla Anglii przekracza wszelkie granice. Trzeba sobie w tym kontekście przypomnieć o tym, że Oświecenie zaczęło się od "Listów z Londynu o Anglikach" Voltaire'a, od próby wprowadzenia na kontynent intelektualnego klimat Anglii, owej suchości, która tak osobliwie kontrastuje z jej klimatem naturalnym. Ta suchość, ta trzeźwość, jest po prostu wynikiem respektu przed bliźnim, któremu nie chce się niczego wmawiać i którego nie usiłuje się mamlić.

W obrębie kultury niemieckiej było niestety inaczej. Tutaj każdy intelektualista pragnie być powiernikiem ostatecznych tajemnic, ostatecznych rzeczy. Tutaj nie tylko filozofowie, lecz także naukowcy, lekarze, a w szczególności psychologowie, stają się założycielami religii.

Co jest zewnętrzną oznaką obu tych nastawień - nastawienia racjonalisty i nastawienia samozwającego proroka? Jest nią język. Racjonalista mówi tak prosto, jak to tylko możliwe. Pragnie być zrozumiany. W tym względzie pośród filozofów naszym niezrównanym mistrzem jest Bertrand Russell. Mówi zawsze jasno, w sposób prosty i bezpośredni. Można się z nim zgodzić. Mówi zawsze jasno, w sposób prosty i bezpośredni.

Dlaczego tak bardzo zależy nam, racjonalistom, na prostocie języka? Ponieważ prawdziwy człowiek Oświecenia, prawdziwy racjonalista nie chce nigdy perswadować. Co więcej właściwie nie chce nawet przekonywać. Stale jest świadom tego, że przeciw może się mylić. Przede wszystkim jednak za bardzo szanuje samodzielność, duchową niezależność drugiego, by chciał przekonywać go w istotnych sprawach; o wiele bardziej pragnie sprowokować jego sprzeciw, krytykę. Nie chce przekonywać, lecz pobudzać, prowokować do swobodnego wypracowania poglądu. Swobodne wypracowywanie poglądu jest dla niego cenne. Jest dla niego cenne nie tylko dlatego, ponieważ dzięki niemu możemy zbliżyć się do prawdy, lecz również z tego powodu, iż szanuje on swobodne wypracowywanie poglądu jako takie. Respektuje je także wtedy, gdy pogląd uważa za błędny.

Jedną z przyczyn, dla których racjonalista nie chce perswadować, jak również przekonywać, jest następująca. Wie on, że poza wąską dziedziną logiki i być może matematyki nie ma żadnych dowodów. Mówiąc krótko, n i c z e g o n i e m o ż n a d o w i e ś ć. Można zapewne przytaczać argumenty i krytycznie badać zaprzetywania. Jednakże poza matematyką nasza argumentacja nie jest nigdy wolna od luk. Musimy więc rozważać racje; musimy wciąż rozstrzygać, które racje mają większą wagę: racje przemawiające za pewnym zaprzetywaniem lub te, które przemawiają przeciw niemu. W ten sposób poszukiwanie prawdy oraz wypracowywanie poglądu zawierają zawsze element swobodnego rozstrzygnięcia. I jest to swobodne rozstrzygnięcie, które czyni pogląd cennym dla człowieka.

To wysokie uznanie dla wolnej, osobistej opinii przejęło Oświecenie od Johna

Locke'a i kształtowało je dalej. Jest ono bez wątpienia bezpośrednim następstwem angielskich i kontynentalno-europejskich walk religijnych. Z walk tych wykonała się ostatecznie idea tolerancji religijnej. I ta idea tolerancji religijnej nie jest bynajmniej ideą i tylko negatywną, jak często twierdzono /na przykład Arnold Toynbee/. Nie jest wyłącznie rodzajem znuzenia, bojem czy wyrazem poglądu o beznadziejności wymuszenia terrorem jedności religijnej. Wręcz przeciwnie, tolerancja religijna wypływa z pozytywnego poznania, w myśl którego wymuszona jedność religijna jest zupełnie bezwartościowa; wartość może mieć tylko ta wiara religijna, która przyjęta została bez przymusu. Pogląd ten prowadzi dalej. Prowadzi do poważania każdej dobrej wiary i przez to do respektu przed jednostką oraz jej opinią. Prowadzi, mówiąc słowami Immanuela Kanta /który był ostatnim wielkim filozofem Oświecenia/, do uznania godności osoby ludzkiej.

Przez twierdzenie o godności osoby rozumiał Kant nakaz szacunku dla każdego człowieka i jego przekonań. Kant łączył tę regułę najściślej z zasadą, którą Anglicy nazywają ściszenie złota regułą, i która w Niemczech brzmiała banalnie: *Nie czyni nikomu, czego nie chcesz, by tobie czyniono*. Kant powiazał następnie tę zasadę z ideą wolności: wolności myślenia, której schillerowski markiz Posa żądał od Filipa; wolności myślenia, którą determinista Spinoza usiłował uzasadniać w ten sposób, iż miała by ona być wolnością niepozywalną, wolnością, którą tyran usiłuje nam wydrzeć, której wszak nigdy wydrzeć nam nie potrafi.

Sądzę, że w tym ostatnim punkcie nie możemy zgodzić się ze Spinozą. Ścisze jest prawdopodobnie to, że wolność myślenia nie może zostać nigdy zdiawiona. Niemniej może na ją zdiawić w dużym stopniu. Albowiem bez swobodnej wymiany myśli nie może być mowy o rzeczywistej wolności myślenia. Potrzebujemy innych, aby na nich wypróbować swoje myśli; by zorientować się, czy wytrzymują one krytykę. Krytyczna dyskusja jest podstawą niezależnego myślenia jednostki. To zaś oznacza, że całkowita wolność myślenia nie jest możliwa bez wolności politycznej. Wolność polityczna staje się tedy warunkiem wstępnym pełnego, swobodnego używania rozumu przez każdą jednostkę.

Wszelako wolność polityczna, ze swej strony, może być zagwarantowana tylko przez tr a d y c j ę, przez tradycyjną gotowość do jej obrony, do walki o nią, do ponoszenia ofiar.

Twierdzone często, że racjonalizm stoi w opozycji do wszelkiej tradycji. I prawda jest, że racjonalizm zastrzega sobie prawo krytycznego dyskusowania każdej tradycji. Sam racjonalizm polega jednak, koniec końców, na pewnej tradycji: na tradycji krytycznego myślenia, swobodnej dyskusji, prostego, jasnego języka i politycznej wolności. /.../

Panie i Panowie, chciałbym Was prosić, by nie było mi poczytane za nieskromność, jeśli wyznam, że jestem już w środku naszego tematu. Wiem bardzo dobrze, że mój racjonalizm i moje oświecenie /Aufklarerei/ są wysoce staromodne, że byłoby czymś śmiesznym twierdzić, iż Zachód, świadomie czy nieświadomie, wierzy w te idee. Ale chociaż idee te traktowane są obecnie z pogardą przez niemal wszystkich intelektualistów, to przecież przynajmniej racjonalizm jest ideą, bez której Zachód nie mógłby w ogóle egzystować. Nic bowiem nie jest tak charakterystyczne dla naszej zachodniej cywilizacji jak fakt, że jest ona cywilizacją oddaną nauce. Jest jedyną cywilizacją, która stworzyła nauki przyrodnicze, i w której nauka odgrywa wprost rozstrzygającą rolę. Atoli nauka o przyrodzie jest bezpośrednim produktem racjonalizmu: jest produktem racjonalizmu, antycznej filozofii greckiej: presokratyków.

Proszę, zrozumcie mnie Państwo dobrze: nie głoszę tutaj tezy, iż Zachód wierzy w racjonalizm, czy to świadomie, czy nieświadomie. O wierze Zachodu będę mówił później. Tutaj chciałbym tylko stwierdzić, jak uczyniło to już wielu przede mną, że nasza zachodnia cywilizacja, historycznie rzecz biorąc, jest w dużym stopniu produktem owego racjonalistycznego sposobu myślenia, który odziedziczyła po Grekach. Wydaje mi się dosyć jasne, że kiedy mówimy o Zachodzie lub, jak Spengler, o Abendlandzie, mamy na myśli właśnie tę racjonalistycznie ukształtowaną cywilizację. Jeśli zatem starałem się tutaj o to, by wyjaśnić sens racjonalizmu, to nie tylko dlatego, że chciałem się odciąć od pewnych antyracjonalistycznych nurtów; lecz również po to, iż chciałem przybliżyć Państwu wielokrotnie oczernianą tradycję racjonalistyczną; tradycję, która wpłynęła decydująco na naszą zachodnią cywilizację - tak bardzo, że z pewnością wypada charakteryzować tę cywilizację jako jedyną, w której racjonalistyczna tradycja odgrywa decydującą rolę.

Innymi słowy, musiałem mówić o racjonalizmie, by wyjaśnić, co mam na myśli mówiąc o Zachodzie. I musiałem jednocześnie bronić trochę racjonalizm, bo zbyt często przedstawia się go w formie karykatury.

Przez to wyjaśnieniem już może to, co mam na myśli mówiąc o Zachodzie. Muszę wszak jeszcze dodać, że mówiąc o Zachodzie myślę w pierwszym rzędzie o Anglii, nawet jeszcze przed Szwajcarią. Być może jest tak dlatego, ponieważ mieszkam w Anglii; sądzą jednak, że są jeszcze inne przyczyny. Anglia jest krajem, który nie skapitulował nawet przed Hitlerem. I jeśli teraz powrócę do pytania *W co wierzą Zachód?* będę z pewnością myślał głównie o tym, w co wierzą moi przyjaciele i inni ludzie w Anglii. W co wierzą ci ludzie? Na pewno nie w racjonalizm. Na pewno nie w naukę, jaka stworzona została przez racjonalizm grecki. Przeciwnie, racjonalizm odczuwa się dzisiaj powszechnie jako przestarzały. Co się zaś tyczy nauki, to w ostatnich stuleciach stała się ona dla większości z nas, ludzi Zachodu, najpierw obca i niezrozumiała, a później, po wynalazku bomb atomowej, potworna i nieludzka. W co zatem wierzymy dzisiaj? W co wierzą Zachód?

Jeśli poważnie potraktujemy pytanie o to, w co wierzymy i postaramy się na nie szczerze odpowiedzieć, wówczas większość z nas wyzna zapewne, że właściwie nie wie, w co powinna wierzyć. Większość z nas przeżyła wiarę w tych lub innych fałszywych proroków i za ich pośrednictwem przeszła również przez wiarę w takich czy innych fałszywych bogów. Wszyscy przeszliśmy w naszych przekonaniach przez wstrząsy; i także ci nieliczni, których przekonania wyszły z wszystkich tych wstrząsów niezachwiane, będą musieli przyznać, że nie jest dzisiaj sprawą łatwą wiedzieć, w co wierzymy na Zachodzie.

Moja uwaga, iż nie jest dzisiaj sprawą łatwą wiedzieć, w co wierzą Zachód, brzmi może istotnie negatywnie. Znam wielu dobrych ludzi, którzy postrzegają jako słabość Zachodu to, że nie mamy na Zachodzie żadnej przewodniej, jednolitej idei, żadnego jednolitego przekonania, które moglibyśmy dumnie przeciwstawić komunistycznej religii Wschodu.

Ten szeroko rozpowszechniony pogląd jest nader zrozumiały. Lecz uważam go za zasadniczo błędny. Właśnie winno być naszą dumą, że nie mamy j e d n e j idei, lecz w i e l e idei, tak dobrych jak i złych; że nie mamy j e d n e j wiary, j e d n e j religii, lecz wiele, tak dobrych jak i złych. Jest właśnie oznaką przeważającej siły Zachodu, że możemy sobie na to pozwolić. Zjednoczenie Zachodu wokół j e d n e j idei, j e d n e j wiary, j e d n e j religii, byłoby kresem Zachodu, naszą kapitulacją, naszym bezwarunkowym poddaniem się totalitarnej idei.

Nie tak dawno temu, Harold Macmillan, obecnie brytyjski szef rządu, ale wówczas jeszcze minister spraw zagranicznych, na pytanie pana Chruszczowa, w co właściwie wierzymy na Zachodzie, odpowiedział: w chrześcijaństwo. I z punktu widzenia historii nie można nie przyznać mu racji. Abstrahując od racjonalizmu greckiego, nic nie wywarło takiego wpływu na historię idei na Zachodzie jak chrześcijaństwo oraz długie spory i walki wewnątrz chrześcijaństwa.

Mimo to uważam odpowiedź Macmillana za chybną. Z pewnością są wśród nas dobrzy chrześcijanie. Czyż jednak istnieje kraj, rząd, polityka, które szczerze i uczciwie można nazwać chrześcijańskimi? Czy może istnieć taka polityka, czyż długa walka pomiędzy władzą duchowną i doczesną oraz upadek doczesnych roszczeń Kościoła do władzy nie jest jednym z owych historycznych faktów, które głęboko wpłynęły na tradycję Zachodu? I czy chrześcijaństwo jest jednolitym pojęciem? Czyż nie istnieje wiele nie dających się pogodzić interpretacji tego pojęcia?

Jednakże dalece ważniejsza niż te wszystkie istotne pytania jest odpowiedź, którą Chruszczow, jak każdy marksista od czasów Karola Marksa, musiał mieć w pogotowiu. *Nie jesteście wcale żadnymi chrześcijanami, tak odpowiadają komuniści. Wszak nazywacie tylko siebie samych chrześcijanami. Prawdziwymi chrześcijanami jesteśmy my, którzy nie nazywamy siebie chrześcijanami, lecz komunistami. Modlicie się bowiem do manny, gdy tymczasem my walczymy za wsietnich, zgniekanych i strudzonych.*

Nie jest przypadkiem, że odpowiedzi tego rodzaju robiły zawsze największe wrażenie na prawdziwych chrześcijanach, że byli zawsze na Zachodzie chrześcijańscy komuniści i że istnieją wciąż jeszcze. Nie wątpię w szczerotę przekonania biskupa z Bradfordu, gdy w 1942 roku określał on nasze zachodnie społeczeństwo jako dzieło szatana i wyzwał wszystkie wierne służki religii chrześcijańskiej do pracy nad zwycięstwem komunizmu. Od tego czasu sami komuniści przyznali się do satanizmu Stalina i jego oprawców; teza o satanizmie Stalina była nawet przez krótką chwilę wprost integralnym składnikiem generalnej linii partii komunistycznej. Mimo to istnieją prawdziwi chrześcijanie, którzy wciąż jeszcze myślą tak jak dawny biskup z Bradfordu.

Nie możemy więc, jak Harold Macmillan, powoływać się na chrześcijaństwo. Nasze społeczeństwo nie jest społeczeństwem chrześcijańskim - tak jak nie jest ono również społeczeństwem racjonalistycznym.

I jest to zrozumiałe. Religia chrześcijańska żąda od nas czystości działania i

myślenia, którą całkowicie mogą osiągnąć tylko święci. Dlatego też zawsze chybiały celu niezliczone próby skonstruowania porządku społecznego przepojonego całkowicie duchem chrześcijaństwa. Z konieczności prowadziły zawsze do nietolerancji, do fanatyzmu. Mogą o tym zaświadczyć nie tylko Rzym i Hiszpania, lecz także Zurych i Genewa oraz liczne amerykańskie, chrześcijańsko-komunistyczne eksperymenty. Marksistowski komunizm jest tylko najstraszliwszym przykładem takiej próby urzeczywistnienia nieba na ziemi: jest to eksperyment, od którego uczymy się, jak łatwo ci, którzy ważą się na urzeczywistnianie nieba na ziemi, mogą urzeczywistnić piekło.

Oczywiście to nie sama idea chrześcijaństwa prowadzi do terroru i nieludzkości, lecz raczej idea jednej, jednolitej idei, wiara w jedną, jednolitą i wyłączną wiarę. Skoro więc określiłem się tutaj jako racjonalista, tedy moim obowiązkiem jest zapewne wskazanie na to, że terror racjonalizmu, religii rozumu może okazać się o wiele gorszy aniżeli terror chrześcijańskiego, mahometańskiego czy żydowskiego fanatyzmu. Prawdziwie racjonalistyczny porządek społeczny jest tak samo niemożliwy jak porządek prawdziwie chrześcijański, a próba urzeczywistnienia tego, co niemożliwe musi prowadzić w obu przypadkach do podobnych potworności. Najlepsze, co można by jeszcze powiedzieć o terrorze Robespierre'a to to, że był stosunkowo krótkotrwały.

Ci życzliwi entuzjaści, którzy mają chęć i potrzebę zjednoczenia Zachodu pod sztandarem jakiejś poryjającej idei, nie wiedzą, co czynią. Nie wiedzą, iż igrają z ogniem - że nęci ich idea totalitarna.

Nie, to nie jedność idei, to wielość idei, pluralizm jest tym, z czego winniśmy być dumni na Zachodzie. I na pytanie *W co wierzy Zachód?* możemy teraz udzielić prowizorycznej odpowiedzi. Możemy bowiem z dumą powiedzieć, że wierzymy na Zachodzie w wiele różnych rzeczy, w prawdziwe jak i nieprawdziwe; wierzymy w rzeczy tak dobre jak i złe.

Moja pierwsza i prowizoryczna odpowiedź na pytanie *W co wierzymy na Zachodzie?* jest zatem wskazaniem na niemal trywialny fakt: wierzymy w rzeczy wielorakie. Atoli ten trywialny fakt ma decydujące znaczenie.

Oczywiście liczni są ci, którzy przeczyli zachodniej tolerancji poglądów. Bernard Shaw, na przykład, twierdził zawsze, że nasze stulecie i nasza cywilizacja są tak samo nietolerancyjne jak wszystkie inne. Usiłował dowieść, że zmieniają się tylko treść i nasza przesyadnięta dogmatyką; że miejsce dogmatu religijnego zajął dogmat naukowy; że ten, kto współcześnie osmiesiłby się wystąpić przeciw dogmatowi naukowemu, zostałby spalony na stosie, tak samo jak niedługo Giordano Bruno. Chociaż Shaw uznał wszystko, by szokować swoich bliźnich własnymi opiniami, nie udało mu się to. Nie jest również prawdą, że niczym nadworny biżen mógł mówić wszystko, ponieważ nikt nie brał jego słów na serio. Przeciwnie. Być może zapomniano już o nim, niemniej jednak te jego idee są jeszcze dzisiaj traktowane przez wielu bardzo poważnie; zwłaszcza zaś jego teoria zachodniej nietolerancji miała istotnie wielki wpływ na jego współczesnych. Nie wątpię, że jego wpływ był większy niż Giordana Bruno; lecz umarł on w wieku ponad czterdzieliesięciu lat nie na stosie, lecz wskutek wypadku.

Proponuję zatem, by przyjęto moją pierwszą prowizoryczną odpowiedź na nasze pytanie oraz byśmy zwrócili się teraz ku wielu różnym rzeczom, w które wielu różnych ludzi wierzy u nas na Zachodzie.

Pośród nich są rzeczy dobre jak i złe, a przynajmniej takimi się mnie wydają. Ponieważ rzecz jasna, pragnę bardziej szczegółowo potraktować rzeczy dobre, przeto omówię najpierw złe, by uprzędnąć je z drogi.

Jest u nas na Zachodzie wielu fałszywych proroków i wielu fałszywych bogów. Są ludzie, którzy wierzą w siłę jednych i niewolę innych. Istnieją ludzie przekonani o jakiejś historycznej konieczności, o jakimś prawie dziejów, które możemy odgadnąć i które pozwoliłoby nam przewidzieć przyszłość oraz stanąć w odpowiednim czasie po stronie przyszłych władców. Są prorocy postępu jak i prorocy regresu i na przekór wszystkiemu wszyscy oni znajdują wiernych uczniów. Istnieją także prorocy i wierni bóstwa s k u t e c z n o s c i, *efficiency*, podnoszenia produkcji za wszelką cenę, cudu gospodarczego i władzy człowieka nad przyrodą. Ale największym wpływem wśród intelektualistów cieszą się z r e d l i w i p r o r o c y p e s y m i z m u.

W dzisiejszych czasach wydaje się niemal, jak gdyby wszyscy współcześni myśliciele, dla których nawet ich dobra sława jest tylko fraszka, zgodni byli co do tego, iż żyjemy w bardzo nędznym okresie - w czasie wprost zbrodniczym, a może nawet w najgorszym ze wszystkich czasów. Idziemy skrajem przepaści i to właśnie nasza moralna nikczemność, a może też grzech pierworodny, zaprowadziła nas tak daleko. Jesteśmy, jak twierdził bardzo szanowany przeze mnie Bertrand Russell, inteligentni - może zbyt inte-

ligentni; patrząc jednak z punktu widzenia etyki, nie jesteśmy wystarczająco dobrzy. Nasze nieszczerze polega na tym, że nasza inteligencja rozwinęła się szybciej niż zdolności moralne. W ten oto sposób doszło do tego, że staliśmy się wystarczająco rozgarnięci, by skonstruować bomby atomowe i wodorowe; byliśmy wszak zbyt niedojrzali moralnie, by stworzyć uniwersalne państwo światowe, które jako jedyne może nas uchronić przed mogącą unicestwić wszystko wojną.

Panie i Panowie, muszę wyznać, że uważam za błędną tę pesymistyczną opinię na temat naszych czasów. Uważam ją za niebezpieczną modę. Nie sprzeciwiam się idei uniwersalnego państwa czy światowej federacji. Lecz wydaje mi się zupełnie chybnym redukcjonowanie niepowodzenia Narodów Zjednoczonych do ułomności moralnej obywateli państw, członków tych narodów. Przeciwnie, jestem głęboko przekonany, że byłibyśmy, niemal wszyscy na Zachodzie, gotowi ponieść wszelką możliwą ofiarę, by zapewnić pokój na ziemi, gdybyśmy tylko mogli wiedzieć, w jaki sposób możemy sprawić, by nasze poświęcenie nie było rzeczywiście użyteczne. Nie znam osobiście nikogo, kto wzbudzałby we mnie wątpliwość co do gotowości poświęcenia swojego życia dla zapewnienia pokoju na świecie. Nie chcę przez to powiedzieć, by wcale nie istnieli ludzie, którzy nie byłiby na to przygotowani, lecz chciałbym stwierdzić, że nie ma ich wielu. Pragniemy zatem pokoju. Nie znaczy to wszakże, że chcemy pokoju za wszelką cenę.

Panie i Panowie, nie było i nie jest moim zamiarem poświęcać ten odczyt problemowi broni atomowej. W Anglii mówi się o tych kwestiach bardzo mało; i chociaż Bertrand Russell jest powszechnie czczony i uwielbiany, to przecież nie udało mu się sprycokować w Anglii dyskusji na te tematy.

Moi studenci na przykład, zaprosili go, by wygłosił wykład na ten temat i został on przyjęty owocami. Byli zachwyceni człowiekiem, słuchali go z wielkim zainteresowaniem, zabierali także głos w dyskusji, ale o ile wiem, zapomnieli później o temacie. W czasie mojego seminarium, gdzie dyskutowane są w najswobodniejszy sposób wszystkie możliwe problemy filozoficzne i polityczne od filozofii przyrody do etyki politycznej, żaden student nie podjął jeszcze problemu Russella. Wiemy jednak wszyscy, co o tym myślimy. Jest dla mnie jasne, że tu, na kontynencie, sytuacja wygląda całkiem inaczej. Być może zainteresuje Państwa to, iż poglądy Russella<sup>41</sup> poznałem najpierw przed osmiu laty /a więc w roku 1950/ w Ameryce z ust pewnego fizyka atomowego, który przypuszczalnie bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do podjęcia decyzji o konstrukcji bomby atomowej. Głosił on, że w obliczu wyboru: kapitulacja albo wojna atomowa, należałoby raczej kapitulować. Twierdził, że nastąpiły wówczas zapewne gorsze dni ze wszystkich, jakie ludzkość kiedykolwiek przeżyła, lecz nie tracił nadziei, że wolność mogłaby kiedyś zostać wywalczona na nowo. Natomiast wojna atomowa byłaby końcem wszystkiego.

Ta sama idea została wyrażona przez innych w ten sposób, że lepiej, a nawet zaszczepniej byłoby żyć pod panowaniem sowieckim, aniżeli zginąć od bomb atomowych. Szanuję ten pogląd, ale te alternatywy uważam za błędne postawione. Jest ona błędna, ponieważ nie bierze pod uwagę możliwości innego niż kapitulacja sposobu uniknięcia wojny atomowej. Nie wiemy, czy wojna atomowa jest nieunikniona i w żaden sposób tego wiedzieć nie możemy. Nie wiemy także, czy kapitulacja nie spowodowałaby wojny atomowej. Prawdziwą alternatywą, przed którą stoimy, jest ta: czy powinniśmy skapitulować, by zmniejszyć możliwość czy prawdopodobieństwo wojny atomowej, czy też powinniśmy, jeżeli tak musi być, bronić się wszelkimi środkami?

Również i ta alternatywa oznacza trudny wybór. Ale nie jest to wybór pomiędzy stronnictwem pokoju a stronnictwem wojny, lecz między stronnictwem, które wierzy w to, że wystarczająco dokładnie potrafi określić stopień prawdopodobieństwa wojny atomowej, i które uznaje ryzyko za zbyt wielkie - za tak wielkie, że proponuje kapitulację - oraz, z drugiej strony, stronnictwem, które również pragnie pokoju, nimirajm jrdnak wierzy także w tradycję wolności i pamięta o tym: że nigdy nie bronilo się wolności bez ryzyka; że Churchill nie skapitulował przed Hitlerem, gdy jego położenie wyglądało niemal beznadziejnie i że nikt nie myślał o kapitulacji, kiedy Hitler oznajmił: swojej broni typu V, jakkolwiek wtajemniczeni mieli podstawy, by sądzić, że rozporządza już bronią atomową. Także Szwajcaria była nieraz w niemal beznadziejnym położeniu, ostatnio chyba za Hitlera; i wielu chciało kapitulować. Jednakże udało się jej zachować swoją wolność i zbrojną neutralność.

Chciałbym więc wskazać tu na to, że oba stronnictwa są przeciwne wojnie. Oba zgadzają się również co do tego, że nie są bezwarunkowo przeciwne wojnie. Oba wreszcie wierzą nie tylko w pokój, lecz także w wolność.

Wszystko to wspólne jest obu stronnictwom. Przeciwnieństwo rodzi się wraz z pytaniem: czy powinniśmy i czy możemy obliczać tu stopień prawdopodobieństwa, czy też winniśmy słuchać tradycji?

Pojawia się tu przeciwnieństwo między racjonalizmem a tradycją. Racjonalizm jest, jak się wydaje, za kapitulacją; tradycja wolności jest jej przeciwna. /.../ Nie wierzę, że w tego rodzaju sprawach możemy ustalić stopień prawdopodobieństwa. Nie jesteśmy wszechwiedzący; wiemy bardzo mało i nie powinniśmy odgrywać roli opatrznici. Właśnie jako racjonalista sędzę, że racjonalizm ma swoje granice i nie jest możliwy bez tradycji. /.../

Jeśli więc znów powrócimy do pytania, w co wierzymy tu, na Zachodzie, tedy możemy zapewne powiedzieć, że spośród różnych właściwych odpowiedzi, jakich moglibyśmy udzielić, jedną z najważniejszych jest dzisiaj z pewnością ta: nienawidzimy samowoli, ucisku i przemocy; i wszyscy wierzymy w to, że naszym zadaniem jest zwalczać te rzeczy. Jesteśmy przeciwko wojnie i wszelkiego rodzaju szantażom, a w szczególności przeciw szantażom przez zagrożenie wojną. Uważamy wynalazek bomby atomowej za nieszczyście. Chcemy pokoju i wierzymy w jego możliwość. Wszyscy wierzymy w wolność i w to, że tylko wolność czyni życie godnym przeżycia. Nasze drogi rozchodzą się tam, gdzie rodzi się pytanie czy jest rzeczą słuszną ulegać szantażom i próbować uzyskać pokój za cenę wolności.

Fakt, że my, na Zachodzie, pragniemy pokoju i wolności i wszyscy gotowi jesteśmy ponieść dla nich największe ofiary, wydaje mi się ważniejszy niż spór między oboma stronnictwami, który przedstawiłem. Sędzę ponadto, że fakt ten usprawiedliwia naszkicowanie bardzo optymistycznego obrazu naszych czasów. Z trudem ośmielam się przedłożyć Państwu moją optymistyczną tezę. Obawiam się, że utracę zupełnie Wasze zaufanie. Albowiem moja teza jest taka: twierdząc, że nasza epoka jest, wbrew wszystkiemu, najlepszym z wszystkich czasów, na temat których posiadamy historyczną wiedzę; że forma społeczeństwa, w którym żyjemy na Zachodzie, jest pomimo wielu braków najlepsza spośród tych, które znamy.

W żadnym wypadku nie mam tu na uwadze głównie materialnego dobrobytu, choć przecież jest rzeczą nader znaczącą, że w ciągu krótkiego okresu od II Wojny Światowej nędza niemal całkowicie zniknęła w Europie północnej i zachodniej - podczas gdy w latach mojej młodości i jeszcze między dwiema wojnami światowymi ubóstwo /zwiększała wskutek bezrobocia/ było problemem społecznym. Zanikanie nędzy, niestety tylko na Zachodzie, ma różne przyczyny, z których najważniejszą jest zapewne podnoszenie się poziomu produkcji. Chciałbym jednak wskazać tu szczególnie na trzy przyczyny, które mają znaczenie w związku z naszym tematem: ukazują one dokładnie to, w co wierzymy na Zachodzie.

Po pierwsze, nasze czasy sformułowały dogmat moralny, który podniesiony został wprost do godności prawdy moralnie oczywistej. Mam tu na myśli twierdzenie, że nikt nie może być głodny, dopóki dysponujemy wystarczającą ilością pożywienia. Następnie, w naszych czasach postanowiono po raz pierwszy, ty walki z nędzą nie pozostawiać w przypadku, lecz traktować ją jako elementarny obowiązek wszystkich - zwłaszcza tych, którym powodzi się materialnie dobrze.

Po drugie, nasze czasy wierzą w zasadę dawania wszystkim możliwie jak najlepszej szansy w życiu /equality of opportunity/; lub innymi słowy, wierzą wraz z Oświeceniem w wyzwolenie samego siebie przez wiedzę, a wraz z Pestalozzim - w zwalczanie nędzy za pomocą wiedzy; i dlatego słuszenie utrzymują, że studia uniwersyteckie powinny być dostępne dla wszystkich, którzy posiadają wymagane uzdolnienia.

Po trzecie, nasze czasy rozbudziły w masach potrzeby i ambicję posiadania. To oczywiście, że jest to niebezpieczny rozwój, niemniej jednak bez niego nędza mas jest nie do uniknięcia: rozpoznali to wyraźnie reformatorzy XVIII i XIX stulecia. Spostrzegli, iż problemu ubóstwa nie dało się rozwiązać bez współpracy ubogich, że zanim można było pozyskać ich współpracę, należało najpierw rozbudzić w nich pragnienie i wolę polepszenia swojej sytuacji życiowej. Pogląd ten został jasno sformułowany na przykład przez George'a Berkeley'ego, biskupa z Cloine. /Jest to jedna z tych prawd, które atakował marksizm i wskutek przesady zniekształcił nie do poznania./

Te trzy dogmaty - otwartej walki z nędzą, dostępnej dla wszystkich edukacji i podnoszenia się poziomu potrzeb - doprowadziły do wysoce problematycznych ewolucji.

Walka z nędzą stworzyła w niektórych krajach państwa opiekuńcze wraz z potężną biurokracją opieki społecznej oraz niemalże groteskową biurokratyzację lecznictwa i szpitalnictwa; z tym oczywistym rezultatem, że tylko część sum wydawanych na opiekę służy tym, którzy jej naprawdę potrzebują. Jednakże krytykując państwo opiekuńcze - a powinniśmy i musimy je krytykować - nie wolno nam zapominać o tym, że odpowiada ono wysoce humanitarnemu i godnemu podziwu dogmatowi moralnemu, że społeczeństwo gotowe

ponosić w walce z nędzą ciężkie ofiary materialne /a nawet ofiary nadmierne/ dowiodło tym samym, iż traktuje poważnie ten moralny dogmat. Ponadto, społeczeństwo gotowe do ponoszenia takich ofiar w imię swych moralnych przekonań, ma także prawo do urzeczywistniania swoich idei. Nasza krytyka państwa opiekuńczego musi przeto pokazać, w jaki sposób idee te mogłyby zostać lepij urzeczywistnione. Idea równych szans /equal opportunity/ oraz równego dostępu do wyższego wykształcenia doprowadziła w niektórych krajach do podobnych, podziwu godnych, rezultatów. Dla niezamożnego studenta mojej własnej generacji walka o wiedzę była przygodą, wymagała ciężkich wyrzeczeń, które zdobytej wiedzy nadawały szczególną wartość. Obawiam się, że to nastawienie obecnie zanika. Nowemu prawu do wykształcenia odpowiada nowe nastawienie, które żąda zagwarantowania tego prawa; to zaś, czego bez wyrzeczeń można się domagać jako naszego prawa, cení się niako. Ofiarując tym studentom prawo do wykształcenia, społeczeństwo okradło ich z niezastąpionego przeżycia.

Jak wnioskujecie Państwo zapewne z moich uwag na temat obu tych punktów, optymizm mój nie polega na tym, że podziwiam wszystkie rozwiązania, które znaleźliśmy; polega on na tym, że podziwiam motywy, które pobudzają nas do wystawienia tych rozwiązań na próbę. Motywy te demaskowane są oczywiście, jak to obecnie jest w moździerzu, przez wszystkich pesymistów jako obłudne i z gruntu egoistyczne. Zapominają oni przy tym, że nawet moralni obłudnicy właśnie przez swój akt obudny poświadczą to, że wierzy w moralną wyższość owych wartości, co do których udaje, że cení je ze względu na nie same. Nawet nasi wielcy dyktatorzy zmuszeni byli mówić tak, jak gdyby wierzyli w wolność, póki i sprawiedliwość. Ich hipokryzja była nieświadomą i niezamierzoną akceptacją tych wartości oraz nieświadomą i niezamierzoną pochwałą mas, które w te wartości wierzyły.

Przechodzę teraz do trzeciego z moich punktów, do podnoszenia się poziomu potrzeb. Powstaje tu wyraźna niedogodność, gdyż idea ta sprzeciwia się bezpośrednio innemu ideałowi wolności - greckiemu i chrześcijańskiemu ideałowi braku potrzeb i wyzwolenia samego siebie przez ascezę.

W ten sposób podniesienie się poziomu potrzeb doprowadziło do wielu przykrych zjawisk: na przykład do wzbudzenia ambicji doświadczenia i przeświadczenia innych, zamiast do korzystania z osiągniętego poziomu życia; do niezadowolenia zamiast do zadowolenia.

Nie należy tu jednak zapominać o tym, że stojmy u progu nowego rozwoju, że potrzebujemy czasu, by się uczyć. Nowa i rozpowszechniona niedawno gospodarcza ambicja mas nie jest być może zbyt dobra moralnie i nie jest z pewnością piękną, ale jest ostatecznie jedyną drogą przewyżczenia ubóstwa wychodzącą od jednostki. I dlatego też nowa ambicja gospodarcza mas stanowi pełną nadziei drogę do przewyżczenia tego, co w państwie opiekuńczym wydaje się problematyczne: biurokratyzacji i krępowania jednostki. Albowiem jedynie gospodarca ambicja jednostki może doprowadzić do tego, że ubóstwo stanie się rzadkością, że w końcu niedorzecznością musi się okazać, to, by walkę z nędzą traktować jako główne zadanie państwa. Tylko realizacja wysokiego poziomu życia mas może rozwiązać stary problem ubóstwa - i to właśnie przez to, że stanie się ono rzadkim zjawiskiem, któremu zaradzi wówczas odpowiednia opieka, nie powiększając wszak obciążonej tym zadaniem biurokracji.

W tym świetle wydaje mi się, że wydajność naszego zachodniego systemu gospodarczego posiada wielkie znaczenie. Jeśli nie uda nam się uczynić ubóstwa rzadkością, wówczas może się nam łatwo przydarzyć, że zatracimy naszą wolność w biurokracji państwa opiekuńczego.

Chciałbym tu jednak przeciwstawić się zapatrywaniu, które w różnych formach pojawia się wciąż na nowo; mianowicie twierdzeniu, iż rozstrzygnięcie między zachodnią i wschodnią formą gospodarki zależy koniec końców od tego, która z obu tych form jest skuteczniejsza. Osobiście wierzę w ekonomiczną wyższość gospodarki wolnorynkowej i niższość tak zwanej gospodarki planowej. Uważam wszakże za całkowicie błędne uzasadnianie, a nawet utwierdzanie się w naszej negacji tyranii przez odwoływanie się do przewag gospodarczych. Nawet wtedy, gdyby państwowa, centralnie planowana gospodarka miała przewagę nad gospodarką wolnorynkową, byłbym przeciwny gospodarce planowej; dlatego mianowicie, ponieważ zwiększa ona siłę państwa, doprowadzając aż do tyranii. Nie zwalczamy nierentowności komunizmu, ale jego niewolę i niełudzkość. Nie zamierzamy sprzedawać naszej wolności za niską soczewicę - ani za cenę najwyższej produktywności, największego bogactwa i największej pewności gospodarczej - jeśli w ten sposób mielibyśmy to okupić niewolą.



Użyłem tu wiele razy słowa *masa*, by wskazać szczególnie na to, iż podniesienie się poziomu potrzeb oraz gospodarcza ambicja mas są zjawiskami nowymi. Dlatego właśnie jest dla mnie sprawą istotną, by odciąć się od tych, którzy stale mają na ustach słowo *umasowienie* i określają naszą formę społeczeństwa jako społeczeństwo *masowe* /*mass society*/. Słowo *umasowienie* stało się ulubionym hasłem, podobnie jak wyrażenie *lunt mas*, które, jak się zdaje, zafascynowało istotnie intelektualistów i półintelektualistów.

Nie sądzę, aby te hasła miały choćby w najmniejszym stopniu do czynienia z naszą społeczną rzeczywistością. Nasi filozofowie społeczeństwa błędnie postrzępli i błędnie przedstawili tę rzeczywistość. Widzieli fałszywie rzeczywistość społeczną, ponieważ patrzyli przez okulary platońsko-marksistowskiej teorii społeczeństwa.

Platon był teoretykiem absolutystyczno-arystokratycznej formy rządu. Jako zasadniczy problem teorii państwa stawiał kwestię: Kto powinien panować? Kto ma rządzić państwem? Wielu, pospółstwo, masa czy też nieliczni, wyrani, elita?

Jeżeli pytanie *Kto powinien panować?* uznaje się za podstawowe, wówczas istnieje oczywiście tylko jedna rozsądna odpowiedź: nie głupcy, lecz znający się na rzeczy, mędrzy; nie pospółstwo, lecz nieliczni najlepsi. Oto platońska teoria panowania najlepszych - arystokracja.

Jest rzeczą szczególną, iż wielcy przeciwnicy tej platońskiej teorii - wielcy teoretycy demokracji, jak na przykład Rousseau - akceptowali platoński sposób stawiania kwestii, zamiast odrzucić go jako niedostateczny. Jasne jest bowiem, że podstawowe pytanie teorii państwa jest całkiem inne niż to, które przyjmował Platon. Nie: *Kto powinien panować?* lub: *Kto winien mieć władzę?* lecz: *Jak wielką władzę należy przysmac rządowi?* albo, może jeszcze dokładniej: *W jaki sposób możemy rozbudować nasze urządzenia polityczne tak, aby nawet nieudolni i nieuczciwi władcy nie mogli nam wyrządzić wielkiej szkody?*

Innymi słowy, funkcjonalnym problemem teorii państwa jest problem pokonkrecenia władzy politycznej, samowoli i nadużyć władzy, dzięki instytucjom, w których władza jest podzielona i kontrolowana.

Nie wątpię w to, że demokracja, w którą wierzy Zachód, nie jest niczym innym jak państwowością, w której władza jest ograniczona i kontrolowana w tym właśnie znaczeniu. Albowiem demokracja, w którą wierzymy, nie jest żadnym ideałem państwa. Wiemy bardzo dobrze, że dzieje się wiele rzeczy, które nie powinny się dziać. Wiemy, że to dziecinne, dążąc do ideałów w polityce, a każdy dojrzały człowiek na Zachodzie wie o tym: że wszelka polityka polega na wyborze mniejszego zła /jak powiedział kiedyś wiedeński poeta Karl Kraus/. Istnieją dla nas tylko dwie formy rządu: taka, która umożliwia rządzącym uwolnienie się od ich wadów bez rozlewu krwi oraz taka, która im tego nie umożliwia lub umożliwia tylko przez rozlew krwi. Pierwszą z tych form rządu nazywamy zazwyczaj demokracją, drugą - tyranią lub dyktaturą. Nie chodzi tu jednak o nazwy, lecz tylko o rzecz.

Wierzymy na Zachodzie w demokrację wyłącznie w tym trzeźwym znaczeniu - jako formę państwa najmniejszego zła. Tak samo przedstawił ją człowiek, który uratował Zachód i demokrację: *Demokracja jest najgorszą z wszystkich form rządów, z wyjątkiem wszystkich innych form rządów*, powiedział kiedyś Winston Churchill.

Pytanie Platona: *Kto powinien rządzić? Kto powinien mieć władzę?* jest więc źle postawione. Wierzymy w demokrację; nie dlatego wszakże, ponieważ w demokracji panuje lud. Ani Państwo, ani ja, nie rządymy; przeciwnie, zarówno Państwo, jak i ja, jesteśmy rządzeni, i częstokroć bardziej niż tego sobie życzymy. Wierzymy w demokrację jako jedyną formę rządu, która żyje w zgodzie z polityczną opozycją i przez to także z polityczną wolnością.

Niestety, problem Platona *Kto powinien rządzić?* nie został nigdy wyraźnie odsunięty przez teoretyków państwa. Przeciwnie, Rousseau stawiał to samo pytanie, odpowiadał jednak inaczej niż Platon: *Powinno rządzić powszechna wola /ludu/ - wola wielu, nie zaś nielicznych*; jest to niebezpieczna odpowiedź, prowadzi bowiem do mitologii i ubóstwienia ludu oraz jego woli. Nawet Marks stawiał kwestię podobnie jak Platon: *Kto powinien rządzić, kapitaliści czy proletariusze?* i również on odpowiadał: *Powinno rządzić wielu, nie zaś nieliczni, proletariusze, nie kapitaliści*.

W przeciwieństwie do Rousseau i Marksa w rozstrzygnięciu większością głosowania czy wyborów widzimy jedynie metodę podejmowania decyzji bez rozlewu krwi i przy minimalnym ograniczeniu wolności. Ponadto stojmy na stanowisku, że mniejszości mają swoje pra-

wa do wolności, które nie mogą być nigdy zanegowane na mocy postanowień większości.

Z pewnością moje wywody wyjaśniły jasno, że modne słowa *masa* i *elita* oraz hasło *masowienia* i *buntu mas* są wyrażeniami pochodzącymi z kręgu idei platonizmu i marksizmu. Tak jak Rousseau i Marks odwrócili po prostu platońską odpowiedź, tak również i niektórzy przeciwnicy Marksa odwracają odpowiedź markowską. *Buntowi mas* chcą przeciwdziałać poprzez *bunt elit*, przez co powracają znów do platońskiej odpowiedzi i rozszerzenia elity do władzy. Atoli to wszystko właśnie jest całkowicie błędne. Niech Bóg nas broni przed antymarksizmem, który po prostu odwraca marksjam: znamy go wyjątkowo dobrze. Nawet komunizm nie jest gorszy od antymarksistowskiej *elity*, która rządziła Włochami, Niemcami i Japonią i mogła zostać odsunięta tylko przez powszechny rozlew krwi.

Czyż jednak, zapytują nasi wykształceni i połowicznie wykształceni, może być słuszne to, że nasze głosy mają znaczyć nie więcej niż głosy człowieka niewykształconego i zamiatacza ulic? Czyż nie istnieje duchowa elita, która widzi dalej niż masy ludzi nieokrzyszanych i której z tego powodu powinno się zagwarantować większy wpływ na wielkie decyzje polityczne?

Odpowiadamy, że wykształceni i połowicznie wykształceni mają niestety większy wpływ w każdym przypadku. Piszą książki i artykuły, naucozają i wygłaszają wykłady, zabierają głos w dyskusjach i mogą wywierać wpływ jako członkowie swych partii politycznych. Nie chcą jednak twierdzić, że uważam za dobre to, iż wpływ ludzi wykształconych większy jest niż wpływ zamiataczy ulic. Platońską ideę panowania mędrców i ludzi dobrych należy zdanien bezwarunkowo odrzucić. Któż bowiem rozstrzygnie między mądrością i niewiedzą? Czyż najmądrzejsi i najlepsi nie zostali ukrzyżowani - i to przez tych, których uznawano za mądrych i dobrych?

Czy powinniśmy obciążyć dodatkowo nasze instytucje polityczne, czyniąc z oceny mądrości, dobroci, bezinteresownego świadczenia i prawości problem polityczny? Jako praktyczny problem polityczny, problem elity jest zatem całkiem beznadziejny. Nie można nigdy odróżnić praktycznie elity od klik.

Gadanie o *masach* i *elitach* nie zawiera iskierki prawdy, bo przecież masy te wcale nie istnieją. Tym, przez co wszyscy całkiem obojętnie, nie jest *człowiek masowy*, lecz masa samochodów i motocykli. Ale kierowca samochodu i motocyklista nie są wcale ludźmi masowymi, wprost przeciwnie: są niepoprawnymi indywidualistami, którzy, można by niemal powiedzieć, prowadzą z wszystkimi samotną walkę o istnienie. To właśnie tu, jeśli w ogóle gdziekolwiek, stosuje się indywidualistyczny obraz *homo homini lupus*.

Nie, nie żyjemy w społeczeństwie masowym. Przeciwnie, nie było nigdy czasów, w których tak wielu ludzi byłoby gotowych do poświęceń i ponoszenia odpowiedzialności. Nigdy przedtem nie spotykało się tak wiele dobrowolnego i indywidualnego bohaterstwa, jak w nieludzkich wojnach naszego czasu i nigdy społeczna i materialna zachęta do bohaterstwa nie była mniejsza. Grób nieznanego żołnierza, *unknown soldier*, przed którym każdego roku chylił czoła monarcha Anglii, wyraża naszą wiarę, wiarę w tych, którzy żyją na Zachodzie, w prostego człowieka, w nieznanego bliźniego. Nie pytamy, czy należał do *mas* czy do *elity*. Był człowiekiem, zrozumieć tylko to.

To wiara w bliźniego i respekt przed nim czyni nasz czas najlepszym z czasów, o których wiemy; wiara, której autentyczności dowodzi gotowość do ponoszenia ofiar. Wierzmy w wolność, ponieważ wierzmy w naszego bliźniego. Znieśliśmy poddaństwo i żyjemy w najlepszym, gdyż zdolnym do ulepszeń, porządku społecznym, najlepszym spośród tych, które znamy z historii.

Spoglądając z tej pozycji na Wschód, możemy jednak zakończyć pojedynczą uwagę. Komunizm wprowadził znów poddaństwo i tortury; tego nie możemy mu wybaczyć. Ale nie wolno nam zapominać, że wszystko to stało się dlatego, ponieważ Wschód uwierzył w teorię, która obiecywała mu wolność - wolność dla wszystkich ludzi. W tym gorzkim konflikcie nie wolno nam zapominać, że również to najgorsze zło naszego czasu zrodzone zostało z pragnienia, by nieść pomoc innym i ponosić za nich ofiary.

KARL R. POPPER  
z niemieckiego przełożył FLORIAN KRAKOWSKI

Przypisy:

1/ Terminy "Aufklarerei" i "Aufklaricht" nie mają odpowiednika w języku polskim, dlatego podaję je w brzmieniu oryginalnym. Były one stosowane przez pierwszych romantyków niemieckich w walce z ideami Oświecenia i posiadają w stosunku do nich charakter drwiny, a nawet szyderstwa /przyp. tłum./.

2/ J.-H. Pestalozzi /1746-1827/, szwajcarski pedagog, znany ze swych zasług dla rozwoju metod oświecenia publicznego.

3/ Czyli o Zachodzie. W języku polskim nie ma rozróżnienia odpowiadającego niemieckim wyrazom "der Westen" i "das Abendland". Ten ostatni wyraz wskazuje na schyłkowość Zachodu /przyp. tłum./.

4/ Chodzi o pacyfizm filozofa angielskiego.

5/ Por. na ten temat moje książki: *The Poverty of Historicism*, 1957, oraz *The Open Society and Its Enemies*, 1945, 1984.

# SPOSÓB NA ŻYCIE W PRL

WITOLD BEREŚ

## Ostatni gasi światło

"...Tak, "Res Publica". Faktycznie, najlepsza teraz firma. Ten znakomity numer o emigracji... Ale... Może najpierw - bo tego będzie najmniej - o tym, z czym się choćby w pewnej mierze zgadzam. Teraz, kiedy jeszcze jestem w kraju, czasami i mnie robi się ciekawie, gdy przeglądam stare fotografie klasowe, jadę po nich półem i mamrocze: tego już nie ma, z tą już nie spróbuję, z tym przyjacielem pewnie się nie zobaczę, ten wywiad, tamten wywiad, ta puściła się z Arabem i też jej nie ma; na Zachodzie jest ten i ten, i ten... Wokół robi się pusto. Kawał najfajniejszego okresu mojego życia wyrwało mi z bebeczków i już niewiele zostało w kraju takich, z którymi będzie można opijać wspomnienia. Jestem też w stanie zrozumieć pokolenie jajogłowych humanistów. Czegoś bowiem mogą dokonać na Zachodzie, o czym pisać i dyskutować? Jakże po iluś tam latach intensywnego życia w naszej kulturze przerwać się w zupełnie inny obszar językowy, obszar, którego problemów się nie zna i nie rozumie, obszar niejednokrotnie na tyle cywilizacyjnie odległy od naszego, że trudno przyswoić sobie podstawowe elementy życia codziennego. Cóż zresztą mówić o jajogłowych! Dla każdego niemal Polaka adaptacja kulturowa to ogromny problem, choć dla wielu ten ogromny problem leży gdzieś na marginesie codziennych zmagani. Zresztą i ja sam, choćbym nie wiem jak głośno deklarował swoje desinteresment dla sprawy polskiej, zawsze będę nią jakoś związany i włączony.

Zapewne smutne jest również i to, że zanikła w ostatnich latach wiara w możliwość działania "tu i teraz" i to, że "Polska stała się w pewnym sensie krajem nieprawdziwym". Ale chwileczkę: po co ten pełen wyrutu wyrok i wiszące w podtekście oskarżenia tych, którzy wyjeżdżają? Nie ten adres. Tu trzeba bez żadnego kręcenia wyraźnie powiedzieć: to nie "myślenie na Zachód" jest temu winne. Czy na przykład gdyby szczernie zamknąć granice, życie w Polsce dla wielu z nas nie byłoby "fikcją", "życiem nieprawdziwym", jak to określa Marcin Król?

To wyłącznie władze komunistyczne są winne temu, że sytuacja doszła aż do takich skrajności. Co ja mówię władze - konkretnie Jaruzelski, Rakowski, Barcikowski et consortes - bo że największa fala emigracji to rzecz lat ostatnich i rządzącej ekipy, to chyba nie ulega wątpliwości. I o tych rzeczywistych sprawcach trzeba będzie pamiętać w wolnej Polsce, której oczywiście nigdy nie będzie.

To na pewno smutne uczucie, kiedy idę ulicami jednego z większych miast na ziemiach odebranych Niemcom i widzę w mijanych blokach po kilkanaście czarnych, pozabawionych firanek okien. Znajomy mówi, że ostatnio uciekło do Reichu 15 lekarzy. Czyli, że w tej chwili brakuje w mieście 15 lekarzy.

I ludzie stojący po obu stronach tej olbrzymiej barykady dzielącej Polskę oburzają się w tym momencie straszliwie. Jedni powiedzą, że państwo na wykształcenie tych lekarzy wydało... milionów złotych, a drudzy zapłaczą, że powinność patriotyczna i zawodowa nakazuje siedzieć tu, w kraju i własnym potem wyciśniętym przez solidną pracę - walcząc z komną. Bo przecież jeśli najlepsi wyjadą...

Ale coś to wszystko, moim zdaniem, za bardzo zawieszono w powietrzu...

Tak, ale jest to również trochę bardziej skomplikowane, szczególnie, że w tej drugiej argumentacji pada wiele ważkich racji. Bowiem pozornie, wydaje się, że jeżeli rzeczywiście w danej chwili zabraknie tych 15 lekarzy to ucierpią, nawet bezpośrednio kilku lub kilkunastu chorych.

Odstożmy jednak emocje na bok i spróbujmy co nieco policzyć. Wedle ostatnich informacji władz - i to zapewne prawdziwych - w ostatnich latach (t.j. 1980-87) ponad 320 tys. obywateli polskich deklarujących wyjazdy turystyczne, znacznie przedłużyło swój pobyt i dotychczas nie powróciło. Jeśli doliczyć do tego tych, którzy legalnie wyemigrowali /w ramach wyjazdów osób represjonowanych ze względów politycznych oraz w ramach łączenia rodzin/, to okaże się, że brakuje dziś w Polsce ponad 400 tys. ludzi, którzy prawdopodobnie zwiążą się w większości ze swoimi nowymi krajami - wśród nich, tych tak opłakiwanych lekarzy jest ok. 4 tysięcy.

I ta liczba może się niektórym wydawać zawrotna, szczególnie w stosunku do liczby średniej emigracji z lat 1945-77, kiedy to rocznie wyjeżdżało tylko ok. 20 tys. ludzi. Ale ta średnia mówi przecież bardzo niewiele, składają się bowiem na nią np: duża emigracja z lat popóździemilkowej odwilży /1957-58/ i oczywiście emigracja końca lat 60., umownie zwana "marcową". I w ten sposób okazuje się, że dla ponad 30-milionowego narodu, tak duża skala emigracji nie jest wcale decydującym upustem krwi. Ani działaczy społecznych i politycznych, ani lekarzy, inżynierów i humanistów nie zabrakło i nie może zabraknąć /są zresztą narody, które więcej - dostownie - krwi straciły i nadal są silne i poważane/. No, chyba żeby ktoś chciał walczyć z Sowietami na ilość szabel, ale w tym przypadku, gdyby nawet całą stuletnią emigrację wskrzesił i dokonał cudu przekonania jej do powrotu do dzisiejszej Polski, stalibyśmy i tak na straconych pozycjach.

Oczywiście najłatwiej zbić argumenty władzy, która bardzo lubi podkreślać jak to "państwo dopłaca". Zwykle z oficjalnych komunikatów okazuje się, że dopłaca do wszystkiego: go: poczynszy od 1 litra mleka, przez tonę węgla czy stali, aż po wykształcenie jednego lekarza albo inżyniera. Ale jakże to? Przecież wiadomo, że państwo to nader abstrakcyjne pojęcie w naszym przypadku - zatem wynika z tego, że chodzić tu może o nas wszystkich. Więc cóż - w tym debilnym kręgu wszyscy dopłacają do wszystkiego? Ale z czego? Gdzie wartość dodatkowa? Ano nie ma, czego widocznym dowodem stan gospodariki.

Bez przesady z tymi rzekomymi dobrodziejstwami fikcyjnego państwa, z łaski którego kształcą się studenci, zobowiązani do tego, by w końcu spłacić rzekome długie zaciągnięte u amorficznego, pozabawionego podmiotowości "społeczeństwa".

Paradoksem jest natomiast, że ci, którzy wyjechali, zdążyli zaistnieć na Zachodzie na tyle, abyśmy "tu i teraz" mieli z tego całkiem niezłe korzyści; np. poprzez skrócenie kolejki za mieszkaniami czy do sklepów. /Zawsze było tak, że jeśli w domu było za dużo gąb do wyżywienia, część dzieciaków szła po prostu w świat - i nie było w tym nic niernormalnego. Często mówi się w Polsce, że emigracja jest skłócona, że nie pamięta o kraju, że niewiele znaczy w świecie. A jak jest naprawdę? Nie wspominając już o emigracji wcześniejszej, która "dorobiła się" wielkiej literatury /od lat ponad 150 to właśnie emigracja dysponowała przecież największymi nazwiskami!/, wielkich polityków /niech Brzezinski starczy tu za innych/ i sprawnej infrastruktury kulturalnej /kluby, pisma, wydawnictwa/ - spojrzmy na emigrację lat ostatnich. Przede wszystkim niesiychanie ważną rolę w ratowaniu krajowej sytuacji gospodarczej odgrywa prywatny import z Zachodu i płynąca stamtąd pomoc finansowa. A i życie kulturalne - mimo tak krótkiego czasu - zdążyło już rozwinąć się na emigracji i, co najważniejsze, odgrywa bardzo ważną rolę w życiu Polski /"Kontakt", "Zeszyty Literackie"/.

"Co tu pięprzyć o pozostaniu tutaj i walce każdego'na swoim odcinku pracy". InajniERO wie sprzedają frytki, humaniści handlują na bazarach, a tak chętnie pryncypali lekarze, zamiast leczyć, serzyjni wystawiają recepty i zwolnienia na tej szybkiej taśmie produkcyjnej jaką jest ośrodek zdrowia. Ileż hipokryzji w tym utyskiwaniu czerwonego, że "my im - wykształceni, a oni - wio!" Tak, mają wykształcenie, ale czy mają tu pracę? Ileż nierzetelności w podejściu czarnych - czy poza rozmowami prowadzonymi przez moralistów na papierze, polski inżynier może rzeczywiście wspomóc polskie budownictwo mieszkaniowe?

A sprawę postawić trzeba w taki sposób. Mam święte prawo robienia tego, co chcę - a więc i jeżdżenia gdzie chcę - jeśli tylko nie odbieram komuś wolności. Niby na początku czytamy to samo w tej Res Publice, ale potem? Jedni zamiatają epernę, drudzy kapują, a wszyscy drą koty. I tytuł "Pierwsze trzy lata. Fragmenty wypowiedzi osób, które wyjechały z Polski w latach 1981-84". Chwilurka, ale coż to znowu za manipulacja! Ja najpierw bym się zastanowił czy ci, którym się powiodło na Zachodzie i robią tam samą, mają czas na wypisywanie płaciliwych wspomnień. A co, takich ludzi nie ma? Parokrotnie byłem na Zachodzie, ciężko pracowałem, ale spermy nie zamiatalem. I widziałem różnych gości, większość sobie chwaliła. Owszem, byli tacy, którym się nie udało; tak na marginesie - to jeszcze jeden mł, jakoby wiali ci najlepsi i najbardziej przedsiębiorczy: trafia tam całkiem sporo palantów, którym nigdy i nigdzie nie będzie dobrze.

Ja wiem, czy ci zadolni bęsknili? Nie przesadzajmy z tym patriotyzmem rodem z czytanek dla dzieci. Jak chcesz i masz co robić, nie będziesz sobie wmawiał, że brak ci tych wierzb nadwiślańskich. A mnie się na przykład robi niedobrze, jak widzę otaczający mnie wólkół smród i brud i kłakuty drzew stojące nad największym polskim ściekiem.

Bez dwóch zdań - można sobie tam dać radę bez specjalnych obciążeń i jakiegóś kolosalnej siły przebiecia czy bezwzględnej walki o byt. Owszem, niektórzy mogą utracić komfort psychiczny - to szczególnie ci, których tu doceniano z racji specyficznego fachu /np. humaniści/ lub ci, którzy są nieodrodnymi dziećmi komuny /"czy się stoi czy...". No i w porządku - niech wracają do kraju. Wszak bez czarów - winniśmy się kierować nade wszystko własnym komfortem - jeśli ja czuję się tu dobrze, to i innym jest ze mną dobrze. Ale ta zasada musi działać w obie strony. A to jak tam komus się ułoży, czy więcej straci czy zyska - to są tylko indywidualne decyzje, które każdy musi sobie po cichu skalkulować.

A ja tutaj czuję się źle. I powiem ci: niech się tylko trafi okazja, to trzasnę drzwiami i w nogi. Dlaczego jeszcze tego nie zrobitem? Po prostu nie pójdę na to, aby później dopiero ściągąć rodzinę. A i paszportu nie za bardzo chcę dać. Ale mam gąsne uciekać i wiem co chcę robić. Mam szansę na niemieckie papiery, skończoną informatykę, znam niemiecki i angielski. Czegóż więcej? Czy to oznacza, że sprzedam się? A co to dzisiaj oznacza? Francuzi pracują w Niemczech, Niemcy w Chinach, Chińczycy w Stanach. Casy świat otwiera się do siebie i porzuca wzajemne uprzedzenia. Ludzie całym falami wyjeżdżają z jednego do drugiego kraju i nie zatrzymują związków z ojczyzną. Dlaczego nie miałbym też tak zrobić? Skończmy z tymi uprzedzeniami, xenofobią i polskim gettem. Nie, nie będę czarował, że "tam" mogę zrobić więcej dla Polski. Ja w końcu jadę tam dla siebie. Ale nie zapomnę ani o polskim języku, ani o polskiej kulturze. Ani o swoich najbliższych - a znam takich, którzy całkiem nieźle żyli ze zrabtów z Zachodu. I tyle też nu pewno będą mógł zrobić.

Dlaczego, dlaczego? Moja sytuacja finansowa w kraju jest co najmniej bardzo dobra. Mam samochód, rodzinę, zdrowe dzieci, duże mieszkanie. Więcej: mam pracę plus-minus zgodną z wykształceniem, a że jest to, tzw. sektor prywatny, więc i pieniądze stosunkowo duże. Więc po co uciekać? Odpowiedź jest krótka - żeby mieć więcej. I znowu - nie czarujemy się. Tak sobie myślę, że motorem całej naszej cywilizacji jest szeroko pojęta chęć bogacenia się. Stagnacja natomiast - to cofanie się.

Ale odpowiedź może być też inna. I równie prawdziwa. Codziennie rano, kiedy się budzę, wyglądam przez okno i pytam samego siebie: "co ja tu robię, jeśli nic nie robię?" A tak: NIC, NUL, ZERO. To przecież jest dom wariatów! Sześć mnie opierdala, że mamy za duże obroty. Musimy zaniżyć oficjalnie zatwierdzone cenniki, żeby nie zarobić za dużo i żeby nie przycięcia się Izba Skarbowa. Co z tego, że wszystko legalnie. Legalnie, nielegalnie

nie, zarabiasz nasz tyle i tyle - to co powyżej, to już nadużycia. sur u cokolwiek roz-  
wijać! Jestem pewien, że tak jest nie tylko u nas - na tyle znam tę branżę prywatyzacji.  
Więc co - ja mam w tym kraju dokładać do szaleństwa?! Cóż zresztą mówić o możliwościach  
rozwoju, jeśli trzy do pięciu godzin dziennie trzeba stracić na zakupy. Należałoby także  
wspomnieć i o "drodze przez mękę" w rozlicznych poczekałnicach urzędów i załatwianie tych  
wszystkich swistków i pieczętek. Oczywiście, każdy prywatyzator musi przejść indywidualny  
kurs dawania w łapę i zwykłe dzięki temu coś może załatwić, ale niekoniecznie przyspie-  
szyć. A już na pewno żadne łapowoty nie załatwią czystego powietrza, cieczy w kranach bar-  
dziej przypominającej wodę, normalnej szkoły i nie powstrzymają choćby trochę otaczają-  
cego nas absurdu i bezprawia.

Więc co: mam ciężko zapieprzać, by żyć w gnoju, a dranie będą mi zabierać 80% moich  
dochodów i jeszcze wymagać ode mnie, bym ich kochał i chodził głosować na nich, milczał  
i gryzł się w sobie, bo inaczej zmieni się światło dla inicjatywy prywatnej z zielonego  
na czerwone i dadzą mi w dupę?

Niech nikt się nie oszukuje, że istnieją jakiegokolwiek szanse na jakąkolwiek reformę.  
Wszystko wygląda ładnie na papierze, a papier - jak wiemy - wszystko zmiesie, a co dopie-  
ro subtelne oszustwa i manipulacje, i obietnice bez pokrycia obliczone na naiwnych ban-  
kierów zachodnich i ich pożyczki. O faktycznym podejściu do zmian w gospodarce może co  
niewiele powiedzieć wypowiedź jednego z aparatczyków na posiedzeniu Rady Narodowej miasta  
Krakowa poświęconym reformie: "Towarzysze, obiecuje wam - nie będzie restauracji kapita-  
lizmu w Podgórzal" Głos ten został powitany gromkimi oklaskami.

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: stoimy w przededniu zupełnego załamania gospodarki,  
a co za tym idzie - zupełnego załamania państwa. Ale nie będzie to załamanie, które poz-  
woliłoby sensownie rządzić nową ekipie - po prostu czerwony w konwulsjach agonicznych  
przytępił nam mocno. A jeśli człowiek zda sobie sprawę z tego, że na odratowanie te-  
go trzeba by przynajmniej z dziesięciu - dwudziestu lat w kraju rządzonej demokratycznie,  
a pod rządami komunistów szansa takich nie ma wcale - to już jasne się robi, że boję się  
po prostu tu pozostać.

Istnieje tylko jedno rozwiązanie, o którym w końcu trzeba głośno powiedzieć: strzelać  
albo emigrować. Być może zbyt późno wyjaskrawiam, ale już naprawdę mam dosyć namawiania do po-  
rozumienia czy budowy społeczeństwa niezależnego. Tym niech zajmują się zawodowcy polity-  
cy opozycyjni, ale ja mam już dosyć polityki. I co mam zrobić? A ja po prostu chciałbym  
konkretnych, szybkich rozwiązań, które umożliwiłyby mi normalną pracę. I dość mam kurwa  
tych zastępczych tematów: jakichś żydów, wielkiej polityki, pierlestrójki, Wałęsy i Ja-  
ruszelskiego, to znaczy, jak będę miał trochę wolnego czasu, mogę podyskutować o duchu  
czasów. Ale nie w proporcjach odwrotnych. Ale niestety, na taką zmianę się nie zanosi."

Mój rozmówca w dwa miesiące po tym niemal monologu wyjechał z kraju wraz z rodziną  
na stałe.

wysłuchał i opracował: WITOLD BERES

## Polityka na poziomie trawnika

Scenariusz wypadków, które doprowadziły mnie do podjęcia samodzielnej działalności gospodarczej był dość stereotypowy. Jestem ekonomistą, pracowałam na wyższym uczelni, zaangażowałam się w tworzenie struktur Solidarności, a potem w ich działalność. W czasie stanu wojennego ukrywałam się, zostałam złapana, wówczas dotknęły mnie różnorodne represje, ale w ostatecznym rozrachunku wyszłam na wolność po warunkowym umorzeniu mojej sprawy. Na uczelni już nie pracowałam. Podjęłam dorywcze zajęcia pozwalające przeżyć. Po niedługim czasie, gdy warunki finansowe poważnie się pogorszyły, gdy powiększyła mi się rodzina, zaczęłam się rozglądać za możliwością poprowadzenia interesu, aczkolwiek motywacje finansowe nie były jedynymi jakie miałam do tego skłonności. To co robię, na również podobną ideową. Uważam, że była to metoda poruszania się w tym kraju po stanie wojennym, w nowym porządku, który nastąpił.

Byłam gotowa zająć się czymkolwiek: produkcją, sprzedażą, czymkolwiek, co przynosiło by jakies zyski. Ale tych możliwości nie było wówczas tak wiele. Przystąpiłam do spółki istniejącego już sklepu. Wiąza się z tym ogromne peregrynacje obrazujące funkcjonowanie systemu na szczeblu lokalnym. Dziś niektóre sprawy się odblokowały, wówczas było dużo trudniej, dużo smieszniej.

Moje pierwsze podejście do interesu było w innym mieście. Znalazłam lokal i wystąpiłam do władz o wydanie zezwolenia. Wcześniej musiałam przygotować pokazną stertę dokumentów i złożyć ją w Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług, gdzie miało być wydana opinia, czy taka osoba jak ja może tę działalność prowadzić. Dowiedziałam się, jakie kwalifikacje trzeba posiadać. Pani powiedziała, że przy zasadniczej szkole handlowej czy podobnej szkole średniej, nie ma problemu. Akademia ekonomiczna również miała wystarczyć, ale niestety potrzebne było zaświadczenie z ostatniego miejsca zatrudnienia, w którym podstawą mojej pracy była znajomość języka obcego. Komisja wydająca opinie miała więc poważne wątpliwości, czy to są właściwe kwalifikacje. Udało mi się jednak wytłumaczyć, że znajomość języka może nie przeszkodzić mi w wydawaniu reszty. Tak z grubą już teczką dokumentów trafiłam do odpowiedniego wydziału handlu. Pierwsze wezwanie dotyczyło tego, że nie mam udokumentowanej praktyki w handlu. Tego się nie bałam, bo gdy kończyłam studia, obowiązywały jeszcze przymusowe skierowania do pracy. Zostałam wtedy zapotrzebowanym w przedsiębiorstwie handlu wewnętrznego. Przedstawiłam stosowne dokumenty, jednak urządził orzekł, że to nie wystarczy, aby w handlu pracować, bo nie stałam za ladą. Załatwiłam więc odpowiedni papierek i powiadomiłam wydział handlu, że mam taką praktykę. Po półtora miesiąca ponownie wezwano mnie, by oświadczyć, że moja sprawa wygląda czarno. Są wprawdzie wszystkie dokumenty, ale też są zastrzeżenia i gdy kierowniczką wróci z urlopu, to mi wszystko wyjaśni. Kierownicy się nie doczekali, ale poczta przyniosła mi odmowę wydania zezwolenia. Zacytowany był punkt z ustawy o prowadzeniu działalności gospodarczej, w którym mówi się o racjonalnym wykorzystaniu kadr. Urząd orzekł, że byłabym nieracjonalnie wykorzystana, gdybym zatrudniła sama siebie, przy czym z pewnością praca sprzedawcy w sklepie państwowym spełniłaby wymóg racjonalności. Nie omieszkałam spytać w wydziale handlu, gdzie się mogą zatrudnić racjonalnie, ale zostałam poinformowana, że to nie leży w ich kompetencjach, lecz wydziału zatrudnienia. Miałam jeszcze środki odwoławcze i mogłam się "wspiąć" do sądu administracyjnego. Mimo to poddałam się, ale jako że znalazłam już lokal w innym atrakcyjniejszym miejscu, więc zrezygnowałam z tamtego. Próba wycofania dokumentów nie powiodła się. Pani stwierdziła, że skoro była sprawa, to musi być teczka sprawy. Następnym miesiącem zajęło mi ponowne gromadzenie wszystkich zaświadczeń, aby móc rozpocząć starania w innym mieście. Ponownie trafiłam do zrzeszenia, złożyłam dokumenty i ponownie czekałam aż zbierze się odpowiednia komisja i wyda opinie. Po miesiącu się zebrała, zaopiniowała pozytywnie i już mnie znał!



wiec było łatwiej/ i przesiała dokumenty do wydziału handlu w drugim mieście. Upłynęły dwa miesiące bez żadnej wiadomości. Potem zaczęła się zabawa tego rodzaju, że zawiadano mnie, iż owszem - wszystko już gotowe, ale proszę przyjść w poniedziałek, w poniedziałek wyszedł kierownik, więc jutro, potem nie było tej pani, co ma to w szufladzie i tak minął miesiąc. Przeszła w końcu chwila, kiedy powiedzieli, że to właśnie ten dzień. Gdy zjawiam się, pani powiedziała, że wydatki mi zezwolenie, ale z żalem musi stwierdzić brak zaświadczenia o niekaralności, ponieważ stare się zdezaktualizowało w trakcie sprawy i potrzebne jest nowe. Pewne rodzaje przestępstw dyskwalifikują człowieka w staniu się o zezwolenie na działalność gospodarczą. Są to przestępstwa o charakterze finansowym. Przeszkadza też działalność na szkodę państwa, ale tego wobec mnie nikt nie podnosił. Usiłowałam wytknąć, że za przestępstwa tego rodzaju siedzi się kilka lat i gdybym je popełniła, to nie chodziłabym teraz na wolności. Był to akurat ósmy marca. Z urzędu wyszłam w południe i udałam się, po drodze kupując kwiaty, do sądu, do pani wydającej owe zaświadczenia. Nieczego od niej nie chciałam, tylko złożyłam życzenia, obypując przy tym miłymi słowami. Pani sama donyśliła się, że muszę czegoś potrzebować. Wyjaśniłam o co chodzi i dała się przekonać. Wsiadła do mojego auta. Pojechaliśmy do rady narodowej, gdzie jest końcówka komputerowa z centralnego rejestru skazanych z Warszawy. Pani wystukała tam co trzeba, a było to tak ściśle tajne, że nie wpuszczono mnie nawet na piętro, na którym się ona znajduje. Pani wyszła z gotowym zaświadczeniem. Do urzędu wróciłam po 40 minutach. Urzędniczka stwierdziła, że to niemożliwe, abym tak szybko zdobyła zaświadczenie. Złożyłam więc oświadczenie, iż podrobiłam pieczętkę i wypisałam sobie dokument na korytarzu. W związku z tym niech wytoczy postępowanie o oszustwo, ale na razie niech mi wyda zezwolenie. Urzędniczka wahała się. Powiedziała - wie pani, to zezwolenie rzeczywiście jest gotowe, ale nie ma kierownika, żeby podpisał, już wyszedł. Ja odpowiedziałam - to będę jutro o siódmej, jak przyjdzie do pracy. Rano kierownik był, ale zezwolenia dalej nie było, bo nie miał go kto przepisać na maszynie. Upłynęły jeszcze dalsze dwa tygodnie zakończone ostatecznie sukcesem. Zezwolenie dostałam, ale ono się uprawomocnia bodajże 14 dni. Czternastego dnia przyszła listonoszka z wezwaniem do wydziału handlu. Zezwolenia nie zabrałam na wszelki wypadek ze sobą, żeby go nie mieć nawet w razie rewizji osobistej. Oświadczone mi, że jednostka zwierzchnia przeprowadzi kontrolę i wykazała brak jeszcze jednego zaświadczenia. Jeśli go natychmiast nie doniosę, to zezwolenie zostanie cofnięte. Warunkiem rozpoczęcia jakiegokolwiek starań jest złożenie wszystkich zaświadczeń. Miałam więc dwie możliwości: wytoczyć wojnę urzędowi, albo zdobyć jeszcze jeden papierek. Dałam jednak urzędowi szansę. Przyniosłam zaświadczenie na drugi dzień i kazałam sobie przybić pieczętkę stwierdzającą uprawomocnienie zezwolenia. Mogłam przystąpić do spółki.

Mogłam inwestować, prowadzić działalność handlową. To trwało blisko rok, aż wspólnik podjął decyzję o przeprowadce do innego miasta, czyli o rozwiązaniu spółki. Okazało się, że w tej sytuacji nie mogę prowadzić dalej interesu, bo lokal jest przydzielony ramnego, a nie na mnie. Wzięłam przydział i poszłam do urzędu, żeby skreślono jedno nazwisko, wpisano drugie, ale okazało się, że aby dostać ten lokal, muszę wystąpić do Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług, komitetu osiedlowego, komisji lokalowej przy wydziale lokalowym i o opinie radnych nadzorujących jej pracę. W tej sytuacji nie doszło do rozwiązania spółki, bo odebrano by mi lokal. Argument, że ja to prowadzę ze wspólnikiem i choć kontynuować nie miał żadnego znaczenia. Miałam więc stanąć przed kolejnymi "ciałami" i wystarczyć, iż jedno powie "nie", a lokal zostałby mi odebrany i wszystkie inwestycje, jakie zrobiłam, przepadłyby. Zaczęłam się przedzierać przez tych biurokratów, czego efekt był taki, że wprawdzie nie na piśmie, ale ustnie, kierownik wydziału handlu odmówił mi. Co prawda sprawa nie stanęła jeszcze na komisji lokalowej będącej dość dziwnym ciałem, bo jest i przedstawiciel sił urzędniczych, i "czynnik społeczny", lecz sprawę referuje kierownik, który był przeciw mnie. Reszta opinii była pozytywna. Żeby uzasadnić finał, muszę wrócić do mojej działalności. To wszystko działo się zimą, natomiast w lipcu przeprowadziłam kilka akcji - nazywam je propagandowymi. Otóż wyszłam ze sprzedażą na ulicę. Postanowiłam to przeprowadzić zgodnie z prawem, do czego było mi potrzebne coś, co niewiadmo nazywa się zgodą na zajęcie chodnika. Chodnik zajęłam o tyle, że stał mały stolik i sprzedawca, co w sumie dało i metr kwadratowy. Okazało się, że jego zajęcie wymaga zgody władz na szczeblu wojewódzkim. Udałam się do wojewódzkiego zarządu dróg publicznych, a tam zażądano szkicu w czterech egzemplarzach, podania i wypełnienia formularza. Zabawa jest słowo szkicu, bo były to dwie kreski, kwadracik i napis "1 m<sup>2</sup>". Nie trzeba było architektów, więc sama to zrobiłam. Następnie dowiedziałam się, że niezbędna jest opinia WUSW i wydziału komunikacji Urzędu Miasta. Duszkałam opinie obu instytucji, przy czym w każdej dołączałam szkic, podania, zaś-

władzenia itd. To zajęło mi prawie miesiąc. Na koniec kierownik wydający takie zaświadczenia poszedł na urlop, a zastępca nie czuł się wdaty tego zrobić. Wydawało się, że sprawa już upadła, ale kierownika z jakichś powodów odwołano z urlopu. Policzone mi oczywiście odpowiednią opłatę, którą uiściłam w kasie zarządu dróg. Zezwolenie okazało się niezwykle potrzebne, bo w godzinę po rozpoczęciu sprzedaży przyjechała milicja i każała wszystko związać. Nic nie mogli mi zrobić, gdyż miałam zezwolenie i to z pieczętkami tyłu ważnych instytucji, więc odjechali z niczym. Na koniec sierpnia przygotowałam zaś akcję specjalną pod hasłem "witaj szkole". Zyskałam tym uznanie miejscowego komitetu osiedlowego. Jego delegat złożył mi wyrazy wdzięczności za to, że pomyślałam o szkole, zapewnił o poparciu mojej działalności, po czym - na stronie - spytał, czy nie mam kurtki na zimę, bo trudno dostać, a on potrzebuje coś ciepłego. Było jeszcze za wcześnie na takie ubiory, więc musiałam mu poradzić, żeby zaczął, aż się oziębi.

Komitet osiedlowy jest najważniejszą instytucją w Polsce ludowej, bo o ile w innych ciałach jest dwuinstancyjność, o tyle od opinii komitetu nie ma się do kogo odwołać. Komitetu nikt nie przeszkodził. Na szczęście już miałam jego przychylność. Metodą jest albo seria kolejnych zabójstw i wybór nowego komitetu, albo zdobycie przychylności. Różnymi sposobami się to osiąga, mnie się udało za Garm. Komitet grupował też radnych dzielnicowych i kiedy kierownik zapewniał, że jego kaktus urośnie, to ci ruszyli do szturmu i wymusili zgodę na przydział lokalu.

Staraliśmy się od razu o dwa lokale, bo mój sąsiadował z kilkunastoletnim pustostanem. Sklep powstał z podziału mieszkania ścianką dzielącą. Uznano jednak, że byłaby to już przesada, gdyby prywatny miał w sklepie ubikację albo wodę. Warto dodać, iż zimną zanurzając tam rury i w całej kamienicy nie ma wody. Wówczas mówi się lokatorom "trudno, nikt tam nie mieszka, a praw fizyki nic nie zmienią", ale decyzji też nie. To do dzisiaj stoi puste, jednakże nie dopuszczono, aby inicjatywa prywatna aż tak miała się rozwijać.

Mając decyzję o przydziale lokalu mogłam wystąpić o zezwolenie na prowadzenie handlu, bo poprzednie było nieważne. Tym razem poszło dużo łatwiej, choć załatwiał ten sam kierownik, który odmawiał lokalu. Niestety wszystkie argumenty były po mojej stronie i nie mógł odmówić, jeśli dał zgodę rok wcześniej.

Byłam jednak tak pazerna, że wystąpiłam od razu o poszerzenie zezwolenia o siewo "buty". Wpisanie na maszynę słowa "buty" kosztuje 8 tysięcy złotych. W urzędzie spytali mnie - co pani, buty będzie sprzedawać? Odpowiedziałam - tak, będę sprzedawać, na co oni - nie, to niemożliwe, pani ma i tak bardzo szerokie zezwolenie. Na zezwoleniu mam tylko siewo "odzież", ale urzędnik uznał, że rozszerzenie o siewo "buty" byłoby niewłaściwe, choć wówczas na rynku butów brakowało. Odczekałam taktycznie pół roku i zwróciłam się ponownie, już oficjalnie z pismem. Poinformowano mnie, iż nie ma problemu. Muszę tylko wystąpić do zrzeszenia handlu i złożyć odpowiednie dokumenty. Zaciśniętam zęby i zrobiłam to wszystko. Znowu upłynęło nieco czasu. Komisja wydała opinię pozytywną i przesłała papiery do wydziału handlu. Gdy pojawiłam się po odbiór poszerzonego zezwolenia, poinformowano mnie, że chętnie by mi je wydano, ale w ogóle nie ma moich dokumentów ani opinii zrzeszenia. Zrzeszenie zaklinało się, iż dokumenty wysłano, wydział handlu - że ich nie dostał. Utknęłam w martwym punkcie. W tej sytuacji albo trzeba było przeprowadzić dochodzenie, gdzie są dokumenty, albo zbierać je wszystkie od początku. Tak płynęły kolejne miesiące. Dokumenty znalazły się, gdy pani w zrzeszeniu poszła na urlop. Zastępowała ją koleżanka nie znająca sprawy i dzięki temu wyciągnęła moją ciężką z biurka. Wzięłam ją za poświęceniem i osobiście zainicjowałam do urzędu. Upłynął miesiąc. Postanowiłam dowiedzieć się, co z moją sprawą. Oni ówczesni, chętnie wydaliby mi zezwolenie, ale nie mam opinii komitetu osiedlowego odnośnie do sprzedaży butów. Komitet chętnie przychyliłby się do mojej prośby, ale idąc wybory i przekształca się w komisję wyborczą, więc nie będzie się moimi butami zajmował. Poza tym, przy całym ich poparciu dla idei sprzedaży butów, do komitetu nie mogą zwrócić się ja, tylko wydział handlu i bez oficjalnego wniosku opinii nie wyraża. Płynęły dalsze miesiące, zrzegnowałam z butów, nie miałam czasu za tym chodzić, aż pewnego dnia będąc w urzędzie przy zupełnie innej okazji z głupia frant zapytałam o wynik moich starań sprzed pół roku. Zezwolenie o dziwo było przygotowane. Co ciekawe, była na nim data tylko dwa tygodnie późniejsza niż termin złożenia przeze mnie podania. Tymczasem wzrosła podaż butów i już nie opłacało mi się ich sprzedawać.

Drugi wątek tej opowieści muszę zacząć od truizmu. Potem go będę uzasadniać. System, w którym funkcjonuje inicjatywa prywatna jest chory. Choroba polega na tym, że państwo postanowiło prowadzić totalną kontrolę finansową nad każdym, kto prowadzi jakąś działalność gospodarczą. Ta kontrola przejawia się w ogromnej ilości ksiąg i dokumentów, w których taki człowiek musi zanotować każdą złotówkę, jaką wydaje lub jaką wpływa. Po to aby urząd finansowy przychodząc na kontrolę mógł stwierdzić brak 20 złotych i mieć powód

do wszczęcia postępowania karno-skarbowego. Jest to przypadek mojego kolegi. Opowiem o nim dla ilustracji. Podczas remanentu stwierdzono - przy półtoramilionowej wartości towaru w sklepie - brak 125 złotych. W związku z tym wszczęto postępowanie karno-skarbowe, które skończyło się grzywną 15 tysięcy złotych. Nie to byłoby najbardziej bolesne, bo on gotów był tę karę zapłacić dla świętego spokoju, tylko to trafia do akt. Każdy zaś pod koniec roku składa do urzędu skarbowego wszystkie księgi i wówczas takie wykroczenie jest podstawą do ich niezamiania. Wtedy urząd podatkowy sam szacuje obrót, jaki został osiągnięty, a nie jaki jest deklarowany na podstawie dokumentów. Obrót ten jest zawsze o parę milionów wyższy i stąd się bierze domiar, jaki się potem dostaje. Należałoby więc unikać najdrobniejszych nawet różnic, ale niestety jest to w życiu niemożliwe. Prowadzenie tego rodzaju ewidencji wiąże się z tym, że właściciel danego zakładu w godzinach jego otwarcia nie może dysponować swoimi pieniędzmi. Nie może wyjąć z kasy stu złotych i dać dziecku na lody, bo gdyby weszła kontrola i stwierdziła różnicę między tym, co zapisał, a stanem kasy, to już jest podstawa do wszczęcia postępowania karno-skarbowego. Ewidencja sprzedaży to tylko jedna z form kontroli. Tych ksiąg jest znacznie więcej. Nie będą wchodziła w szczególności, chodzi tu raczej o pewną metodę. W każdym mieście wszyscy prowadzący jakąś działalność zwożą księgi do odpowiedniego urzędu skarbowego. To trzeba zobaczyć - tory ksiąg, a w nich gliklometry cyfr, które ktoś powinien przeliczyć. Żeby urząd mógł sprawdzić, czy się ktoś nie pomylił o 10 złotych w liczeniu, to musiałyby przy metodach, jakich oni używają, zatrudnić armię urzędników. Upraszcza się więc sprawę odrzucając 90% ksiąg od razu. Prawdopodobnie odbywa się to tak, że przegląda się teckki poszczególnych zakładów i jeśli znajduje się, iż w czasie kontroli wykryto jakąś nieprawidłowość, to przechodzi się na obliczenia szacunkowe. W efekcie te 90% otrzymuje domiar, który należy uiścić w ciągu 14 dni od otrzymania wezwania. Przy rutynowym odrzuceniu ksiąg nie są to domiary rujnąjące. Urząd nie chce być ciągary przez 90% prywatnych przedsiębiorców do sądu. Domiary rujnąjące daje się wtedy, gdy się rzeczywiście na czymś przyłapie. Przypomina to system karania za Stalina. Jak nie wiadomo było za co, to 8 lat. A jak było wiadomo, to 20, albo dożywocie. Dokładnie to samo jest tutaj. Trzeba dodać, że prawo do kontrolowania prywatnych zakładów ma trzydzieści parę instytucji. Kontrolę z urzędu skarbowego są oczywiście najbardziej dolegliwe.

Przy płaceniu domiaru postępowanie jest następujące: odwołanie składa się, rzecz jasna, do tego samego urzędu, który go nałożył. Urząd zwykle lekko obniża domiar, wówczas prywatny przedsiębiorca stara się o rozłożenie go na raty i płaci. Nikt nie jest szalencem, żeby wpłacić domiar w całości i od razu, gdyż należy się spodziewać, iż zostanie zapytany, skąd na to wziął. Tu już się nie wytłumaczy, co będzie powodem następnego domiaru i skończy działalność. Każdy tak postępuje, spłaca raty przez cały rok - aż do następnego odrzucenia ksiąg.

Choroba tego systemu fiskalno-gospodarczego polega również na tym, że cały system zaopatrzenia prywatnego rzemiosła i handlu jest nekany różnymi dolegliwościami. One również biorą się z podatku klasowego. Jego klasowość polega na tym, że ma on egalitaryzować społeczeństwo. Żarobki ludzi, którzy ryzykują swoim mieniem, mają równe zarobkom pracowników sektora uspołecznionego. Ponieważ człowiek jest istotą myślącą ekonomicznie, więc nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie pracował kilkanaście godzin na dobę, a zwykle tyle trwa praca w prywatnym sektorze, po to, żeby zarobić tyle, co pani miesząjąca w biurze herbatę, której jedynym ryzykiem jest, że przy nalewaniu wrzasku pęknie jej szklanka. A tu z dnia na dzień ryzykuje się ruiną. To rzutuje na cały system rozliczeń i zaopatrzenia w sektorze prywatnym. Rzemieślnik zaopatrujący się w prywatnej wytwórni np. w dwie tony dzianiny dostanie rachunek na 200 kg. Co zrobi z resztą, to jego smartwienie. Gdyby prywatna przedziałnia wystawiła rachunek na pełne dwie tony, to wszystko zjadłby przy podatki i okazałoby się, że jej praca jest nieopłacalna. Rzemieślnik z tego surowca wytwarza towar i sprzedaje do sklepu dając rachunek również tylko na 10% jego wartości. Gdyby na rachunku wykazał całą wartość, sprowadziłby nieszczęście i na przedsiębiorcę, i na siebie. Z kolei sklep, który jest na końcu tego łańcuszka, również ma w tym interes, bo gdyby wykazał całość towaru, to urząd skarbowy zabrałby cały dochód podatkiem i sklep pracowałby na biegu jałowym. Ponieważ jest to podatek progresywny, zostałyby zaledwie na pokrycie kosztów. Jeśli jakikolwiek interes działała wysmienicie, jeśli rzemieślnika dzień i noc obiegają odbiorcy, a pod sklepem stoi kolejka, to trzeba go /tzn. sklep/ natychmiast zamknąć, żeby nie przekroczył progu, za którym wszelka działalność staje się nieopłacalna. Idzie się więc na urlop, choruje lub prowadzi remont. Podobnie jest np. w przypadku prywatnych piekarni. Pieką chleb tylko w nocy, choć mogłyby i w dzień, żeby ludzie wychodzący z pracy mogli kupić świeże pieczywo. Ale wtedy obroty byłyby zbyt duże i pracując na dwie zmiany zarabialiby tyle co na jedną. Druga zmiana pracowałaby za darmo. A więc po co?

Dla ludzi korzystających z prywatnego handlu na to takie znaczenie, że jeśli sprzedawca na np. dostawę doniczek w 5 kolorach, a rachunek na 3 sztuki, to w sklepie mogą stać tylko 3 donice. Mimo, że sklep posiada je potencjalnie w innych kolorach, to może je wystawić dopiero po sprzedaniu już wyłożonego towaru. Klient, który wymyślił sobie czarną donicę, musi chodzić do sklepu i czekać, aż sprzedane zostaną te trzy i przyjdzie kolej na następne, w których znajdzie się czarna.

Odpowiednie urzędy mają pełną świadomość tej sytuacji. Jest to publiczną tajemnicą. Nie można powiedzieć, że przymykają na to oko. Stosują tylko starą zasadę, iż na każdego musi być jakiś haczyk. W tym załączniku, jeśli urząd się uprze, to zawsze każdego może zapaść. Wszystko zależy od warunków politycznych. Jeśli pali się mocne czerwone światło, to zaczynają się akcje różnych kontroli później pokazywane przez DTW. Wtedy się napada i rzeczywiście łapie wszystkich. Gdy światelko nieco przygasa, pali się nadal, bo pali się zawsze, to łapie się i karze dla postrachu i porządku jakąś marginalną liczbę zakładów nie robiąc z tego sprawy publicznej. Złapać można każdego, bo działa w chorym systemie. Wiadomo, że przedsiębiorca jest normalny, więc w działaniach ekonomicznych będzie się zachowywał normalnie. Skoro tak, to trzeba go uderzyć i sprowadzić na ziemię.

Teraz pali się jednocześnie światło zielone z czerwonym. Zielone w prasie, TV, czerwone w realiach fiskalnych, bo jednak wszystko zależy od polityki finansowej. Podatki zaś są funkcją polityki, a ta nie pozwala zarobić wstrętnym prywatniarzom. Już w drugim etapie reformy, przy pełnej werbalnej liberalizacji, minister finansów postanowił do tych dokumentów, jakie dotąd się prowadziło, dołożyć jeszcze jedną ewidencję wiążącą się w jakiś sposób z poprzednimi. Jeśli ktoś nie zgubił się przy pięciu ewidencjach, to przy szóstej musi. To mniej więcej tak samo jak dawniej na bezpiecie składało się życiorys i w kolejnym musiela być jakaś różnica z poprzednimi, co oznaczało, że ktoś kłamie.

Są w Polsce miasta, w których śpiącej się niektóre branżom w Warszawie buty, w Łodzi tekstylia, w Częstochowie sztuczna biżuteria. Na drogach wokół takich miast grasuje Janosik, który tym się różni od legendarnego, że tamten zabiera bogatym i dawał biednym, ten zaś zabiera prywatnym, a komu daje, to trudno ustalić. Pewnie przejecha sam albo dzieli się z innymi Janosikami. Polega to z grubsza na tym, że do każdego z tych miast płynie po zaopatrzenie dla prywatnych sklepów rzeka samochodów i codziennie ta rzeka musi opuścić miasto. Wtedy pojawia się Janosik, który zatrzymuje te samochody i wtedy odbywa się rozbój. Janosik jest doskonale zorientowany w prowadzeniu ksiąg finansowych, w wykazywanych obrotach i polityce podatkowej. Najprościej filozofię Janosika można streścić w ten sposób: albo opłata, albo na komendę. Albo płacisz, albo jesteś zatrzymany. Z zatrzymaniem wiąże się wszędzie postępowania finansowego, badane są faktury zarówno tego co wiezie, jak i tego co wyprodukował. Rozgrywa się więc ciekawa wojna podjazdowa. Traci się godziny nad różnymi mapami, aby znaleźć takie wyjazdy z dużych miast, które nie odbywają się głównymi drogami wylotowymi. Jeździ się po wertepach, wsiach, dokłada drogi, przepala benzynę, tyle tylko wypaść 30 km za Warszawą, bo tak w obrębie 15 kilometrów jest duża szansa spotkania Janosika. Przy cotygodniowych wyjazdach nikogo nie stać na płacenie 100 czy 200 tysięcy, nikt na to nie zarobi, więc lepiej wydać na benzynę niż opłacać się Janosikowi. Raz na jakiś czas Janosik pojawia się i na wertepach, i na wsiach. Wówczas stosuje się system wczesnego ostrzegania. Jeśli spotka się kilku odbiorców, puśzoza się jedno auto "na rybkę" i w razie czego reszta spowrotem ucieka na główną drogę, a Janosik czeka na wertepach.

Jak się okazuje, zmiana tego paranoicznego systemu nie jest nikomu na rękę. Ani mili-cji, ani urzędowi skarbowemu, który też woli od paru osób wziąć jakiś okup. Wszyscy ci urzędnicy żyją z niego i dzięki niemu. Nie mają żadnych motywacji do zmian, bo straciliby określone korzyści materialne.

Mimo to nie żyje się źle w tym sensie, że ubogo, ale ten system wymusza błyskawiczne bogacenie się i ukrywanie dochodów. Powoduje to swoistą degenerację ludzi prowadzących te działalności. Nie rozwijają swojej produkcji, sprzedaży, ponieważ nie mogą okazać, że mają pieniądze. Wszystko idzie na konsumpcję. Po zakupie video, telewizora, samochodu pozostaje tylko pić. Picie jest najatrakcyjniejszą formą wydawania pieniędzy, bo nikt tego nie zabierze. Po reszcie może przyjąć komornik i zabrać. Natomiast jeśli ktoś przepije na dobrych trunkach, to jeszcze nie wymyślono w Polsce takiego prawa, żeby to komu odebrać. Brak zdrowej postępowania ideologii dorabiania się. To nie może tutaj zaistnieć, więc jeśli firma osiąga pewien pułap, to zaczyna się brutalna konsumpcja, mniej czy bardziej ukrywana, ale tylko konsumpcja. Nie inwestycje, nie rozwój, nie jakakolwiek działalność typowa dla państw zachodnich - po prostu charytatywna czy fundacyjna. Wpłacenie na jakąkolwiek fundację jest dowodem dla urzędu, że ktoś ma. A skąd ma? Każdy jest ograniczony rachunkami i musi ukrywać zarobki. Przy wydawaniu zaświadczeń o zarobkach

może się okazać, że właściciel firmy po to zatrudnia ludzi, jeździ po całej Polsce po towar, wstaje rano niewyspany, żeby zarobić 51 tysięcy. Taki jest idealista. Ale wykazanie prawdziwych zarobków spowodowałoby represje. Każdy prowadzący taką działalność chciałby oddać co cesarskie cesarzowi i spać spokojnie. To byłoby możliwe przy normalnym, a nie gangsterskim, systemie podatkowym. W Singapurze podatek od jakiegokolwiek działalności gospodarczej wynosi 33% czyli jedną trzecią. Nie jest to liczba przypadkowa, bo pozostałe dwie trzecie można podzielić po równo na konsumpcję i na rozwój. Gdyby u nas zastosować ten sam system, to wszystko stałoby się zdrowe. Każdy będzie chętnie dzień i noc pracować, żeby państwu oddać tę jedną trzecią, bo wie, że ze wzrostem podatku rośnie też ta część, która zostaje na konsumpcję i inwestycje. W naturalny sposób następuje rozwój. Tworzą się nowe stanowiska pracy. Ktoś na sklep, to otworzy sieć sklepów, na firmę przewoźną, to się wyspecjalizuje - powiedzmy - chłodnie, przewóz bydła, wędlin.

Podjęcie działalności gospodarczej jest - mimo wszystko - sposobem na stworzenie wokół siebie niezależnego świata. To przynosi ogromną satysfakcję. Mam, o co niezwykle trudno w każdym ustroju totalitarnym, wpływ na coś. Podejmuję dziesiątki decyzji dziennie, rozgrywając swoistego pokera. Hazard polega na tym, że wszystkie zarobione pieniądze inwestuję w jedną rzecz. Jestem do tego zmuszona, bo nie mam zaplecza kapitałowego. Inaczej będzie inwestował ten, za którym stoi duży kapitał. On poświęci tylko jego częśćkę, ja natomiast ryzykuję wszystkim. Ale to mnie podnieca. Zbudowałam sobie mikroświat wolności i oddycham świeżym powietrzem.

Nie każdy się w tej działalności sprawni, ale każdemu, kto ma do tego złyk, pomoże to uzyskać choćby środki na książki, na które dotąd nie było go stać. Produkcja gwoździ nie przeszkadza w rozwoju intelektualnym. Ja dopiero teraz mam pieniądze na prasę zagraniczną, do której nie miałam wcześniej dostępu. Najzabawniejsze, że wcale nie zmieniłam środowiska. Przejście do sfery prywatnej wiązało się dotąd z pewną degradacją w hierarchii społecznej. Obecnie współpracuję z doktorem z politechniki czy informatykami z uniwersytetu. Ciągłe jestem w gronie tych samych ludzi co kiedyś, tylko oni przekwalifikowali się. Jest to też symptom wejścia na arenę po 81 roku nowej generacji przedsiębiorców. Nie chodzi o wiek, ale o rodów i mentalność. Starsza generacja, obciążona gomułkowskimi czy gierkowskimi akcjami przeciw rzemiosłu przyjęła formę przetrwalnikową. Oni chcą przeżyć i mieć święty spokój. Działają oczywiście dla wzbogacenia się, ale w symbiozie z systemem. Obejmują różne stanowiska w dużych ciałach, bo obowiązują taki klucz, że musi być jedna kobieta, jeden emeryt, jeden rzemieślnik itd. Chętnie się tam pchają, bo jest to dla nich tarczą. Nie można takiego człowieka ukarać, ponieważ jest np. prezesem w izbie rzemieślniczej albo radnym. On całe życie się tej władzy podlizywał, żeby się tam znaleźć i ochronić swój byt. Ci ludzie są bardziej zablokowani, brak im ekspansywności. Byli bici po głowie przez całe życie i teraz chodzi im o utrzymanie swojej pozycji. Natomiast to drugie pokolenie jakby mniej się boi. Na swoją wolnorynkową teorię, wizję własnych dążeń. Pragnie przemian, chce przenieść wzorce zachodnie na nasz grunt, a to już jest walka z systemem. Nie opiera się ona na spektakularnych wydarzeniach, na "okragłym stole", ale na rozwoju się kociami i poszerzaniu sfer wolności na elementarnym poziomie. Nazwałabym to polityką na poziomie trawnika. Na Zachodzie działalność związków zawodowych staje się coraz mniej potrzebna, bo zmieniła się struktura zatrudnienia, bo rozwinięte jest ustawodawstwo społeczne. "Solidarność" jest nam dziś potrzebna, ale nie stanowi perspektywy na dalszą przyszłość. Czekam na restrukturyzację przemysłu, zamykanie hut i stoczni. Perspektywą może być ten elementarny poziom, na którym teraz weryfikują się namacalnie wszystkie reformatorskie wypowiedzi władzy.

EWA BRZĘCZYKOWSKA

# Czy można żyć z podziemia?

Dzisiaj nie pamiętamy już dokładnie, od kiedy przeświadczenie, że komunizm nieuchronnie oznacza powszechną biedę, stało się dostępne przeważającej większości społeczeństwa. Fakt ten miał i ma różnorodne następstwa: okazało się bowiem, że aby żyć w godziwych warunkach materialnych, trzeba komunistyczne państwo opuścić, najlepiej na zawsze; że rzetelna praca w tym ustroju najczęściej nie przynosi realnych korzyści, a jeżeli nawet, to i tak są one nieporównywalne z żadnym, nawet najskromniejszym standardem życia na Zachodzie; że szansę dorobienia się mają niemal wyłącznie złodzieje, pozabawieni skrupułów zaprzaczący oraz nieliczna grupa uczestników pasywniejszej, na reszcie społeczeństwa nomenklatury. Tak zwana prywatna inicjatywa funkcjonuje wciąż tylko na odległych peryferiach systemu, zatrudnia zaledwie nieznaczny procent ogółu pracowników i zmuszona jest współtworzyć skomplikowaną strukturę gospodarczego podziemia.

Co w tej sytuacji mają robić ci spośród przedstawicieli inteligentnych zawodów, którzy nie mają ochoty emigrować, a najzwyczajwsze odczucie własnej godności nie pozwala im sprzedawać się systemowi, zresztą za marne pieniądze? Ponieważ trudno spodziewać się, że poloniści, historycy, socjologowie, politolodzy itp. skutecznie poświęcą się górnictwu albo intensywnej uprawie pomidorów, należy przypuszczać, że wszystkie te i podobne kategorie zawodów skazane są w dzisiejszej Polsce na vegetację w warunkach uregających powszechnym wyobrażeniom o poziomie życia w Europie ostatnich dziesięcioleci XX wieku. Jeżeli przeciętna pensja młodego /czyli między 30-tym a 40-tym rokiem życia/ pracownika nauki wynosi obecnie /wiosną 1988 r./ ok. 20 tys. zł, oznacza to, że może on sobie pozwolić miesięcznie na kupno 40 kg jabłek /średnio 1,5 kg dziennie/ lub 8 kg pomarańczy w prywatnym sklepiku /jedna pomarańcza dziennie/, lub nawet 12 kg szynki, oczywiście na kartki /40 dkg dziennie, ale bez chleba/, może wreszcie za całą swoją pensję pić codziennie jedną butelkę taniego wina. Wszystko to jedynie wtedy, gdy żyje sam na świecie, nigdzie nie mieszka czyli nie płaci za mieszkanie, oświetlenie, ogrzewanie itd. oraz ubiera się wyłącznie w to, co pozostało mu z czasów nędzy. Na to, by kupić sobie kolorowy telewizor musiałby odkładać całą swoją pensję przez ok. 15 miesięcy /ale telewizorów i tak nie ma w sprzedaży/, po 8 latach /znów nigdzie nie mieszając i nic nie jedząc/ mógłby sobie pozwolić na kupno najtańszego samochodu.

Tak więc aby żyć, a tym bardziej utrzymać rodzinę, musi dorabiać. Za spory artykuł w popularnym czasopiśmie otrzyma ok. 7 tys. zł, za obszerną 20-stronicową rozprawę w naukowym periodyku ok. 25 tys. zł, za średniej grubości książkę /ale nie wysokonakładowy kryminał/ ok. 300 tys. zł /na jej wydanie będzie czekał od 3 do 6 lat/. Za godziomy wykład w państwowej instytucji otrzyma ok. 400 zł, za taki sam w placówce popularyzatorskiej mniej więcej dwa razy tyle. Lepiej płaca radio i telewizja, ale występując tam trzeba liczyć się z niechętną reakcją środowiska, które taki sposób poprawiania budżetu ocenia zdecydowanie negatywnie /dotyczy to zwłaszcza TV/.

Co zatem pozostaje asystentowi lub adiunktowi wyższej uczelni, członkowi redakcji fachowego pisma, bibliotekarzowi czy archiwistcie, pracownikowi instytucji kulturalnej lub instytutu badawczego? Ponieważ poza garstką najbardziej znanych pisarzy i dziennikarzy nikt nie jest w stanie utrzymać się z samej pracy pisarskiej, najważniejszym zadaniem staje się zdobycie i utrzymanie państwowej /bo innych nie ma/ posady. Dopiero wtedy można pomyśleć o dorabianiu w instytucjach niezależnych, czyli - jak to się popularnie mówi - w podziemiu.

Nie jest to chleb lekki. Za artykuł w poważnym pozacenzuralnym czasopiśmie można dostać od 700 do 1500 zł za stronę maszynopisu /czyli adrobując lepiej niż na powierzchni-

chmi/.Praca w redakcji takiego czasopisma często nie łączy się z żadnym dodatkowym zarobkiem /choć są redakcje,które płać skromne pensje/,co najwyżej redaktorzy otrzymują jałdź ryczałt. od wydanego numeru.Drobne gazetki najczęściej dużo gorzej, czasem nie płać wcale.Są różne prace związane z przygotowaniem tekstu do druku /adustacja,korekta,przepisywanie na matrycach/ płatne mniej więcej tak jak w oficjalnych instytucjach,tyle że bez dotkliwego podatku.Tłumaczenia są płatne tak samo jak prace autorskie,a wynika to z faktu bardzo słabej znajomości języków obcych także wśród inteligencji.Wydawnictwa książkowe płać też za recenzje wewnętrzne,znaczenie rządzię za udział w pracy rady programowej,typującej książki do druku.Często wydawnictwa zbiorowe,rozmaite leksykony czy minienycyklopedie zamiast honorarium obiecują egzemplarz gotowego dzieła.Nierzadko wydawnictwa płać autorom w naturze,czyli oddają im pewną ilość egzemplarzy własnej książki: jeżeli autor nie ma zbyt wielu bliskich znajomych,którym podarowałaby swoje dzieło,a równocześnie ma wystarczająco wielu dalszych znajomych,wśród których znajdzie wypłacalnych nabywców - to ma szansę zarobić parę tysięcy za nieraz wielomiesięczną pracę.Pozostaje jeszcze liczyć na jakąś nagrodę /byłe nie honorowa/ albo na przedruk przez któres z wydawnictw emigracyjnych oraz na skromne,ale wymyślnie honorarium za granicą.Przyjęty jest zwyczaj, że czasopisma ofiarowują swoim autorom egzemplarz gratisowy; jeden,a czasem nawet kilka takich egzemplarzy otrzymują członkowie redakcji.

Na to,by cokolwiek zarabiać na kolportażu,trzeba być hurtownikiem: otrzymuje się wtedy od 10 do 15% od ceny sprzedawanej publikacji.Jeżeli jednak jest się kolporterem detalistą /poniżej 50,a czasem nawet 100 egzemplarzy jednej publikacji/,to spręda się bez zysku,a czasem nawet - gdy nabywca nie ma przy sobie pieniędzy,obiecując zapłacić później,potem zapomina,wyjeżdża,zmienia adres czy pracę - do takiego zajęcia trzeba jeszcze dopłacać z własnej kieszeni.

Są oczywiście w wydawniczym podziemiu ludzie,którzy zarabiają bardzo dobrze,ale jest ich niewiele.Najczęściej są to kierownicy niezależnych wydawnictw,w praktyce najczęściej po prostu ich właściciele,którzy opłacają cały zatrudniony personel,wypłacają autorskie honoraria,a resztę - czasem skromną,a czasem całkiem sporą - zatrzymują dla siebie.Nie są to zresztą pieniądze otrzymane ze sprzedaży wydawanych pozycji,ale w znacznej części rozmaite dotacje,przeważnie przysyłane z Zachodu.Nieźle zarabiają niektórzy z "rekinów" kolportażu,skupiający w swoich rękach wiele nici, prowadzących do różnych wydawnictw,zatrudniają wielu pośredników i detalistów.Najczęściej dobrze zarabiają drukarze,najlepiej jednak ci zatrudnieni w dużych i prywatnych,a nie solidarnościowych czy organizacyjnych firmach.Znacznie gorzej wygląda sytuacja pracowników obsługujących sprzęt społeczny,najgorzej - wytwórców małych,regionalnych czy zakładowych gazetek.W tej ostatniej kategorii jest też wciąż jeszcze wielu ludzi pracujących społecznie.Nieźłym interesem jest drukowanie rozmaitych znaczków,nalepek,kalendarzy itp.,tym bardziej jeżeli zysk z tych wydawnictw nie zasila kas związkowych,ale kieszenie ich producentów.

Od 1982 r. w mniej lub bardziej ścisłej konspiracji działają rozmaite wszechnice, związkowe uniwersytety,koła samokształceniowe.Za wykład,najczęściej półtoragodzinnny, w zależności od firmy organizującej spotkanie,otrzymuje się od jednego do dwóch tysięcy złotych.Trzeba jednak pamiętać,że wykład rzadko kończy się w oznaczonym czasie; uczestnicy zadają pytania lub wywołuje się dyskusja,kameralne warunki sprzyjają dłuższemu posiedzeniu,na stole pojawia się herbata i do opłaconego czasu trzeba dodać co najmniej drugie tyle na mniej formalną część spotkania.Ponadto do wykładu trzeba się przygotować,zrobić notatki,wybrać lekturę itd.,co znacznie powiększa koszty własne wykładowcy.Tymczasem,gdy w łazience zepsuje się kurek od wanny,wzwany hydraulik za 10-minutową usługę z wiktadem własnym uszczelki lub śrubki za 100 zł,policzy sobie 3 tys.zł i jeszcze będzie uważał,że robi dużą grzeczność przychodząc do pracy.

Sporo możliwości w zakresie organizowania wykładów,kursów,dyskusji itp. stwarza Kościół,pod którego skrzydła schroniły się także przedsięwzięcia bardziej zaawansowane,jak np. Chrześcijańskie Uniwersytety Robotnicze.Stawid są tam podobne jak w podziemiu,ale za to trafiają się także wyjazdy w teren /nieraz kilka godzin pociągami lub autobusami/,gdzie można zarobić nawet kilka tysięcy złotych.Na takie spotkania najchętniej zapraszane są osoby,które publikują swoje teksty w prasie katolickiej, ewentualnie są znane z oficjalnej działalności naukowej.

Zajęcia te nie wyczerpują całej listy rozmaitych możliwości zarabiania w podziemiu /można np.założyć płatną wypożyczalnię książek czy kaset video/,są jednak najbardziej popularne,a zarazem liczące się w budżetach peerelowskich inteligentów.Są

tacy, którzy z rozrzewnieniem wspomniają heroiczną okres wczesnego KOR-u, kiedy czerpanie korzyści materialnych z pracy w organizacjach niezależnych uchodziło za rzecz co najmniej nieprzyzwoitą. Trzeba jednak pamiętać, że od tamtego czasu minęło 12 lat; podziemie rozwinęło się do rozmiarów, których nie przewidywali nawet najwięksi optymiści, podczas gdy kraj zubożał do poziomu przepowiadanego tylko przez największych pesymistów. Dla tysięcy zapracowanych ludzi niezależne instytucje stały się stałym źródłem dochodów, uzupełniających skromne państwowe pensje. Dla wielu z nich udział w pracach podziemia nie jest już tylko kwestią ideowych wyborów, ale także rodzajem drugiego /a czasem nawet pierwszego/ zawodu. I chociaż dzięki temu niezależne instytucje nieco się skomercjalizowały, to równocześnie stały się bardziej normalne, codzienne, powszechne, a tym samym trudniejsze do zniszczenia.

TADEUSZ MAKŚ

JAROSŁAW GOWIN

## Dokąd jedziesz młody klerku?

Emigracja należy do najbardziej złożonych zjawisk naszego życia. W jaki sposób odnaleźć wspólną podstawę dla decyzji o definitywnym opuszczeniu kraju, gdy w grę wchodzi motyw tak różnicowany, jak brak perspektyw na zdobycie własnego mieszkania i chęć znalezienia lepszych szans rozwoju naukowego, pragnienie materialnego dobrobytu i pełna zdeterminowania wola życia w "normalnym" kraju, szukanie skuteczniejszych metod przysłużenia się ojczyźnie i pragnienie zerwania z nią wszelkich więzów? Jak sprowadzić do wspólnego mianownika wymiar ekonomiczny i etyczny, społeczny i indywidualny? Niezwykle trudno wskazać na kategorie pozwalające na pełny opis tego spłotu spraw, jakim jest emigracja i na sprawiedliwą ich ocenę. Dlatego z góry uprzedzam, że nie jest moim zamiarem ani pełny opis, ani sprawiedliwa ocena. Chcę skoncentrować się wyłącznie na jednej grupie emigrantów, a zamiast bezstronnej oceny mam do zaproponowania jątrzące sarkazmy. Na bok odsuwam też skrupuły, czy ktokolwiek ma moralne prawo ferowania wyroków.

Któż zatem będzie obiektem mej napaści? Za bohatera obrałem sobie młodego, powiedzmy 30-letniego, intelektualistę. Ma on za sobą opozycyjną przeszłość, datującą się nierzadko jeszcze sprzed pamiętnego sierpnia, a już na pewno zdażył "zaliczyć" NYS, legalną "Solidarność", niekiedy nielegalne internowanie, demonstracje z pierwszych lat po 13.XII 1981 i ... Dalej już różnie. Intelektualista ten albo wyjechał już z Polski w ciągu ostatnich kilku lat, albo właśnie sposobi się do wyjazdu. Co skłania go do wyboru takiej drogi życia i jak wybór ów wygląda od strony moralnej?

Wśród argumentów za emigracją najczęstszy i chyba najważniejszy jest ten: przyszłowiec 20 lat oczekania na mieszkanie i niemożność zapewnienia swej rodzinie podstawowych środków utrzymania. Jeśli o mnie chodzi, zgadzam się, że emigracja jest usprawiedliwioną decyzją wyjazdu, ale muszę zaznaczyć, że w przypadku środowiska, o którym piszę, nie ma on większego zastosowania. Rodzice młodych intelektualistów to ludzie inteligentni i zazwyczaj - w przeciwieństwie do swych pociech - życiowo zaradni. Dzięki temu zdecydowana większość moich znajomych /a i do mnie samego się to odnosi/ ma mieszkania i żyje w warunkach, jak na standardy polskie, znosnych. /Piszę "większość", bo nie wszyscy i w przypadku owej vegetującej rzeczywistości w beznadziejnych warunkach mniejszości wy-suwanie w tej sprawie zastrzeżeń byłoby nie na miejscu/. Opada także argument troski o rodzinę /"niech moje dzieci żyją w wolnym kraju, niech oddychają zdrowym powietrzem, niech bieda nie pozbawia ich szans rozwoju swych zdolności!"... - któregoż z rodziców nie nawiedzają czasem takie myśli-pokusy?/, wyjeżdżają najczęściej ludzie samotni,



którzy rodziny - jeszcze, bądź już - nie posiadają.

Jakie zatem uzasadnienia pozostają? Jakich używają sami, faktyczni bądź intencjonalni, emigranci? Uzasadnienie pierwsze: tam można zrobić więcej dla Polski, niż tutaj. Nie wiem, czego w tym argumente więcej: obudy czy samoczekliwania się. Prawda jest, że były i pewnie jeszcze będą okresy, w których na emigracji działać można więcej niż w kraju; prawda jest również, że od dwustu lat Emigracja jest dla przetrwania Polski niezbędna, a to, co robia i robi dla ojczyzny to rzecz bezcenna. Jednak od takich stwierdzeń daleko jeszcze do uznania zasadności indywidualnych decyzji o opuszczeniu kraju. Gdyż, po pierwsze, teraz akurat nastały czasy, kiedy więcej da się zrobić tu na miejscu /i trzeba to wykorzystać, bo piasek w klepsydrze pieriestrojki przesypuje się szybko.../, po drugie - ręk do pracy wokół "sprawy polskiej" na emigracji nie brakuje, podczas gdy w kraju ich niedostatek, i po trzecie wreszcie - niewielki tylko procent tych, którzy wyjeżdżają w ostatnich latach, poświęca się działalności politycznej; reszta próbuje robić karierę, a dopiero kiedy ta się nie powiedzie, do "sprawy polskiej" wraca - nie po to, by jej służyć, lecz by z niej żyć.

Uzasadnienie drugie: tam można zrealizować swe aspiracje profesjonalne, czego tu nie da się zrobić z braku książek, z braku mistrzów intelektualnych /których nie ma, bo się nie narodzili lub - bo wyemigrowali wcześniej.../, z braku duchowego klimatu sprzyjającego twórczemu myśleniu, z powodu ograniczenia możliwości publikacji itp. Argument często spotykany i ważny. Dostateczny, moim zdaniem, w przypadku jednostek wybitnych, zdolnych wnieść coś trwałego do spuścizny nie tylko narodowej, ale i ogólnoeuropejskiej, o których można powiedzieć, że mają obowiązki raczej wobec Boga, niż wobec ludzi. Tyle tylko, że w tłumie emigrujących od kandydatów na następnego Kołakowskiego czy Miłosza raczej się nie roi. Wyjeżdżają ci, którzy w Polsce, kraju intelektualnie prowincjonalnym, mogliby stanowić elitę twórczą i wychować pokolenie następców być może wybitniejszych od siebie. Ale tam na Zachodzie, o ile w ogóle utrzymają się na "ryнку intelektualnym", odgrywać będą rolę drugo- i trzeciorzędnych scholarzy. Wiem, o publikują tam więcej książek, niż opublikowaliby w kraju. Tylko jakie znaczenie ma wydanie pracy na Zachodzie, skoro w tym samym roku ukaże się tam dziesięć innych równie dobrych książek na ten sam temat; tymczasem w Polsce praca ta byłaby jedyną opublikowaną na ów temat w ciągu dziesięciolecia i zapewniłaby autentyczną lukę. Ci więc, którzy opuszczenie Polski motywują wewnętrzna misją duchową, albo grzeszą brakiem samowiedzy /co intelektualistom nie przystoi/, albo kierują się w rzeczywistości chęcią zrobienia kariery zawodowej, taką samą, jak w przypadku emigrujących architektów, inżynierów czy sportowców. Nic w tej chęci złego, ale też nic szczytnego, a więc moralnego. Usprawiedliwieni wyjazdu doszukać się w niej można tylko pod warunkiem, iż człowieka traktować się będzie jako istotę wyposażoną przede wszystkim w pracę, potem dopiero w obowiązki. Można taką koncepcję antropologiczną przyjąć, tyle tylko, iż trzeba wówczas zrezygnować z odnoszenia do siebie takich słów, jak powołanie, dążenie do prawdy, dawanie świadectwa wartościom...

Z poczuciem niespełnienia możliwości zawodowych wiąże się jeszcze jedna sprawa, ważna dla mnie bardziej, że to właśnie refleksja nad nią skłoniła mnie do napisania tego tekstu: przekonanie o bezsensowności pracy nauczycielskiej. Większość młodych intelektualistów to nauczyciele akademicy. Powszechne jest w tym gronie ziorzeczenie na studentów: że nieinteligentni, że leniwi, że oporni na wiedzę, nad którą przedkładają stosowne do wieku rozmyślności /studenci mniej ambitni/, dziwaczne neo-gnozy stanowiące spójnioną polską odmianę kontrkultury /studenci ambitni/ lub bezpieczną bezmyślność kościelnej kruchty /studenci z zasadami/. W konsekwencji takiej oceny poziomu studentów powszechne jest to, że - sięgnę po przykład najlepiej mi znany - ówczeszenia z filozofii prowadzi się metodą wykładów lub, co gorsza, zapewnienia się je referatami samych studentów. A gdzież ci studenci mają się uczyć samodzielności myślenia /nawet opóźnionej przez wioletoletnią tresurę szkolną/, jeśli nie na zajęciach z przykładowej filozofii? Też o słabych studentach /którzy nie są w rzeczywistości ani tak słabi, ani tak bierni, lecz nieufnie zamknięci w sobie/ da się usłyszeć także z ust osób nie myślicy o emigracji, ale nie zdarzyło mi się rozstrzygnąć ze zwolennikiem emigracji, który na argument ten by się nie powoływał.

Dotknąłem tu sprawy ogólniejszej, którą uważam za najważniejszą i najbardziej smutną. W Res Publice przeczytałem opinię, iż emigracja przedstawicieli opozycji jest zdradą. Podzielałem tę opinię. Zarząd jest wyjazd młodych /więc z reguły opozycyjnych/

\* Roman Graczyk, Pytanie o Ojczyznę /Res Publica 6/1987/.

filozofów, historyków, publicystów... Przekonanie o zdradzie czerpię nie z abstrakcyjnych spekulacji moralnych. Ja tę zdradę widzę. A konkretnie, widzę zdradzonych: właśnie to pokolenie obecnych studentów, zagubionych i bez-nadziejnie bezradnych 20-latków. Z jednej strony przekazaliśmy im przeświadczenie o konieczności walki o inny kształt Polski. Ale z drugiej strony, przekazawszy im własne brzemie, opuszczamy ich, sami tracimy wiarę w sensowność walki, do której ich zachęciliśmy. Pokoleniu wkraczającemu dzisiaj w dojrzałość potrzebni są przewodnicy, ci, którzy przypominać będą o wartościach i wskazywać sposoby ich urzeczywistnienia. Rolę tych moralnych i politycznych autorytetów - lub przynajmniej pośredników między młodzieżą a owymi autorytetami - pełnić winno pokolenie, które w dorosłe życie weszło na przełomie lat 70. i 80. Tymczasem pokolenia tego - jako pokolenia - nie ma, rozjechało się po świecie. Spotkać znajomego z SKS-u czy NZS-u w kraju to rzadkość. Wyjechali ci najaktywniejsi, ci w dodatku, którzy z racji swego wykształcenia spełniać powinni funkcje nauczycielskie, czyli - przekazywać pamięć o wartościach historycznych, politycznych, filozoficznych. Nie ma ich, powstała wyrwa, której skutki, obawiam się, zaczną się na dobre ujawniać dopiero po dziesięcioleciach.

Staram się w tym momencie nie oceniać, tylko opisywać, lecz sam opis oskarża. Gorzka to prawda o sobie i swoim pokoleniu: mieliśmy dość sił, by kontestować, gdy przyszła pora na coś więcej - zrezyrowaliśmy. Lecz odpowiedzialność nie polega na wzniesionych gestach, ani nie kończy się na tragicznych ofiarach składanych na ołtarzu wielkiej sprawy; jeśli te ostatnie nie mają pójść na marne, muszą być dopełnione przez uciążliwą, szarą, codzienną pracę i codzienne wyrzeczenia. Gotowości do tej pracy i tych wyrzeczeń nie stało tym, którzy widzieli siebie w roli wybranych bohaterów.

Powie mi ktoś, że decyzja o pozostaniu poza ojczyzną bywa wyborem tragicznym, że wymaga niekiedy więcej odwagi niż decyzja odwrotna, że życie emigrantów bywa trudniejsze od życia w kraju... Wszystko to prawda. Prawdą też jest, że za decyzją o pozostaniu w Polsce kryje się często bierność, strach przed wyzwaniem, jakie stawia nowe, pogodzenie się z losem, do którego dorabia się cierpięcizną pozy. Ale nie w tym rzecz. Nie o to mi bowiem chodzi, by dokonywać w oczywisty sposób fałszywego podziału na "dobrych" tj. tych, którzy pozostali i "złych", czyli emigrantów. Pragnę jedynie poddać krytyce określoną postawę. Postawę, którą dostrzegam u części z tych, co wyjechali i u części z tych, co pozostają. Linie podziału są o wiele bardziej skomplikowane i nie mnie o nich wyrokować. Mierz mi tylko, kiedy ci, którzy gorliwie poszukują okazji do wyjazdu i z radością odliczają dni do odlotu, mają usta pełne leplich frazesów. Może lepiej, że wyjadą?

JAROSŁAW GOWIN

## BLOK WSCHODNI

Wiosną ub. r. ukazało się nowe pismo poświęcone krajom pod rządami komunistów - dwumiesięcznik UNCAPTIVE MINDS /tytuł jest aluzją do klasycznej i znanej na Zachodzie książki Czesława Miłosza "Zniewolony umysł", co przetłumaczono po angielsku jako "The Captive Mind"; *uncaptive* to tyle co "nie-zniewolony" /.

Wydawcą periodyku, poświęconego "informowaniu i prezentacji opinii dotyczących Europy Wschodniej", jest nowojorski Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej / I.D.E.E./, Redagują pismo Eric Chenoweth i Irena Lasota.

Poniżej zamieszczamy dwie publikacje zaczerpnięte z tego bardzo dobrze zapowiadającego się periodyku: rozmowę z Mykołą Rudenko /z nru 3/ oraz rozmowę z Mihailem Botezem /z nru 2/.

# Najpierw musi nastąpić upadek systemu

Rozmowa z Mykołą Rudenko

**PYTANIE:** *W republikach nadbałtyckich, radzieckiej Azji Środkowej i w Armenii narasta fala protestów społecznych - odbyły się masowe demonstracje, wysunięto żądania o charakterze politycznym.\* Na Ukrainie jednak, a jest to kraj liczący 45 milionów mieszkańców i posiadający długą tradycję gwałtownego niekiedy sprzeciwu wobec rządów sowieckich, panuje wciąż względny spokój, jeśli nie liczyć wąskiego kręgu dysydentów-weteranów. Dlaczego tak się dzieje?*

**MYKOŁA RUDENKO:** Nie wydaje mi się, że Ukraina jest taka potulna i cicha. Niedawno w Kijowie odbyła się demonstracja urządzona przez niezależny Ukraiński Klub Kulturalny. Dzisiaj natomiast - 29 czerwca - nadeszła wiadomość o ogromnej demonstracji we Lwowie, która zgromadziła 50 000 uczestników. O ile mi wiadomo, głównym żądaniem wysunię-

\* Rozmowę przeprowadzono 29 czerwca ub.r.

tym przez demonstrantów było położenie kresu rusyfikacji narodu ukraińskiego. Demonstracja zaprotestowała także przeciwko konferencji partyjnej odbywającej się właśnie w Moskwie, a ściśle przeciwko delegatom z Ukrainy, którzy są breżniewowcami wyznaczonymi przez Władimira Szerbickiego, szefa partii na Ukrainie. Nie reprezentują oni Ukraińców, a nawet ukraińskich komunistów. Ukraińcy wiedzą o zbrodniach popełnionych w okresie 20-letnich rządów Szerbickiego, który na polecenie Breżniewa i przy pomocy rozbudowanego aparatu partyjnego prowadził kampanię dyskryminacji języka ukraińskiego.

Rzeczywiście jednak można mówić o względnej bezczynności na Ukrainie w porównaniu z innymi republikami. Trzeba pamiętać, że warunki są tu zupełnie inne niż w Armenii czy gdzie indziej. Tamte republiki są etnicznie jednorodne, podczas gdy wskutek rusyfikacji większość ludności zamieszkującej miasta ukraińskie to już nie są Ukraińcy, tylko Rosjanie. Część Ukraińców uległa także rusyfikacji. Ludzie ci pamiętają jednak mowę ukraińską i posługiwaliby się tym językiem, gdyby nie dominacja elementu rosyjskiego, który systematycznie i w sposób planowy zasiedlał miasta... Władze sowieckie wykorzystywały wszelkie możliwe formy akcji rusyfikacyjnej, działając z wyprzedzeniem czasowym, ze świadomością, że będą im na Ukrainie potrzebne przyczyny rosyjskości: wielkie miasta. Historia uczy, że wielkie ruchy społeczne i narode zaczynają się zawsze w miastach, za którymi słońca prowincja. Dziś, na prowincji, ukraińskość nie zaginęła, ale w żadnym z wielkich miast ukraińskich, zwłaszcza na Wschodzie, Ukraińcy już nie dominują.

*P: A dzieje się to w dobie wzmocnionej urbanizacji Ukrainy...*

MR: Ale proszę pamiętać, że Ukraińców zawsze obowiązywał zakaz przenoszenia się bez zezwolenia z miasta do miasta na terenie własnej republiki. Nie wolno im własnowolnie osiedlać się w Kijowie lub Charkowie, bo muszą w tym celu posiadać specjalny dokument podróży. W ZSRR ruch ludności podlega ścisłej kontroli: bez specjalnego zezwolenia nie można spędzić w wielkim mieście nawet jednej nocy. A mieszkańcy wsi, czyli Ukraińcy, po prostu nie otrzymują pozwolenia na przeniesienie się do któregoś z większych miast na Ukrainie.

*P: Z jakich metod korzystają władze w prowadzeniu polityki rusyfikacyjnej?*

MR: Proces rusyfikacji został w istocie zapoczątkowany jeszcze przed II Wojną Światową na terenie szkół wyższych, przede wszystkim na wydziałach technicznych i medycznych. Obecnie w szkołach wyższych kształcących nauczycieli władze i tak muszą jeszcze stosować wybiegi dążące do eliminacji języka ukraińskiego i zastąpienia go rosyjskim. Język ukraiński jest w szkołach pedagogicznych nadal językiem wykładowym, podobnie jak na wydziałach dziennikarstwa. Ale na tym właściwie koniec. Inne wydziały zostały zrusyfikowane, zwłaszcza na uczelniach technicznych. Nie trudno się domyślić, że rodzice ukraińscy chcieliby, aby ich dzieci miały takie same szanse jak dzieci rodziców-Rosjan, jeśli chodzi o możliwość zdobycia wyższego wykształcenia. Egzamin wstępne składa się po rosyjsku, tak więc absolwenci szkół z językiem wykładowym ukraińskim muszą oblać. Rodzice starają się więc za wszelką cenę umieścić dzieci w szkołach z językiem rosyjskim. Na tej samej zasadzie nie istnieją słowniki techniczne ukraińskie w takich dziedzinach jak inżynieria, chemia, fizyka... Za rusyfikacją kryje się szeroko zakrojony plan, którego realizację rozpoczęto za Breżniewa pod hasłem "jednego narodu radzieckiego". Na pierwszy ogień poszła Ukraina. Pod rządami Szerbickiego wszystkie sprawy partyjne zaczęto załatwiać po rosyjsku. Kierownicy musieli na zebraniach posługiwać się koszmarną mieszanką rosyjskiego i ukraińskiego. Jej funkcjonowanie podkopało pozycję języka ukraińskiego, a o to chodziło władzom, które uznały ten proces za pozytywny.

Zorganizowano przedszkola z językiem rosyjskim i skierowano do nich nauczycieli-Rosjan, jak więc w sytuacji, gdy dzieci ukraińskie idą najpierw do takich przedszkoli, potem do rosyjskiej szkoły, a jeszcze później na uniwersytet, gdzie językiem wykładowym jest również rosyjski - mają one zachować poczucie tożsamości narodowej? To dlatego większość inteligencji ukraińskiej studiuje filologię, a prawie wszyscy ukraińscy więźniowie polityczni są poetami, pisarzami czy historykami.

P: *Odnosi się wrażenie, że komunisti w niektórych republikach zaczynają się ostrożnie otwierać na żądania zwiększenia autonomii politycznej i kulturalnej. Niedługo Komunistyczna Partia Ukrainy podjęta podobne próby: w latach 20., za Skrypnyka, prowadzono akcje "ukrainizacji", a w latach 60., za Szelesta, byliśmy świadkami krótkotrwałego rozkwitu języka i kultury ukraińskiej.*

MR: Przede wszystkim nie uważam, by sytuacja w innych republikach była tak obiecująca jak by się mogło wydawać. Tak bynajmniej nie jest. W Armenii to społeczeństwo, a nie partia występuje z tego rodzaju postulatami. Władze centralne nie przywiązywały zresztą nigdy zbyt wielkiej wagi do wydarzeń w innych republikach. Ormianie nie dążą do secesji i z pewnością nie chcą się przyłączyć do Turcji. Nigdy też nie doznali oni prześladowań, ani ich w ZSRR nie zabijano. Ukraina natomiast posiada tradycję działań niepodległościowych, przykładem może być choćby UPA. Dlatego władze zajmują wobec Ukrainy odmienne stanowisko.

A co do przyszłości - wierzę w przyszłość. Wierzę, że naród ukraiński się odrodzi. Wierzę w to, bo upadek imperium sowieckiego jest bliski.

P: *Węc nie przewiduje Pan żadnych zmian, dopóki na czele partii stoi Szczerbicki?*

MR: Tak jest, sądzę, że nic się nie zmieni dopóki on nie odejdzie. Uważam także, że Szczerbicki jest dziś przeszkodą w rzeczywistnienu aktualnych planów Moskwy, co nie oznacza, że spodziewam się jego rychłego odejścia.

P: *Na Zachodzie odnosi się wrażenia, że ukraińskie poczucie narodowe występuje tylko w Ukrainie Zachodniej, a większość Ukraińców zamieszkujących rozleglejszą, wschodnią część kraju, uległa w zasadzie rusyfikacji. Czy zgadza się Pan z taką oceną sytuacji i w jakich okolicznościach mogłaby się ona, zdaniem Pana, zmienić?*

MR: Jest w tym stwierdzeniu ziarno prawdy. Historia Ukrainy zachodniej i Zakarpackiej różni się od historii Ukrainy wschodniej, która od 300 lat pozostaje pod panowaniem Moskwy. Za caratu przedstawiciele inteligencji ukraińskiej mieli utrudniony dostęp do ludu, któremu chcieli wyjaśnić, jaka jest jego tożsamość narodowa. Spotkały ich represje, zakazano języka ukraińskiego i nasilono akcję rusyfikacyjną. Od pokoleń inteligencja ukraińska przenosiła się do Petersburga, skąd rzadko wracała na Ukrainę. To prawda, że pod rządami sowieckimi byliśmy przez krótki czas świadkami pewnego odrodzenia kulturalnego, tak zwanej "ukrainizacji", za czasów Skrypnyka. W momencie jednak, gdy do władzy doszedł Stalin i zaczął budować swego imperium, natychmiast zahamował "ukrainizację". W epoce Breżniewa natomiast stalinizm się odrodził. Breżniew próbował nawet zrehabilitować Stalina, ale natrafił na opór całej inteligencji radzieckiej, która nie chciała do tego dopuścić.

Wracając do pytania, powiedziałbym, że obecnie sytuacja na Ukrainie wschodniej zaczyna się zmieniać, głównie za sprawą dojrzałości i oddania świadomej narodowo inteligencji ukraińskiej. Nauczyciele, którzy ukończyli studia humanistyczne, ponieśli swą wiedzę w lud.

P: *Czy jednak nie jest tak, że głównym ekypiskiem inteligencji i dysydentów jest Lwów, stolica Ukrainy zachodniej?*

MR: Na Ukrainie wschodniej też są dysydenci, a idee i działania z Ukrainy zachodniej przenikają na wschód. Poza tym, mimo że Stalin doprowadził do zjednoczenia Ukrainy drakonijskimi metodami, ocaliło to naród ukraiński, doszło bowiem do erupcji nowego i potężnego ducha narodowej samoświadomości, co trwa po dziś dzień.

P: *Pisarz ukraiński Mychajło Hnylowy twierdził, że władze sowieckie usiłując sprowadzić kulturę ukraińską do rangi zwykłego folkloru narodowego. Ekspozuje się więc ludowe zwyczaje, tańce itp., eliminuje natomiast dzieje myśli ukraińskiej sprzed i po rewolucji oraz utrudnia się rozwój poważnej literatury pięknej, badań dotyczących sztuki czy muzyki ukraińskiej itd. Proszę o skomentowanie tej opinii.*

MR: Jest to prawda i to od dawna. Właściwie niewiele mam tu do dodania. Władze tolerowały stroje narodowe i pochody, ukraińskie tańce i pieśni, a nawet - do pewnego stopnia - literaturę w tym języku. Ale jaką? Nie tę intelektualnie subtelną, tylko taką, którą można by nazwać etnograficzną. Naprawdę utalentowani pisarze potrafili oczywiście wyrwać się z tego gorsetu i odnaleźć własną drogę. Później jednak niektórych z nich zniszczono, jak choćby Hryhorycja Tiutiunyka, który popełnił samobójstwo, podobnie zresztą jak Wasyl Zemlia i Bojko, bardzo utalentowany pisarz, który usiłował poprzez swą twórczość dla dzieci zachować przy życiu język ukraiński. Piętno na szyję założyli tym pisarzom partyjni biurokraci.

P: *Czy sądzi Pan, że w związku z głośnością niektórych pisarzy ukraińscy, tacy jak Hwylowyj, ukraiński bolszewik czy Pan, mogą zostać zrehabilitowani?*

MR: No cóż, co do mnie, to nie sądzę, bym się za mego życia doczekał rehabilitacji. Mówiłem co myślę, tak jak teraz, w tym wywiadzie, a to z pewnością nie przyspieszy mojej rehabilitacji. Nie po to jednak znalazłem się na Zachodzie. Czyżej rehabilitacji bym oczekiwał? Cóż, zaczęli już wydawać niektóre utwory Wynneckerki i Hwylowego, ale póki co, żaden przełom nie nastąpił. Najważniejszych dzieł tych autorów nadal nie ogłoszono. Hasło Hwylowego - Z daleka od Moskwy! - jest dziś tak samo nie do przyjęcia jak było za Stalina.

P: *Był Pan przewodniczącym oficjalnego ukraińskiego Związku Pisarzy. Czy mógłby Pan ocenić stan literatury ukraińskiej, zarówno tej oficjalnej jak i podziemnej? Jakże są szanse, że w epoce Gorbaczowa nastąpi podobne ożywienie literackie, jak to z początku lat 60.?*

MR: Ten proces już się rozpoczął. Tylko ktoś, kto nie zna literatury ukraińskiej, mógłby tego nie dostrzec. Pojawilo się wielu utalentowanych i naprawdę oryginalnych pisarzy i poetów. Wspomniałem przykładem jedności pokoleń twórców kultury ukraińskiej może być Lina Kostenko i jej córka, Oksana, której głos rozbrzmiewa zaskakująco mocno i która jest dla swej niemłodej już matki wielkim wsparciem. Ogromnie się cieszę z sukcesów Walerego Szewczuka, wyjątkowo utalentowanego prozaika. Pełne listy nazwisk nie mogę teraz przedstawić, ale odrodzenie się naszej literatury jest faktem.

P: *Ale nakłady książek tych autorów są w porównaniu z twórczością w języku rosyjskim stosunkowo niskie...?*

MR: To nie całkiem tak. Poezje Liny Kostenko osiągnęły na przykład nakłady rządu 100 000 egzemplarzy, podczas gdy przeciętny nakład książki poetyckiej wynosi 8 000.

P: *Liczba książek wydawanych po rosyjsku i po ukraińsku się jednak różni...*

MR: Różnica jest ogromna, ale to nie powinno dziwić. Czytelników w języku rosyjskim jest więcej. Ale to prawda, że wydawnictw w języku ukraińskim jest coraz mniej wskutek rusyfikacji i spadku prestiżu języka ukraińskiego na Ukrainie.

P: *Czy ta sytuacja zmieni się w epoce rządów Gorbaczowa?*

MR: Nie chodzi o Gorbaczowa. Nie wiadomo dlaczego wszyscy skłonni są łączyć wszelkie wydarzenia wyłącznie z samym Gorbaczowem. Związek Radziecki, a właściwie sowieckie imperium - bo to przecież nigdy nie był prawdziwy związek republik - znalazło się w tak katastrofalnym położeniu ekonomicznym, moralnym, politycznym, filozoficznym i duchowym, że społeczeństwo nie wie dziś, w co wierzyć. Czy człowiek może żyć bez jakiegokolwiek wiary? Dawniej wierzyło się w komunizm, a dziś, moim zdaniem, sam Gorbaczow nie wierzy w komunizm, choć partia pozostaje z nazwy komunistyczna. Proszę sobie wyobrazić kondycję duchową kogoś, dla kogo nie istnieje Bóg, nie istnieje komunizm, nie ma żadnej świętości. Co zostaje?

P: *Co Pan sądzi o twórczości podziemnej prezentowanej w "Wisnyku" i "Kafedrze"?*

MR.: To nie jest literatura podziemna. Nie publikuje się jej w oficjalnych czasopi-  
mach sowieckich, ale autorzy tych utworów wyszli już z podziemia i działają na szer-  
szym forum. "Wisnyk", a mogą to powiedzieć na podstawie lektury tych numerów, które  
do mnie dotarły, jest pismem na wysokim poziomie. Ma też świetnych redaktorów.

P: *Dwudziestu dwóch dysydentów radzieckich przebywających na Zachodzie zapelowało kilkanaście lat temu o uchylene układów helsińskich z roku 1975, ponieważ ich zdaniem legalizowały one powojenny układ granic w Europie bez dostatecznych gwarancji dla przestrzegania praw człowieka. Był Pan współzałożycielem i przewodniczącym ukraińskiej grupy helsińskiej. Jak Pan z tej perspektywy ocenia proces helsiński i czy ma on dziś znaczenie?*

MR: Jeśli Breżniew działał cokolwiek dobrego, to było tym właśnie podpisanie ukła-  
dów helsińskich, które natychmiast zaczęły działać na jego niekorzyść. Breżniew sądził,  
że uda mu się przechytryć Zachód i uzyskać poważną korzyść polityczną, jaką byłoby  
nakłonienie państw zachodnich do zaakceptowania istniejącego podziału Europy. Zachód  
zachował się bardzo inteligentnie: świetnie, zgadzamy się, ale zajmijmy się sprawą  
Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Okazało się to bardzo skuteczne, tak bardzo,  
że kierownictwo sowieckie zaczęło żałować, że w ogóle wypuściło tego chochlika z bu-  
telki, zwłaszcza od momentu aresztowania Orłowa, Szczarańskiego, Tichego czy mnie,  
a także wielu innych. Był to czas niezwykle ponury. Wydawało się, że reżim zwyciężył,  
że zdusił nasz ruch. Z dzisiejszej perspektywy widać jednak, że to był tylko okres  
przejściowy, że ruch helsiński zdobył znaczne wpływy międzynarodowe, że rozwinął potęż-  
ne skrzydła. Ukraińska grupa helsińska jest dziś znana na całej Ukrainie, cieszy się  
wielkim autorytetem, wydaje "Wisnyka", o którym już wspominałem. Grupa helsińska na  
Ukrainie nigdy się nie rozwiązała. Grupa moskiewska rozwiązała się, może dlatego, że  
jej członkowie odczuli się psychicznie wzmocnili. Ukraińskiej grupie helsińskiej żad-  
nego moralnego wzmocnienia nie było potrzeba. Jej członkowie odsiedzieli wyroki w obo-  
zach pracy i wznowili działalność grupy po wyjściu na wolność.

P: *A co Pan sądzi na temat pohelsińskich konferencji przeglądowych. Czy mają nadal sens?*

MR: Jak najbardziej. Proces helsiński zdobył sobie na świecie taką wiarygodność, że  
nie sposób go wyciszyć czy zawiesić. To nie dotyczy już rządów, tylko obywateli.

P: *Jako działacz ruchu obrony praw człowieka i więzień polityczny miał Pan okazję spo-  
tkać się, pracować i odsiadywać wyrok z Rosjanami, Żydami, Gruzinami i dysydentami in-  
nych narodowości. Jak układały się wasze stosunki?*

MR: Chcę przypomnieć, że ukraińska grupa helsińska powstała w ścisłej łączności z gru-  
pą moskiewską. Grupa moskiewska dysponowała sposobami upowszechniania naszych oświad-  
czeń, czego my sami nie byłibyśmy w stanie zrobić. Naszym przedstawicielem w grupie  
moskiewskiej był generał Petro Grigorenko, który współpracował z nią bardzo blisko i  
miał także kontakty z prasą zagraniczną. Współdziałaliśmy także z litewską grupą hel-  
sińską - spędziłem siedem lat w obozie pracy z członkami tej grupy, jedliśmy właściwie  
z jednej miski, byliśmy sobie braćmi...

P: *Czy wymaxaliście te same poglądy polityczne co członkowie innych grup narodowości-  
wych?*

MR: Łączymy nas wspólnota celów: walka o prawa ludzkie i narodowe. Bez praw narodowych  
nie może być autentycznych praw ludzkich.

P: *Niektórzy działacze ukraińscy na Zachodzie twierdzili, że w oświadczeniach ukra-  
ińskiej grupy helsińskiej zbyt duży nacisk kładziono na kwestię praw człowieka, a za-  
 mało mówiło się o prawach narodowych. Co Pan na to?*

MR: To do pewnego stopnia prawda. Zaczęliśmy od podjęcia ogólnej problematyki praw człowieka. Wszyscy jednak, którzyśmy wchodzili w skład grupy helsińskiej, nie ukrywaliśmy nigdy - wystarczy przeczytać nasze dokumenty - naszych uczuć narodowych. Proszę przeczytać nasze pierwsze oświadczenie zawierające protest przeciwko ludobójstwu popełnionemu przez Moskwę na Ukrainie. Tak więc oskarżanie nas o ignorowanie kwestii praw narodowych jest pozbawione podstaw.

P: *Wróćmy do tematu stosunków z innymi grupami więźniów, np. z żydowskimi "otkaznikami"...*

MR: Stosunki pomiędzy Żydami i Ukraińcami były w ruchu dysydenckim dobre. Podam przykład. Po moim aresztowaniu moskiewska grupa helsińska wydała oświadczenie w mojej obronie. Przeczytawszy listę sygnatariuszy, zauważyłem, że oprócz Jurija Orłowa, przewodniczącego grupy, byli oni wszyscy pochodzenia żydowskiego. Liczba Żydów - członków ruchu dysydenckiego, zwłaszcza w Moskwie, jest bardzo wysoka. Wszyscy oni byli naszymi bliskimi sojusznikami i przyjaciółmi. Boleję głęboko nad tym, że dziś na Zachodzie nie istnieje właściwie przyjaźń między społecznością ukraińską a żydowską. Na Ukrainie żyje blisko milion Żydów. Nasze narody powinny się rozumieć i nawiązać współpracę.

P: *Czy w okresie, gdy stał Pan na czele grupy helsińskiej, mieliście kontakty z innymi ugrupowaniami opozycyjnymi w Europie wschodniej? A jak to wygląda dziś?*

MR: Było to bardzo trudne, wręcz niemożliwe. KGB siedziało mi na karku. Funkcjonariusze KGB pilnowali mojego mieszkania, obok domu, w którym mieszkalem bez przerwy parkowały milicyjne auta. Bez przerwy próbowano założyć u mnie podsłuch, szybko jednak zorientowałem się w ich sposobach i likwidowałem urządzenia podsłuchowe. KGB przesłać chciało nas do tego stopnia, że dusiliśmy się w stworzonej przez nich atmosferze ustawicznej presji. Jak w takich warunkach nawiązywać kontakty z innymi ugrupowaniami, zwłaszcza poza granicami ZSRR? To było niemożliwe.

P: *Jak w świetle nietatwej historii stosunków polsko-ukraińskich wyglądało stanowisko opozycji ukraińskiej wobec "Solidarności" i związanych z jej powstańcem wydarzeń w Polsce?*

MR: Począwszy od roku 1977 spędziłem w więzieniu i na zsyłce 11 lat. Prosto ze zsyłki znalazłem się na Zachodzie. Nie jestem więc w stanie ustosunkować się do tej kwestii, bo w chwili powstania "Solidarności" siedziałem w więzieniu.

P: *Wydaje się, że wiekatek siedemdziesięciu lat rządów komunistycznych stan ducha i przedsiębiorczość mieszkańców ZSRR są takie, że opowiedzą się oni raczej za przeduraniem obecnej stagnacji niż za ryzykiem, jakie wiąże się z głęboką przebudową gospodarki. W jaki sposób może się udać Gorbaczowowi pokonać tę uczucia lęku i nieufności i wlać nowe życie w chore społeczeństwo? Czy to w ogóle możliwe?*

MR: Mieszkańcy ZSRR wycierpieli już tyle, przeprowadzono już na nich tyle eksperymentów, że nie dadzą się nabrać na czele slogany. Ludzie widzą rzeczywisty obraz sytuacji światowej, rzeczywistość rozwoju socjalistycznego i stan gospodarki radzieckiej. Kraj jest naprawdę na krawędzi głodu. Rodzinom, i to nawet rodzinom robotników o najwyższych kwalifikacjach lub pracowników naukowych zajmujących stosunkowo wysoką pozycję społeczną, coraz trudniej jest związać koniec z końcem. Tym trudniejsze staje się to dla zwykłego pracownika czy rencisty. Po wyjściu z łagru przywrócono mi automatycznie prawa inwalidy wojennego. Poszedłem do specjalnego sklepu dla inwalidów po swój przedział żywności. Prawdę mówiąc, słinka mi ciekła na myśl o czymś przyzwoitym do zjedzenia. Wszedłem do sklepu, wylegitymowałem się i co mi dali? Pięć kilo kaszy! A ja co wieczór w łagrze też jadłem kaszę! Więc co tu gadać? Ten kraj stoi na krawędzi głodu.

P: *Ale jak można by odwrócić bieg wypadków?*



MR: Zmianę może przynieść jedynie upadek systemu komunistycznego. Ten system musi runąć. Śmieszają mnie artykuły, które czytam w prasie zachodniej o tym, że kapitalistyczny Zachód pomoże uratować ZSRR. W jaki sposób mógłby to uczynić? Zachód mógłby wskazać kierunek zmian niezbędnych w kierowaniu gospodarką. Ale co zrobić z radzieckim rolnictwem? Znajduje się ono w ostrym kryzysie. Wskatek nieprawidłowej eksploatacji gleby uległy wyjątkowemu. Do upadku systemu przyczyni się upadek rolnictwa, które jest w stanie opłakarnym. Sugestie Gorbaczowa dotyczące zwiększenia arealiu prywatnych działek kolchoźników kraju nie uratują. Kolchoźnikom nie zależało nigdy na właściwym uprawianiu i rekultywacji ziemi, która nie należała do nich. Historia uczy, że dzierżawcom nigdy nie zależało na ziemi, którą uprawiali. Dzierżawa działek nie jest rozwiązaniem. Totalitaryzm socjalistyczny jest już jedną nogą w grobie, a drugą wlecz się w tym samym kierunku. Najpierw musi nastąpić upadek systemu, a potem dopiero będzie można zastanowić się nad zmianami. Ukraińcy na Zachodzie i inni powinni uświadomić sobie, że nastąpi to w przeciągu najbliższych dziesięciu lat.

P: *Sądzi Pan, że to się stanie w przeciągu dziesięciu lat?*

MR: Tak, już niedługo. W 1985 roku dostałem przepustkę z zsyłki i odwiedziłem Moskwę i Kijów - ludzie jakos sobie jeszcze radzili. Ale w dwa lata później, kiedy znalazłem się na Zachodzie, poziom życia w Moskwie uległ znacznemu obniżeniu. Zachód nie tu nie pomoże. Nie chodzi wcale o radziecki przemysł czy o wypełnienie wskaźników. To jasne, że ludzie nie wykonują planu, bo przemysł nigdy im się za to uczciwie nie zrewanżował. Przemysł wysysa tylko naturalne zasoby tej ziemi. Ludzie nie mają z radzieckiego przemysłu żadnego pożytku. Powtarzam: głównym czynnikiem prowadzącym do ostatecznego upadku imperium sowieckiego będzie upadek rolnictwa i dewastacja gleby.

*Tłumaczył: ADAM WAKSMAN*

A.S.

## Kto chce być psem prezydenta?

Helmut Frauendorfer przyjechał na mistrzejowicką konferencję praw człowieka już z Berlina Zachodniego. Szczupły, niewysoki, ciemnowłosy rumuński Niemiec, w którym bez trudu rozpoznaje się byłego obywatela ludowej republiki, obywatela niepokornego: dżinsy, długie włosy, torba przerzucona przez ramię. Mówi spokojnie, precyzyjnie, unika pustosłowia, na zjazdowej trybunie przemawia ze swadą, wzbudzając zainteresowanie i sympatię słuchaczy. Słuchaczom utkwił w pamięci końcowy fragment przemówienia: pewnego razu Frauendorfera minęła w Bukareszcie kolumna aut eskortowanych przez policjantów na motocyklach. Za szybą limuzyny dojrzał rozwalonego na tylnym siedzeniu psa Prezydenta. Uwijał się potem przy zainicjowanym rumuńskim stoisku informacyjnym, zbierając podpisy pod apelem o odciążanie zapędów Ceausescu.

Studiował geraniastykę w Timișoarze, tam też zaczął w miejscowym piśmie studenckim ogłaszać teksty literacko-krytyczne, przewodził eksperymentalnej grupie teatralnej.

Jego poglądy i postawa szybko wzbudziły zainteresowanie policji bezpieczeństwa. W 1984 roku przeprowadzono u niego w mieszkaniu drobiazgową rewizję, a potem zabrano go na pięćdniowe przesłuchanie z biciem i pogróżkami. Klasyka. Na koniec zaproponowano mu podpisanie oświadczenia, że wiedział, w jaką się wdaje działalność. Odmówił.

Po studiach wyładował w miejscowości oddalonej 100 km od Bukaresztu. Miał przez trzy lata uczyć w miejscowej szkole, spiacając dług zaciągnięty wobec socjalistycznej ojczyzny. W 84 udało mu się opublikować tomik wierszy, związek literatów chciał go nagrodzić, ale prezes zaprotestował. Inne propozycje pracy - w redakcji poważnego pisma literackiego - też "ktoś" unieważnił. Pisał protesty do Towarzysza Prezydenta, na które odpowiadał nigdy nie otrzymał. W grudniu 1987 wyemigrował do Berlina Zachodniego, otrzymawszy status obywatela niemieckiego.

Pytałem go o Kościoły w Rumunii - w jakim stopniu mogą być oparciem w walce czy choćby oporze wobec systemu. Nałwne pytanie. Cerkiew kolaboruje na potęgę. Uległość wobec się oczywiście wyjątki, ale im wyższy szczebel hierarchii, tym gorzej. Uległość wobec państwa dotyczy zresztą wszystkich rumuńskich Kościołów, największą samodzielność - bo chyba nie niezależność - wykazuje Synagoga, która ośmiela się publicznie piętnować antysemitckie książki wydawane w Rumunii. Oficjalni przedstawiciele Cerkwi rumuńskiej głośno protestowali przeciwko proponowanej niedawno na międzynarodowej konferencji we Frankfurcie dyskusji na temat niszczycielskich planów "przebudowy" rumuńskiej wsi. Nie należy jednak mieć złudzeń co do jednej sprawy: rdzenni Rumuni są bardzo podatni na wszelką propagandę antywęgierską czy antyżydowską. Chętnie wierzą w to, że Węgrzy chcieliby zagarnąć Siedmiogród. W tym względzie polityka Ceausescu cieszy się autentycznym poparciem szerokich rzesz. Ciekawe, że na terenach wieloetnicznych - w okolicy Timiszorany - konflikty są znacznie łagodniejsze.

Spótczeństwo rumuńskie goni w piętkę, poziom nienawiści, frustracji i podejrzliwości ci jest tak wysoki, że trudno się spodziewać działań opozycyjnych na większą skalę. Są oczywiście akty jednostkowego bohaterstwa, publicznej odwagi, ale wszelkie próby koordynacji spełniają na niczym. Nawet w kręgu najbliższych przyjaciół lub rodziny nie rozmawia się o polityce, o sytuacji w kraju. Zapytałem się jednak nie srauje się jakichś długofalowych wizji, przeciwie jakiegoś dyskusje o przyszłości, wolnej Rumunii maszą się toczyć. Znowu wyszedłem na naiwnego. Takie rozmowy są nie do pomyslenia. Nikt nie umie myśleć w kategoriach innych niż te, jakie narzuca rzeczywistość.

Zdarzają się akty anonimowego protestu, obliczone na wywołanie jakiegś reakcji: hasła na murach, ulotki w skrynkach na listy albo w kieszeniach ubrań na sklepowych wieszakach, pies z opaską z nazwiskiem Dyktatora biegający po ulicach Bukaresztu /pa-miętacie nasze antywyborcze świnki?/.

Jest jeszcze jedna forma protestu: masowy bunt niewolników, taki jak w Braszowie. Zaczęło się od tego, że nocnej zmianie kazano ustawić się czwórkami i pomaszerować kołuną do urn wyborczych, ale przedtem jeszcze poinformowano robotników, że wypłaty na razie nie będzie.

Rumuni, trochę tak jak Czesi, kierują wzrok w stronę Gorbaczowa, spodziewają się, że odwilż może przynieść tylko stamtąd, na Zachód nie liczą, bo widzą wyraźnie, że Zachód cení sobie politykę zagraniczną Ceausescu. Tymczasem w prasie urzędowej kompletnego embargo na informacje dotyczące np. Afganistanu, pieriestrojki i innych przejawów kryzysu dotychczasowego modelu real socjalizmu.

Dobrá ilustracją atmosfery panującej w życiu publicznym jest ramowy schemat dziennego programu telewizyjnego /dwie godziny transmisji/: dziennik informujący o kolejnych sukcesach przemysłu i rolnictwa, przede wszystkim zaś o wszystkim, co zrobił dany dzień Towarzysz Prezydent, jego rodzina i świta; trzy razy na tydzień wyświetla się w 45-minutowych odcinkach jakiś stary zachodni film bez czołówki i napisów, /bo "copyright" i trzeba by było płać/, w pozostałe dni idą filmy lub adaptacje sztuk rumuńskich, potem program złożony z pieśni i wierszy na cześć Ceausescu, na zakończenie dziennik o identycznej treści.

Co jest najważniejsze na dziś? Jak się ratować? Na emigrację polityczną nie ma co liczyć: jest bardzo nieliczna i słaba. Potrzebne są akcje międzynarodowe, uświadamiające jak wygląda rumuńska rzeczywistość, przede wszystkim jednak - i to byłby fundament - potrzebna jest integracja społeczeństwa - ale to na razie wyłącznie pobożne życzenie - i solidarność w sprzeciwie wobec Dyktatora. Póki co jednak jest bardzo złe. Społeczeństwo jest zupełnie zatomizowane, opozycji nie ma z-kim ani z kogo tworzyć. Pozostają gesty, przemówienia, apele, choćby na modę mistrzejowicką. Nie przekonają: bym ich znaczenia, ale jestem przekonany, że w sferze symbolicznej ignorować ich nie

wolno.

Bo rzeczywiście, ktoś chciałby być psem prezydenta, nawet jeśli wożą go limuzyną w eskortie motocyklistów w białych rękawiczkach i jeżeli limuzyna mknie bukareszteńskim Bulwarem Socjalizmu.

A S

# Rumunia : komunizm narodowy

Rozmowa z Mihailem Botezem

*Pytanie: Proszę na początek opowiedzieć coś o sobie. Na Zachodzie niewiele ludzi zna Pańską działalność w Rumunii...*

Mihael Botez: Urodziłem się w roku 1940 w Bukareszcie, studiowałem matematykę na tamtejszym uniwersytecie, doktoraat ze statystyki otrzymałem w roku 1966. Początkowo zajmowałem się zawodowo matematyką, ogłaszałem artykuły teoretyczne, ale w latach 1967-1968 zacząłem się interesować naukami społecznymi i zastosowaniem w nich myślenia matematycznego, najpierw w dziedzinie zarządzania, później w prognozowaniu przyszłości.

W roku 1970 założyłem jeden z pierwszych w Europie Wschodniej instytutu prognostyki społecznej, który wszedł w skład Uniwersytetu Bukareszteńskiego. Mieliśmy ambitne plany - chcieliśmy oddziaływać na rozwój sytuacji w naszym kraju. Treść moich analiz odbiegała jednak coraz bardziej od poglądów urzędowych. Byłem mimo to uparty, toteż uznano mnie za osobę niepożądaną i przenoszono kilkakrotnie, ostatecznie wylądowałem w ośrodku komputerowym w Tulscea, miasteczku naddunajskim pod granicą z ZSRR. Od roku 1977 nie wolno mi było wykładać na Uniwersytecie, uczestniczyć w zjazdach, ani kierować zespołami badawczymi, ponieważ uznano mnie chyba za zbyt niebezpiecznego. W tym samym okresie odmówiono mi 34 razy wizy wyjazdowej z kraju, wskutek czego utraciłem wszelki kontakt z moimi zagranicznymi kolegami jako matematyk, specjalista analizy systemów i futurolog. Pogłębiająca się izolacja spowodowała, że moje zainteresowania naukowe przesuwały się coraz bardziej w stronę studiów i analiz społeczeństw komunistycznych. Pierwsze kroki w dziedzinie tak zwanej "poważnej nauki o komunizmie" raczej mnie rozczarowały. Okazało się, że dyscyplina ta skażona jest sporami ideologicznymi i ról się od wtrętów historycznych, oskarżeń i polowań na czarownice. Dla mojego pokolenia są to problemy właściwie bez znaczenia. Dokładne przedstawienie tego, co sądził Marks, zalecał Lenin czy urzędysty Stalin w minimalnym stopniu dotyczy mego życia czy całego współczesnego świata komunistycznego zamieszkiwanego dziś przez 30% ludności g. obu. Dla mnie komunizm nie był nigdy kwestią wyboru i nigdy nie poczuwałem się do obowiązku uzasadniania jego racji. Był to natomiast pewien nie podlegający dyskusji system polityczny, w którym się urodziłem, toteż nie chodziło mi o to, by lamentować, zgłaszać zarzuty lub obwiniać, tylko o to, by zrozumieć ten nowy świat i próbować go zmienić na tyle, na ile to tylko możliwe. Będąc prognostykiem widzę w obecnym świecie komunistycznym nie tyle produkt procesu ewolucyjnego, ile raczej - co może dużo ważniejsze - punkt, od którego zaczyna się przyszłość. A moje zainteresowanie tym światem wynika z tego, że zamierzam spędzić w nim resztę życia, tym bardziej więc popycha mnie to do szukania alternatyw i działania w taki sposób, który przybliżyłby znalezienie takiego wyjścia, które uważam za najlepsze.

*Pyt.: To znaczy do działania na rzecz zmiany systemu...*

M B: Owszem. Terapia jest ważna, ale pierwszeństwo ma diagnoza. Chcąc zrozumieć, chcąc przedstawić jakieś możliwości zmian /oczywiście na lepsze/, trzeba najpierw dowiedzieć się, na czym polega funkcjonowanie komunizmu, trzeba nakreślić dokładny obraz wyzbyty emocji.

*Pyt.: Chodzi Panu o to, że Rumuni powinni dokonać bezpartyjnej analizy na wódr analiz wypracowanych przez zachodnich badaczy komunizmu...*

M B: Bezpartyjnej, ale nie cynicznej czy też zdystansowanej, jak się to często dzieje na Zachodzie. Podam przykład: miewamy niekiedy wrażenie, że twórcy niektórych analiz zachodnich badają nasze społeczeństwa, jakby to były zwierzęta w zoo. Uczeń emigracyjny nie są natomiast w stanie zachować dostatecznego obiektywizmu. Uważają, że udręki jakich zasnali pod rządami komunistów, upoważniają ich do tego, by mogli się uznać za ekspertów w tej dziedzinie. Stosując takie rozumowanie można by równie dobrze twierdzić, że ten, kto chorował na zólitaczkę, staje się automatycznie ekspertem od chorób wątroby. Zamiast analiz współczesnych systemów komunistycznych mamy do czynienia z *na* rzekaniem i filipikami wyderzonymi w ten nikczemny i bezprawny porządek społeczny. Żywie oczywiście najwyższy szacunek dla ofiar systemu komunistycznego i zgadzam się, że bywa on często przerażający. Ale tak naprawdę to nie ma właściwie znaczenia. Działanie możemy podjąć dopiero wówczas, gdy rozporządzamy jasnym obrazem rzeczywistości, a obraz taki można oprzeć jedynie na uważnej i bezpartyjnej obserwacji.

*Pyt.: Na czym polega Pański wkład do badań nad komunizmem?*

M B: Skojarzenie systemu sowieckiego z heterogennymi tradycjami narodowymi doprowadziło do powstania społeczeństwa nowego typu. Zajmuję się właśnie skonstruowaniem podstawowego modelu tego społeczeństwa, który uwzględniłby logikę i etykę, którymi się ono rządzi, a także mechanizmy jego samoregulacji i obiegów wszelkiego rodzaju informacji. Inaczej mówiąc, próbowałem stworzyć "cyberetykę" dyktatoru uprzenysławionych /nie zaś przyniesionych demokracji/, bo tym się zajmuje dyscyplina zwana zwykle "cyberetyką społeczną". Badam problemy związane ze stabilnością i zmianami w obrębie społeczeństw tego typu, a ściślej - możliwości i granice reform, ewolucji, a nawet ewentualnej rewolucji. Są to badania interdyscyplinarne, oparte na modelu "porządku poprzez fluktuacje". Rozpatrywana z tej perspektywy Rumunia przedstawia niezmiernie ciekawy przypadek, bo jest to najprymitywniejszy chyba w dzisiejszej Europie kraj komunistyczny. Pewien antropolog powiedział mi kiedyś, że najciekawsze są badania nad społeczeństwami pierwotnymi, bo widać w nich wyraźniej podstawowe modele życia społecznego. No cóż, jestem członkiem takiego pierwotnego społeczeństwa i staram się z tego faktu skorzystać, prowadząc z bliska studium strukturalne.

*Pyt.: Co Pan rozumie pod określeniem "pierwotne"?*

M B: Skrajnie nieskomplikowane, najprostsze i najbardziej stalinowskie w charakterze. Ceausescu jest właściwie przywódcą z lat 30., czyli nie ma wątpliwości, naprawdę wierzy w doktrynę. Od początku był przekonany, że komunizm jest dobry, a kapitalizm zły, że centralne planowanie jest dobre, a rynek zły, że prywatna własność i wprowadzenie choćby pozoru mechanizmów rynkowych byłoby herezją oraz że planowanie centralne i przewodnia rola partii pozwolą rozwiązać wszystkie problemy ludzkości. Według tego poglądu ludzie są zasadniczo źli, bo marnują energię na jakies trzeclorzędne działania i nie angażują się w dostatecznym stopniu w ów Arcyplan, wobec czego trzeba nimi rządzić twardą ręką. W taki to staroświecki sposób buduje Ceausescu nowe społeczeństwo.

*Pyt.: Tylko, że mu to nie wychodzi. In strajku powszechnym w Braszowie, w listopadzie 1987 uczestniczyły dziesiątki tysięcy robotników, którzy protestowali przeciwko podwyższeniu cen, zamrożeniu zarobków i surowym środkom oszczędnościowym wprowadzonym przez Ceausescu. Uptynął tydzień i Biuro Polityczne zmieniło stanowisko partii i zaprobowało podwyżki wynagrodzeń, wskutek czego żądania robotników zaczęły wyglądać na uzasadnione. W jaki sposób wpłynęło to na reżim Ceausescu?*

M B: Tak się niestety składa, że przebywając tu na Zachodzie mam te same informacje dotyczące Rumunii, zaczerpnięte z prasy tutejszej. Moim zdaniem, rozruchów w Braszowie należało się spodziewać. Przewidziałem je już kilka lat temu. W liście wysłanym do KC, w którym ostrzegałem przed tego rodzaju wydarzeniami, jeżeli warunki życia będą się nadal pogarszały. Mój list nadano także przez "Wolną Europę". W obecnej sytuacji nie dziwi to absolutnie. Warunki życia, i tak straszne, jeszcze się pogorszyły, w związku z czym ludzie są jeszcze bardziej zrozpaczeni. Wybór, przed jakim stoją, wygląda dziś mniej więcej tak: żyć jeszcze gorzej czyli umrzeć z zimna we własnym domu albo dać się zastrzelić na ulicy. Wydarzenia w Braszowie są bardzo ważnym sygnałem od klasy robotniczej i to chyba pierwszym z całej serii protestów.

Pyt.: *Czy ten sygnał zostanie usłyszany?*

M B: Jedną z głównych cech charakterystycznych obecnej eldpy rządzącej jest arogancja. Wierchuszka na poczucie ma ją. Ani im się śni przyznać, że mogą nie mieć racji, a już na pewno nie zrobić tego otwarcie. Odpowiedzią na wydarzenia braszowskie będzie miedza nina represji z drobnymi ustępstwami o ograniczonym zasięgu, które miałyby złagodzić napięcie społeczne.

Pyt.: *Według doniesień Radia BBC dla zagranicy, za strajk i związane z nim podwyżki zarobków trzeba było zapłacić wysoką cenę. W tydzień po protestach 40 robotników dostało kary więzienia, średnio po cztery lata, za "złośliwe chuligaństwo", kilkuset oczekuje na proces w areszcie.*

M B: Dla władz dużo ważniejsze od otwartego karania uczestników zamieszek jest zarejestrowanie przebiegu wydarzeń. W roku 1977 też doszło do strajku, z którego uczestnikami rozprawiono się znacznie później. Rządzący rozwiążą ten problem prawdopodobnie w ten sam sposób, to znaczy ludzie zaczynają zniknąć. Inspiratorów i przywódców przeniesie się, skazę lub zabije. Jest to strategia o wiele bardziej elastyczna niż otwarta konfrontacja z robotnikami, bo oficjalnie władze nigdy się nie przyznają, że w ogóle doszło do jakichś zaburzeń. Przykładowo, wiceminister spraw zagranicznych oświadczył w Paryżu, że w Braszowie doszło do jakichś chuligańskich ekscesów, ale nie miały one bynajmniej charakteru politycznego. Dla rządu będzie jednak rzeczą trudną, by w tym wypadku negować fakt protestu o podłożu politycznym, zarazem zaś skazywać za to ludzi. Jak tylko odzyskają kontrolę nad sytuacją, skorzystają z kartotek, przy czym unikać się będzie represji na masową skalę, tylko wybierając ludzi pojedynczo. W tydzień po protestach w Braszowie doszło jednak do demonstracji studenckich w Braszowie i Timișoara, w innych miastach odbyły się pokojowe pochody. Oznacza to, że coś drgnęło.

Pyt.: *Czy te protesty miały charakter zorganizowany? Czy istnieją jakieś podziemne ośrodki koordynujące? W jednej z relacji na temat strajków braszowskich była mowa o powołaniu tajnego komitetu strajkowego, koordynującego działania. Protesty studenckie wybuchły także na przestrzeni całego roku 1987...*

M B: Pojawiło się kilka nowych ugrupowań, na przykład "Actiunea Democrată", a także liczne oświadczenia wzywające do walki z obecnym reżimem. Nie oznacza to jednak, że są to naprawdę akcje zorganizowane. Mój sceptycyzm wynika stąd, że Rumunia jest poddana ścisłej kontroli, a istnienie podziemnej organizacji z prawdziwego zdarzenia jest prawie niemożliwe. Organizacja taka istniała w latach 1977-1979, ale rozprawiono się z nią szybko w sposób, który opisałem wcześniej. Pamięć o tym jest wciąż żywa. Ludzie wiedzą, że zorganizowanie czegoś w tym rodzaju jest niestychanie trudne. Trzeba jednak pamiętać, że to są procesy długofalowe. Przypuszczam, że w chwili obecnej istnieje jakiś stopień koordynacji, bo oświadczenia docierające na Zachód odznaczają się pewną ciągłością. Jeden z najczynniejszych opozycjonistów, Radu Filipescu, wcześniej więziony, powiadomił w liście do prokuratora generalnego, że zamierza wziąć udział w pokojowym marszu protestacyjnym. List krążył na Zachodzie i został nadany przez Radio Wolna Europa. Bez koordynacji byłoby to niemożliwe, a zatem, owszem, do pewnego stopnia ona występuje.

Pyt.: *Czy studenci są zorganizowani?*

M B: Nie wiem, co się teraz dzieje w Bukareszcie, ale kiedy byłem na uniwersytecie, to panowała bardzo represyjna atmosfera, może w związku z bliskim sąsiedztwem władz centralnych. Niedawno jednak Radio Wolna Europa nadało list pewnego młodego studenta matematyki z tegoż uniwersytetu. Oznacza to, że i tam coś drgnęło, a niektóre pomruki nagłośniło nawet "pułko rezonansowe" zachodnich środków przekazu. Bez koordynacji wszystko to byłoby niemożliwe. Wydaje mi się, że rola tych grup polega obecnie nie na destabilizacji systemu, co spowodowałoby przyspieszenie jego upadku, ani nie na przedstawieniu jakiejś sensownej alternatywy, lecz na popieraniu jednej frakcji w "partii wewnętrznej" przeciwko drugiej. Masowe protesty mogą niekiedy spowodować upadek przynajmniej części przywódców komunistycznych. Pojawiają się oznaki rozczarowania i podziału w kierownictwie partii. Masowe protesty mogą mieć znaczenie, ale zmiany na szczęście są bardziej prawdopodobne niż rewolucja. W Polsce na przykład Gierek utracił stanowisko wskutek masowych strajków, ale zastąpił go Kania, a nie Wałęsa. W każdym razie dostrzegam wyraźnie narastanie niezadowolenia w szeregach nomenklatury. Przykładem może być to, co powiedział Silviu Brucan, stary komunistą i były ambasador przy ONZ i w USA. Potąpił on otwarcie kierownictwo rumuńskie w związku z falą protestów, stwierdzając, że partia musi zmienić strategię, bo robotnicy się burzą. Są to oczywiście poglądy marksistowskie i to całkiem łagodne, ale dowodzą one także, że dzieje się coś na samym szczycie.

Pyt.: *Może w przewidywaniu śmierci albo odejścia Ceausescu na emeryturę?*

M B: Rumunia stanowi bardzo szczególny przypadek wśród krajów Europy Wschodniej dlatego, że u progu lat 90. rządzący nią ludzie nie wykazują żadnej woli reform. We wszystkich innych krajach komunistycznych stalinowska umowa społeczna jest dziś kwestionowana z dwóch stron - od góry, przez Gorbaczowa i od dołu przez "Solidarność" czy inne ruchy wywodzące się ze środowisk społeczeństwa obywatelskiego w krajach takich jak Czechosłowacja czy Węgry. Oznacza to, że obecny stan komunizmu budzi rozczarowanie obu stron. Zmiana będzie wynikiem oddziaływania obu tych czynników, bo nie chodzi tylko o to co zamierza zrobić Gorbaczow czy inni, lecz także o to, co zechcą zaakceptować ich społeczeństwa. Społeczeństwo polskie po erze "Solidarności" przestało już być biernym przedmiotem, który się po prostu podporządkuje władzy. W erze biorą teraz udział dwaj partnerzy: reformistyczna partia rządząca i czynne społeczeństwo obywatelskie. Rumunia znajduje się pod tym względem w całkowitej izolacji, bo występuje tu jedynie nacisk oddolny, brakuje zaś zupełnie presji na reformy u szczytu władzy. Ów brak woli reform na szczycie powoduje niesłychane napięcie w atmosferze społecznej Rumunii. Mówiliśmy o zmianie kierownictwa. Taka zmiana na pewno nastąpi prędzej czy później. Wydaje się też rzeczą logiczną przypuszczenie, że zbiorowy nacisk mógłby przyspieszyć ten proces. Jeśli spojrzymy na ten problem realistycznie, przekonamy się, że zmiana może nastąpić jedynie w ramach reżimu komunistycznego, w ramach struktur oficjalnych. Innej alternatywy dziś nie ma. Dla Rumunii naprawdę ważne jest to, w jaki sposób komuniści zareagują na przyszły kryzys.

Pyt.: *Brzmiałoby tak, jakby chciał Pan powiedzieć, że system komunistyczny nie może się zmienić.*

M B: Istotnie tak sądzę w odniesieniu do całej Europy Wschodniej. Istnieje wielka różnica między rozczarowaniem a zorganizowaną walką o realistycznie rozumianą zmianę. Owszem, wszyscy są przeciw komunizmowi starego typu, ale co z tego? Ludzie pozbawieni są możliwości swobodnego zrzeszania się i myślenia w kategoriach realistycznej alternatywy. W najlepszym razie mogą się zastanawiać nad zastąpieniem jednego przywódcy innym i nad liberalizacją systemu, ale nie nad jego rzeczywistą demokratyzacją. Demokracja bowiem zakłada prawdziwą i otwartą walkę o władzę oraz zgodę władz na wolność stowarzyszeń, co oznacza, że musiałaby ona uznać także wolność stowarzyszenia się niekomunistów, czyli ludzi kwestionujących monopol władzy komunistów. Wydaje się przeto rzeczą logiczną, że reżim tego typu nie będą tolerowały prawdziwej demokracji, a zatem wszelkie zmiany, do jakich mogłoby dojść, nie mogą wyjść w jakimś większym stopniu poza ramy struktury władzy. Nie oznacza to oczywiście, że takie zmiany nie mają znaczenia. Mają one ogromne znaczenie dla jakości życia w ustroju komunistycznym. Ale nie znaczą to także, że władza komunistyczna zaakceptuje pluralizm polityczny, tylko dlatego, że

ludzie się burzą, a jacyś intelektualści formują teoretyczne przesłanki demontażu systemu komunistycznego. Wydaje mi się na przykład, że Gorbaczow nie miał nigdy zamiaru wprowadzić w ZSRR pluralizmu, usiłuje on jedynie przekształcić niewydolną i odrażającą dyktaturę w dyktaturę bardziej atrakcyjną i wydolną. O głośności i pieriestrojce mówi się tak, jakby to były dwa odrębne, nie powiązane ze sobą pojęcia. Nikomu chyba nie przyszło na myśl, że gdyby pieriestrojka udała się z powodzeniem wprowadzić w życie, to jedynie w rezultacie demokratycznej debaty zapoczątkowanej przez głośność - to nie może być wynik jakiegokolwiek tylko innej koncepcji sprawowania władzy, na jaką zdecydowali się ci sami autorzytarni jej wykonawcy. Dla nich wszystko musi pozostać w ramach istniejącego, kontrolowanego przez partię systemu społecznego.

Pyt.: *Czy nie byłoby lepiej, żeby ludzie pragnący zmian zaczęli się organizować poza systemem?*

MB: Proszę nie zapominać, że działania w ramach owych grup niezależnych są jedynie tolerowane, nie posiadają natomiast sankcji prawnej. Ludzie mogą się wyizolować w ramach tego rodzaju alternatywnych struktur, usiłując prowadzić normalne życie, ignorując przy tym społeczeństwo oficjalne. Nie znaczy to jednak, że społeczeństwo oficjalne przestaje już istnieć i nie dźwierży już władzy hegemonu. Na tym polega różnica między wolnością i demokracją. W ramach systemu komunistycznego można odnaleźć - jeśli jest się inteligentnym - pewną wolność. Ludzie mogą w sposób swobodny dawać publicznie wyraz swoim poglądom, mogą nawet kwestionować poczynania niektórych rządzących, ale nie sam system, nie system rękodzielnictwa jako taki. Ebyłbym zdumiony, pamiętając o logice rządzącej komunistycznym sposobem sprawowania władzy, gdyby władze zezwoliły na powstanie zorganizowanej alternatywy kwestionującej ich władzę absolutną. W moim przekonaniu sprawą zasadniczej wagi dla naszych społeczeństw jest właśnie ów monopol władzy. Naturalnie, jakość i sposób sprawowania tego monopolu mogą się różnić - na przykład pomiędzy Węgrami a Rumunią istnieje wielka różnica. Zasadnicze struktury są jednak identyczne. Według mnie tak zwane społeczeństwa niezależne w krajach Europy Wschodniej są tylko oazami wolności oblany morzem totalitaryzmu i tolerowane będą dopóty, dopóki nie zakwestionują politycznej władzy partii komunistycznej. Nie jest to demokracja w zachodnim rozumieniu tego pojęcia. Ale lepsze to wyspy niż nic, oczywiście. Choć nie tak widoczne jak w Polsce czy na Węgrzech, ale również w Rumunii istnieje tego rodzaju niezależne społeczeństwo. Występują tam nie tylko pojedyncze "wyzwolone" jednostki - dysydenci tacy jak I. Puin, D. Cornea, R. Filipescu, M. Celac, D. Petrescu - lecz również wyemancypowane grupy społeczne. Nie tworzą one jednak organizacji: są to jedynie nieformalne środowiska działające we wrogim, totalitarnym otoczeniu. Dlatego społeczeństwo niezależne trudno jest w Rumunii odróżnić od oficjalnego. Pod wieloma względami Rumunia stanowi przypadek szczególny. Przede wszystkim, nie przeszliśmy nigdy przez okres destalinizacji. Poprzednik Ceausescu, Gheorghiu-Dej, przeciwstawił się Chruszczowowi i nie zgodził się na destalinizację jeszcze na początku lat 60. Politykę tę uznano za manifestację rumuńskiego patriotyzmu i zareagowano na nią na całym świecie tak życzliwie, że stała się ona czymś w rodzaju twardej waluty, wskutek czego władze rumuńskie uznały, że opłaca im się manifestować swą tak zwaną niezależność od Moskwy. Gdy władzę objął Ceausescu, kontynuował tę szalenie intratną i zwiędzoną sukcesem politykę. Zachód zawsze wspierał dysydentów w naszej części świata. W związku jednak ze specjalnym podejściem do Rumunii jako państwa komunistycznego prowadzącego niezależną politykę, Zachód nie sprzyjał działaniu dysydentów rumuńskich. Aż do roku 1979 dziennikarze zachodni odwiedzający Rumunię poprzestawali na obrazie rzeczywistości, jaki przedstawiali im przedstawiciele władz: wyspa łacińskiej kultury otoczona wrogami, prowadząca bohaterką walkę o niepodległość z rosyjskim niedźwiedziem. Pamiętam, że pod koniec lat 70. niesłychanie trudno było krytykować Ceausescu, bo ludzie decydujący w Waszyngtonie o kształcie polityki zagranicznej uważali, że autorzy takiej krytyki pracują w mniejszym lub większym stopniu na korzyść Sowietów i narażają na szkodę stosunki USA z najlepszym przyjacielem tego kraju w Europie Wschodniej. Skutek takiego myślenia był dla kwestii praw człowieka i ruchu dysydenckiego w naszym kraju tragiczny. Załamał się ruch zainicjowany w roku 1977 wśród intelektualistów przez Paula Gome, wolne związki zawodowe i ruch Władza Georgescu. Znaleźliśmy się w całkowitej izolacji. Na Wschodzie nie było żadnego zorganizowanego poparcia, Zachód zaś nas zniechęcał - niekiedy nawet więcej niż zniechęcał - do działania.

Z tego punktu widzenia należy uznać Zachód za jednego z ojców chrzestnych najbardziej skutecznego systemu stalinowskiego w Europie Wschodniej. Nawet prezydenci Stanów Zjednoczonych i Francji, cesarz Japonii i królowa Anglii wyrażali najwyższe uznanie reżimowi rumuńskiemu. A kiedy prezydent Carter, obrońca praw człowieka na całym świecie, zaprosił Ceausescu do Waszyngtonu i pochwalił go za osiągnięcia Rumunii, ruch na rzecz praw człowieka w naszym kraju praktycznie przestał istnieć. Tego było już dla wielu Rumunów za wiele i to wtedy ostatnia wielka fala intelektualistów opuściła kraj. Wielu moich przyjaciół powtarzało mi, że mamy przed sobą długą drogę i że trzeba przede wszystkim spróbować przemówić do Zachodu, przedstawić prawdę.

*Pyt.: Ale ambasador amerykański w Rumunii, Funderburk, nastawiony przychylnie do waszej sprawy, próbował mówić prawdę, tylko nikt go nie słuchał.*

**M B:** Owszem. Może dlatego, że uznano, iż inwestycje amerykańskie w Rumunię - inwestycje moralne - były zbyt wysokie, żeby zmieniać politykę popierania władz rumuńskich.

*Pyt.: Jaka jest, Pańskim zdaniem, przyczyna polityki Zachodu wobec Rumunii? Przecież nie może nią być wiara w to, że Ceausescu jest naprawdę niezależny od Moskwy.*

**M B:** Jestem gościem tego kraju, a goście nie wypada krytykować gospodarza, szczególnie tak wspaniałomyślnego jak Stany Zjednoczone. Napisałem na ten temat artykuł, który zostanie ogłoszony po angielsku. Wspominam w nim, że początkowo administracja Nixona usiłowała narobić Sowietom kłopotu przy pomocy Rumunii prowadzącej rzekomo niezależną politykę zagraniczną. Były szef rumuńskiej policji bezpieczeństwa, Mihai Pacepa, napisał jednak książkę - "Czerwone horyzonty" - w której przedstawił bliski związek Rumunii z ZSRR i ich współpracę w działalności wymierzonej w Zachód, a także stałe i bliskie kontakty wojskowe i gospodarcze. Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że Ceausescu - inaczej niż na przykład kierownictwo chińskie, szczerze pragnące reform - naprawdę wierzy w komunizm. We wszystkich poważniejszych konfliktach międzynarodowych Rumunia będzie zawsze trzymała z blokiem komunistycznym, czyli z ZSRR - Ceausescu wyraźnie to mówi. We wszystkich zasadniczych kwestiach politycznych na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat Rumunia brała stronę Sowietów lub antyzachodnich ruchów w Trzecim Świecie. Aż trudno uwierzyć, że Departament Stanu tego nie zauważył. Ale równie trudno jest walczyć z inercją w polityce, a poza tym mogą być jeszcze jakieś inne powody nieznanne opinii publicznej. Wydaje się, że ambasador Funderburk wie coś, czego my nie wiemy, choć jego sprawie nadano chyba trochę przesadny rozgłos, bo on najwyraźniej sądzi, że Departament Stanu okazywał życzliwość Rumunii wskutek jakiegoś spisku komunistycznego. Uważam, że polityka amerykańska wobec Rumunii jest w istocie dającą się zrozumieć próbą połączenia diagnozy z terapią. Mam nadzieję, że dziś wszyscy w Stanach Zjednoczonych wiedzą już, na czym polega choroba rumuńska, a różnice pomiędzy, powiedzmy, Departamentem Stanu a Kongresem sprowadzają się do proponowanych metod leczenia. Podam przykład tego, co mnie zastanawia w polityce amerykańskiej. W Waszyngtonie istnieje tradycja, że jeśli w jakimś kraju doszło do pogwałcenia praw człowieka, a zwłaszcza do masowych wystąpień, rzecznik rządu wyraża z tego powodu ubolewanie i nadzieję na znalezienie pokojowego rozwiązania zaistniałego konfliktu itp. Dziwne, że tak się nie stało w odniesieniu do wydarzeń w Braszowie. W wypadku Filipin czy Haiti Stany Zjednoczone nie interweniują bezpośrednio, ale uważnie obserwują rozwój wydarzeń, w wypadku Rumunii nie uczyniły nawet tego. Z moralnego punktu widzenia jest rzeczą nieodzowną wyrażenie poparcia dla ryzykujących własnym życiem robotników i łatwo mogą sobie wyobrazić, jak bardzo ucieszyliby się Rumuni z tego rodzaju oświadczenia. Tymczasem Departament Stanu stwierdził, że "nadadł sytuację i nie może jeszcze wydać oświadczenia". W chwili obecnej polityka amerykańska wywołuje silne nastroje antyamerykańskie - i w ogóle antyzachodnie - wśród Rumunów. Mnóstwo ludzi uważa, że jakkolwiek Zachód jest w porządku, to jednak troszczy się wyłącznie o siebie, a jego mieszkańcy igrają życiem Rumunów. Kraju u nas w tej chwili powiedzenie, że Zachód będzie zwalczał komunizm aż do ostatniego wschodnioeuropejskiego dysydenta. Powszechne jest mniemanie, że zmuszono nas do życia w komunizmie i że nie da się tego uniknąć. Nie możemy jednak zrozumieć dlaczego po ponad 40 latach strachu i rozpaczy stosunki między Zachodem a naszymi prześladowcami układają się tak, jakby się nic nie stało. Przecież Zachodu nic nie zmusza do tego rodzaju postępowania. Można na to odpowiedzieć, że kraje demokratyczne są cyniczne,



uważają nas za podludzi, których wykorzystuje się we własnym interesie. Z takiego myślenia łatwo wyprowadzić wniosek, że może Rosjanie byliby lepsi. Rosjanie naturalnie są historycznym "wrogiem", a zwykli ludzie nigdy nie przestali tak sądzić. Technokracyzm Gorbaczowa sprawia jednak wrażenie czegoś bardziej atrakcyjnego i demokratycznego niż demokracja zachodnia, która obchodzi się z nami tak fatalnie. Głośność i pieriestrojka są o wiele popularniejsze niż odległa i nieznama demokracja typu zachodniego. To jest prawdziwa tragedia...

Pyt.: *W piśmie francuskim poświęconym Europie Wschodniej, "La Nouvelle Alternative", pewien anonimowy autor wywodzi, że reżim Ceausescu jest nie tyle dyktaturą komunistyczną, ile raczej nacjonalistyczną, opartą na kulcie jednostki i ksenofobii. Pan uważa inaczej, bo twierdzi Pan, że Ceausescu to jeden z najautentyczniejszych wyznawców komunizmu...*

M B: Jest coś na rzeczy. Rumunia stanowi być może najbardziej udany przykład eksperymentu z komunizmem narodowym będącym osobliwym mariażem nacjonalizmu z komunizmem. Moje wytłumaczenie jest proste. W obecnym okresie nacjonałiści opowiedzieli się za komunizmem w oparciu o następujące rozumowanie: Rumuni uważają, że w Europie Wschodniej nie istnieje konkurencyjne wyjście wobec komunizmu, w związku z czym akceptacja rządów komunistycznych jest akceptacją tożsamości narodowej. /.../ Ceausescu rozumie, że nacjonalizm daje pewne rezultaty i pamięta, że Stalin skorzystał z tego, by skupić wokół siebie Rosjan w latach drugiej wojny światowej. Ale ten narodowy komunizm nie jest mniej komunistyczny ani mniej totalitarny, a mimo to nikt nie obciąża go błędami Stalina czy innymi pomyłkami lub zbrodniami z przeszłości. Tego komunizmu Zachód nie atakuje, nie podlega on też manipulacjom Moskwy. Stwarza on idealne ramy dla dyktatury nad narodem, zwłaszcza niewielkim. Historycznymi poprzednikami Ceausescu nie są zaś komuniści z lat 30., ale rumuńscy królowie. Dokonał on reinterpretacji historii i odniósł sukces w dziedzinie, w której kto inny poniósł porażkę: przekonał Zachód, że choć jest władcą komunistycznym, wyraża jednak w sposób autentyczny wolę narodu rumuńskiego. Tak więc nie wydaje mi się, żeby istniała duża różnica między dyktaturą komunistyczną a dyktaturą narodową. W tym przypadku jest ona wciąż totalitarna. /.../

Z angielskiego przełożył ADAM WAKSMAN

# OMÓWIENIA

BRONISŁAW WILDSTEIN

## Kłęska myślenia

Przed kilku miesiącami ukazała się we Francji książka młodego filozofa Alaina Finkielkrauta "La défaite de la pensée" - Kłęska myśli.\* Esej ten śmiało zaklasyfikować można do współczesnej myśli katastroficznej, która wieszczy zmierzch kultury zachodniej, a w konsekwencji upadek Zachodu. Już od początku XX wieku szkiełkowano z wielkim rozmiarem widno kłęski opadające na kontynent europejski: Oswald Spengler, José Ortega y Gasset czy na mniejszą skalę Julien Benda, wskazywali na mniej lub bardziej nieunikloną katastrofę, która dotknąć miała świat Zachodu. O kryzysie kultury pisali: Paul Valéry, Hannah Arendt, Leo Strauss i wielu innych.

Współcześnie wizja upadku naszej kultury zesza już pod strzechy. Jesienią 87 roku największy niebeletrystyczny bestseller w USA to "The closing of american mind" - Zamknięcie się amerykańskiego umysłu, książka analizująca zaskakujące zmiany w świadomości młodych Amerykanów na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat i ze zmian tych wyciągająca bardzo niewesołe wnioski.

Publikacje poruszające ten temat analizować można z dwóch stron. Po pierwsze wskazują one realne zagrożenia jakie pojawiają się wobec świata Zachodu, wyolbrzymiając je, wyodrębiając ze struktury zjawisk, czyniąc dominantą naszej rzeczywistości, uwracając na odbiorców, a tym samym pozwalają się im przeciwstawić. Z drugiej strony publikacje na ten temat są także częścią kultury Zachodu i stanowią o jej samoświadomości.

Alain Finkielkraut unikając mielizn dziennikarskiego podejścia ukazuje załamanie się uniwersalizmu, który stanowił według niego zasadę racjonalnej kultury europejskiej.

Hierarchia i porządek racjonalnych wartości pozwalają analizować świat, oceniać go i dokonywać w nim wyborów. Robić użytek z wolności, która ma sens w sytuacji istnienia racjonalnych, a więc uniwersalnych kryteriów. Racjonalna analiza rzeczywistości pozwala człowiekowi przekraczać przyrodzony mu status, rozum pozwala mu na emancypację, na uwolnienie się z przesądów, schematów myślowych i tradycyjnych formuł ujmujących świat w nieruchome kształty. Cywilizacja europejska powstawała poprzez fazy stopniowego przekraczania kolejnych tradycyjnych uwarunkowań: przekraczała więzi klanowe, prawo krwi i zasadę autorytetu krępującą myśl. Tworzyła się jako zespół uniwersalnych kategorii opartych na rozumie, a więc dostępnych wszystkim, gdyż wszyscy mogą posługiwać się rozumem.

\* Alain Finkielkraut, La défaite de la pensée, Gallimard, Paris 1987

Zwieńczeniem tej ewolucji było oświecenie, które świadomie kwestionowało wszelkie naturalnie powstałe wspólnoty ludzkie, w tym również naród. Człowiek jako istota wolna i świadoma, sam w sposób nieskrępowany miał tworzyć swój świat: miał być podmiotem. Kategorie rozumu miały być uniwersalne, co miało powodować, że ludzie stać się mieli rzeczywiście bliźniemi.

W momencie kiedy tendencja ta uzyskała dojrzałą formę u encyklopedystów we Francji, w 1774 roku Herder publikuje "Inną filozofię historii", która uderza w samą zasadę myślenia oświeceniowego. Wedle Herdera nie istnieją wartości uniwersalne, a człowiekiem nie jest podmiotem. Podmiotem jest duch narodu, był kolektywny, który tylko posługuje się uformowanymi przez siebie bez reszty jednostkami. Swoją teorię tworzyli Herder w opozycji do myśli oświeceniowej, będącej dla niego charakterystyczną emanacją imperialnej duszy francuskiej, chcącej idee swe narzucić całemu światu. Teksty Herdera były obroną niemieckości przed dominującą wówczas kulturą francuską, tak jak cały romantyzm niemiecki, który fundament swój uzyskał w czasie wojen napoleońskich.

Wyobrażenie kultury jako emanacji nieredukowalnego podmiotu jakim jest dusza narodu zdominowało romantyzm. To romantyzm właśnie dał początek nowoczesnym nacjonalizmom. Wzbierające w siłę w XIX wieku nacjonalizmy zaprzeczyły uniwersalizmowi. Naturalistyczna metaforyka romantyzmu /gleba, korzenie, proces wzrastania itd./ była wprost stworzona dla koncepcji determinizmu biologicznego bujnie wzrastającego na glebie teorii Darwina. Nie ma miar uniwersalnych, etyka oparta być może wyłącznie o kryterium dobra określonego narodu, a człowiek jest tylko narodu tego funkcją i elementem. Nie ma więc najmniejszego powodu, aby kogoś spoza swojego narodu traktować lepiej niż zwierzę. Konflikt kończy się walką, w której zwycięża silniejszy. Nie istnieją żadna racja, dla której silniejszy nie miałby rozwijać się kosztem słabszego, a istnieją wręcz racje przeciwne. Nacjonalistyczne koncepcje stworzyły czasy wielkich wojen totalnych.

Oświecenie popełniło błąd woluntaryzmu destylując człowieka z wszystkich jego naturalnych więzi i czyniąc z niego byt nieco abstrakcyjny; romantycyzy nacjonalizm negował realność człowieka, realny byt przypisując jedynie narodom. Joseph de Maistre pisał, że spotykał wyłącznie Francuzów, Anglików, Niemców, ale nigdy człowieka. Odpowiedzieć mu można zgodnie z Kotłakowskim, że spotkał wyłącznie Duponta, Smitna czy Schmidta. Wolfgang Goethe uniknął oświeceniowego błędu formułując myśl, że to kultura jest miejscem, gdzie człowiek przekroczyć może swoje uwarunkowania. Kultura jest obszarem miar uniwersalnych. Finkelkraut powiedział, że kultura jest dziedziną rozumu, który jako kategoria uniwersalna przekroczyć potrafi wszelkie partykularyzmy.

Ale pojęcie kultury zasadniczo zmieniło swoje znaczenie w wieku XX i stało się kolejno jednym ze źródeł chaosu świata współczesnego. Historia ta ma swój początek w kolonializmie, który był uzurpacją opartą na poczuciu racjonalności własnej kultury i wywodzącym się z tego przekonaniu o jej bezwzględnej mocy. Kulturę tę miało zanieść się nieświadomym jej jeszcze naszym młodszym braciom-dzikusom.

Kolonializm zakończył się klęską podwójną. Nie tylko okazało się, że rzeczywistość kolonii zaprzecza wartościom, które leżały u podstaw działalności kolonizacyjnej, nie tylko Europejczycy musieli się ze swoich zamorskich posiadłości wycofać, ale dodatkowo jeszcze bunt przeciw kolonizatorom zrodził antyeuropejskie i antyuniwersalistyczne ideologie, które zdominowały Trzeci Świat. Bunt przeciwko Europie przeprowadzono w imię zniewolonych narodów i uciśnionych kultur tubylczych; w imię wspólnoty przeciw zrodzonemu w kulturze Zachodu indywidualizmowi.

Indywidualizm jest podstawą uniwersalizmu. Uznanie indywidualu za świadomy podmiot, który jest w stanie decydować o swoim losie, przekracza zbiorowe determinizmy i nie może zostać zredukowany do żadnej nadrzędnej wobec niego struktury, stwarza możliwość ustanowienia dla ludzi wspólnych miar. Ten indywidualizm, a konsekwentnie i uniwersalizm, zanegowany został przez ideologie dekolonizacyjne. Oto fragment z książki Franza Fanona "Wyklęty lud ziemi", jednej ze sztandarowych pozycji tego ruchu:

*"Skolonizowany intelektualista dowiedziać się od swoich nauczycieli, że jednostka powinna afirmować samą siebie. Burząca kolonialna systematyka nie wbiła do głowy mieszkańcom kolonii obraz społeczeństwa złożonego z jednostek, w którym każdy zamyka się w swoim subiektywnym świecie, a jedynym bogactwem jest bogactwo myśli. Skolonizowany, który w czasie walki o wyzwolenie będzie miał szczęście wnieść się w lud, szybko odkryje, że teoria ta jest fałszywa."*

Podmiotem tych ruchów miała być wspólnota połączona jednym interesem, reprezentująca monolityczną kulturę, tożsamą postawę, wspólne namiętności. Jednostka winna być tylko

elementem tego zbiorowego ciała. Jest przecież tylko kartą zapisywaną przez ducha wspólnoty. W ideologiach dekolonizacyjnych widzimy uderzające podobieństwo do nacjonalistycznych ideologii europejskich. W takim ujęciu, politycznym wcieleniem narodu staje się partia prowadząca naród do waldy, a potem tworząca monopartyjne państwo. Nic więc dziwnego, że po wywołaniu w ogromnej większości dawnych kolonii powstały paratotalitarne twory, gdzie metody sprawowania władzy zapożyczane są od komunistów.

Ale to już praktyka polityczna, którą Finkelkraut nie zajmuje się. Przedstawia on natomiast narodziny ideologii dekolonizacyjnej, której ośrodkiem było UNESCO. W ferworze walki, jaką instytucja ta prowadziła z rasizmem i dominacją europejską, zakwestionowane zostały jakiegokolwiek uniwersalne kryteria wartości i jakiegokolwiek wartości tych hierarchia. W tej destrukcyjnej działalności przodowała humanistyczna nauka francuska.

W 1951 roku Claude Lévi-Strauss na zamówienie UNESCO napisał tekst "Rasa i historia". Negując wszelkie możliwości rasowych determinizmów, wskazuje on geograficzno-historyczne uwarunkowanie kultur i jednoznacznie przeciwstawia się jakiegokolwiek możliwości ich porównywania i hierarchizacji, w efekcie przeciwstawia się możliwości ich wartościowania. Ludzkość nie ma jednego celu ani jednej drogi rozwoju, a człowiek zdeterminowany jest bez reszty kulturą, do której przynależy.

Antropologiczna formuła Lévi-Straussa przeniesiona została również w dziedzinie historii: tak jak kultury stanowią nieprzepuszczalne monady zamykające swoich uczestników i uniemożliwiającej zewnętrzną ocenę, tak i poszczególne epoki tworzą zamknięte całości, których nie jesteśmy w stanie ani w prawie sądzić. Żarliwym rzecznikiem tej koncepcji był Michel Foucault. Zresztą sformułował on tęzę dziwnie pokrewną klasycznym koncepcjom nacjonalistycznym: nie myślimy, jesteśmy myśleni.

Zostało zerwane continuum nie tylko przestrzenne, ale i czasowe. Człowiek stał się więźniem miejsca i czasu. Z europejskiego punktu widzenia ksenofobię zastąpiła ksenofilia, ale konsekwencje pozostają prawie te same. Z zajądłej obrony tego, co własne, przeczuciu się na obronę tego, co obce; w imię obrony pokrzywdzonych uśmiercono wartości uniwersalne; w imię obrony praw narodów przekreślono prawa człowieka.

Punktem dościsła tej tendencji są postanowienia UNESCO na temat Nowego Światowego ładu Informacji i Komunikacji (NOMIC). W jak zawsze tej samej sprawie retorycznej walki z rasizmem, apartheidem i wojną UNESCO postuluje ograniczenie swobodnego przepływu informacji, oczywiście pod hasłem ograniczenia monopolu wielkich agencji informacyjnych. Dziennikarz podporządkowany zostaje kulturze, do jakiej przynależy; dziennikarz zachodni musi być "ex definitione" rzecznikiem tzw. kulturowego imperializmu Zachodu.

UNESCO zrodzone pod hasłem walki z rasizmem i nacjonalizmem przejęło dokładnie kryteria swoich przeciwników, to że nacjonalizm trzeciociświatowy nie odwołuje się do kryteriów rasowych, ale kulturowych, jest tylko powrotem do źródła. Oto jak opisuje zasadę poglądowną UNESCO Finkelkraut: *".../ dialog jest przywoływany tam w imię religii różnic, która wyklucza go absolutnie; indywidualizm unicestwia się tam w imię wolności, a standard humanizmu i kultury służy dzieleniu ludzkości na kolektywne całości, nieprzekraczalne i nieredukowalne."*

W Europie postkolonialnej, wzywającej do emancypacji i równouprawnienia wszystkich kultur, człowiek stał się wyłącznie reprezentantem wspólnoty określonej kulturowo. Wszelkie prawa człowieka zastąpiono według formuły Finkelkrauta prawem do własnej liberii czyli prawem do służenia: swojej kulturze, swojemu narodowi itd. Dyskusja na temat imigracji we Francji dziś, sprowadza się do rozważania możliwości wielokulturowości, prawa imigrantów do zachowania własnej nienaruszonej kultury na terenie nowego kraju, jakby emigrowali nie ludzie, a segmenty kultury.

Kultura, która znaczyła kiedyś najwyższe osiągnięcia człowieka we wszelkich dziedzinach, materializując wartości, dziś znaczyć zaczęła reguły funkcjonowania każdej grupy społecznej. Mówi się o kulturze marginesu społecznego, przedmieścia, kulturze młodzieżowej, kulturze rocka itd. Społeczeństwo rozsypuje się na szereg obcych sobie całościek niemożliwych do oceny i porównania. Jakiegokolwiek próba przywołania uniwersalnych kategorii spotyka się z masowym protestem w imię tolerancji. W ten sposób tolerancja broniąca praw człowieka i jego integralności stała się narzędziem jego eliminacji, bronią barbarzyńców tolerancję właśnie depczących.

Abymy przeciwstawić się zagrożeniu, trzeba je na początku rozpoznać. "Kłeska myśli" jest elementem samowiedzy współczesnego Zachodu. Finkelkrauta zaliczyć można do grupki wywodzących się ze środowisk lewicowych francuskich intelektualistów, którzy potrafili

zakwestionować prawie wszystkie mity królujące w ich środowisku i stanąć w obronie kultury Zachodu i jej uniwersalnych wartości. Głos ich, w każdym razie we Francji, słyszany jest coraz wyraźniej i sam ten fakt napawać może optymizmem.

BRONISŁAW WILDSTEIN

SZYMON DAWIDOWICZ

## Zrozumieć stalinizm

Historia w kraju komunistycznym nigdy nie jest tylko historią. \*Jak to ujął Orwell: "Kto kontroluje przeszłość kontroluje przyszłość, a kto kontroluje teraźniejszość kontroluje przeszłość." Nigdzie sytuacja ta nie jest równie widoczna, jak w Związku Radzieckim. Wszystkie zmiany odbijają się równocześnie w podejściu do historii. Sposób ujęcia historii świadczy tam jak nigdzie indziej o sytuacji bieżącej.

Obszerny artykuł Ewy Bernard-Zarzyckiej opublikowany w czerwowym numerze miesięcznika "Esprit" nosi tytuł: "Historycy w poszukiwaniu przeszłości. Pieriestrojka i historia za czasów Gorbaczowa". Jednym z niezwykłych zjawisk krejów komunistycznych jest rehabilitacja dawnych przywódców, którzy popadli w niełaskę i zostali skazani. W Związku Radzieckim dotyczy to w głównej mierze komunistów, ofiar Stalina. Pamięto oczekiwać, w okresie pieriestrojki jak dotąd nie zrehabilitowano wszystkich twórców rewolucji, a w pierwszym rządzie Trockiego. Ale rehabilitacja postaci takich jak Bucharin czy Rykow wykacza poza przywrócenie dobrego imienia ludziom, którzy zostali go pozbawieni i zamordowani. Bucharin był rzecznikiem i obrońcą chłopstwa w latach 1925-29. Był przeciwnikiem kolektywizacji. Jego rehabilitacja uaktualnia znowu tamte wydarzenia i ich polityczne konsekwencje. Szczególnie, że punktem odniesienia dla Gorbaczowa jest NEP, czyli okres częściowego równoprawnienia prywatnej przedsiębiorczości w latach 20.

Historia Związku Radzieckiego to historia komunizmu. Jej wynikiem jest taki a nie inny stan Związku Radzieckiego dziś. Rewizja apologetycznego obrazu przeszłości Kraju Rad jest równocześnie w mniejszym lub większym stopniu postawieniem pod znakiem zapytania polityczno-społecznego modelu realizowanego w tym kraju obecnie, a nawet w pewnym sensie zakwestionowaniem komunizmu. Wiedzą o tym rzecznicy pieriestrojki. W efekcie historia staje się polem walki dogmatycznych konserwatystów i krytycznych reformistów. Nie znaczy to, iżby zasadą gorbaczowowskiej polityki w sferze historii była cała prawda. Oczekiwania Gorbaczowa spełnia idealnie jego dworski dramaturg Michaił Szatrow, którego sztuki są historycznymi ilustracjami rewolucji i okresu bezpośrednio po niej następującego jeszcze za życia Lenina. Historyczne postacie w nich występujące mają jednoznaczne charakterystyki i znaki wartości. Lenin jest oczywiście świętym, Bucharin jego wymarzoną następcą bez wad; wcieloną bebezpretensjonalną i skromną doskonałością jest Dzierżyński, natomiast krwawym intrygantem jest Trocki, a Stalin osobnikiem brutalnym i ograniczonym. Demonstrując biografie i postawy swoich bohaterów ukazuje Szatrow tylko te fakty, które są mu wygodne w takim, a nie innym ich przedstawianiu. Manipuluje on również prawdziwymi wypowiedziami postaci historycznych dowolnie je skracając, komponując, a czasami wręcz przeinaczając. Co znamienne, Szatrow odwołuje się wielokrotnie do dokumentów, które nie zostały dotąd opublikowane w Związku Radzieckim i do faktów, które oficjalna historia ciągle jeszcze pomija milczeniem.

Najbardziej radykalny z wszystkich oficjalnych rzeczników pieriestrojki pomiędzy historykami - Jurij Afanasjew, który w roku 1986 mianowany został rektorem Instytutu Archi-

\* Ewa Bernard-Zarzycka, Des historiens en quête d'un passé: perestroïka sous Gorbachev, Esprit, no 6/1988

wów Historycznych w Moskwie, wygłosił znaczące zdanie: "Jeśli chodzi o naszą profesję to pieriestrojki mamy jeszcze przed sobą". W wykładzie wygłoszonym w styczniu bieżącego roku powiedział on: *"W ostatnich czasach uczestniczymy w zdumiewającym zabiegu, który polega na próbie stworzenia dziwnaczej wzięci-hybrydy. Z jednej strony uznaje się fakt masowych represji i sbrodni, a z drugiej podkreśla radości i osiągnięcia, które w tym samym czasie rozjaśniały życie codzienne. I dorzuca się, że nie powinniśmy w żadnym wypadku płacić naszej, pełnej chwały, przeszłości".* Sprzeczność, o której mówi Afanasjew, jest dość fundamentalnej natury. Jak obronił system, którego cała historia rozwoju jest jedną wielką pomyłką?

Historia w Związku Radzieckim zawsze traktowana była jako część ideologii i teraz również trudno jej się przełstoczyć w naukę. Dziś nadal Wydział Historii w Akademii Nauk ma opinię najbardziej konserwatywnego w całej tej instytucji. Na sytuację tę nakładają się jeszcze inne czynniki. Niedostępne archiwa i powszechny brak metodologii, która pozwoliłaby opisać zjawiska poza ich ideologiczną wykładnią. W dyskusji na łamach pisma "Komunist" historyk Kozłow stwierdził, że w jego środowisku profesjonalnym ciagle panuje obyczaj czekania na dyrektywy i instrukcje, które określili mają granice dozwolonego. Pojawiają się jednak próby przewyciężenia impasu. We wspomnianym już Instytucie Archiwów Historycznych w Moskwie, studenci sformowali właśnie grupę pracy nad pamięcią przekazywaną ustnie.

Nic dziwnego, że na miejsce pozostawione przez historię wkracza literatura, której zawsze jako nieco nieodpowiedzialnej wolno było trochę więcej. W efekcie prawie cała proza i wielka część poezji opublikowanej pod wezwaniem pieriestrojki stanowi literaturę historyczną. Z jednej strony jest to wielka literatura powstała jakis czas temu, a która mogła ukazać się dopiero teraz, jak "Doktor Żywego" Pasternaka, "Życie i losy" Grossmana, niektóre kołmyskie opowiadania Ształomowa, opowiadania Piatonowa czy dopiero mająca się ukazać książka Lidii Czukowskiej "Opuszczony dom". Z drugiej strony literatura pisana i publikowana właśnie teraz, jak np. "Dzieci Arbatu" Rybakowa - autobiograficzna powieść poświęcona procesom stalinowskim; również tych czasów dotyczy nowa powieść Beka pt. "Nowa nominacja". Procesom lekarzy w tym okresie poświęcona jest powieść Dudincewa "Ludzie w bieli", a przesiedleniom ludności Krymu i Kaukazu - powieść Pristawkina "Nowocwała chmurka ziota".

Deformacja historii w Związku Radzieckim, jak wiemy to również z naszych polskich doświadczeń, wykracza poza historię najnowszą. Ale tam, gdzie usiłuje się zniszczyć świadomość historyczną, rośnie głód wiedzy historycznej, o czym właśnie wiedzą Polacy.

Świadczy o tym popularność pierwszych w Związku Radzieckim reedycji wielkich historyków rosyjskich XVIII i XIX wieku: Karamzina, Kłinczewskiego i Sołowjowa. Na przykład pismo "Moskwa", które przedrukowuje sukcesywnie dzieło Karamzina, zwiększyło dwukrotnie swój nakład. Znamienne zresztą, że właśnie ci historycy, których umownie zaliczyć można do słowianofilskiej, a więc w pewnym sensie nacjonalistycznej, tradycji historiografii rosyjskiej znajdują tak wielką popularność. Również w tym nurcie mieści się rocznie wydana przez czytelników drugorzędna literatura historyczna opisująca dzieje Rosji.

Dwa tematy literatury dotyczącej historii najnowszej wzbudzają szczególnie ożywione reakcje: kolektywizacja i druga wojna światowa. Wojna ta, idealizowana, wychwalana i uniesmiertelniana przez literaturę, stała się rodzajem fundamentalnego mitu radzieckiego społeczeństwa. Z braku innych sukcesów zawsze mogło odwołać się ono do dwudziestu milionów ofiar na polach bitewnych w obronie ludzkości przed nazistowskim wrogiem. Dlatego wszystkie próby podważenia tego mitu trafiają na szeroki opór, co widać choćby w masowych listach do redakcji.

Jeśli chodzi o kolektywizację, to już literatura nurtu wiejskiego, ciesząca się relatywnie największą wolnością w okresie breżniewowskim, ukazywała jej przerażające konsekwencje. W literaturze dzisiejszej jest to stale obecny temat, podczas kiedy oficjalna historia radziecka milczy o tym ciagle. Jednak wizja wyłaniająca się z literatury nurtu wiejskiego może niepokoić. Jest to skrajnie nacjonalistyczny obraz, w którym wszystkie nieszczęścia narodu rosyjskiego zawinione są przez obcych. Kolektywizacja, którą rozumieć można w literaturze tej szerzej - jako rewolucję, jest po prostu najazdem. Wykorzystując naturalną ufnosć i dobroć ludu rosyjskiego obcy podbijają wieś. Łączą oni w sobie kilka podstawowych cech znamionujących obcość: są komunistami, inteligentami /co w tym obrazie oznacza po prostu nicponi/, mieszkańcami miast, a wreszcie obcy rasowo żydami. Wszystkie pokolektywizacyjne zbrodnie Stalina nie mają w tej interpretacji żadnego znaczenia. To po prostu rozgrywki obcych między sobą. Najnowsze dzieje Rosji rozpadają

się na dwa zupełnie niezależne nurty: historię naszą i historię ich. To w tej sytuacji zmistyfikowania przeszłości mogło narodzić się skrajnie nacjonalistyczne Stowarzyszenie Pamięć. Opiera się ono na najbardziej elementarnych odruchach obronnych. Aby oczyścić wspólnotę od winy, należy obciążyć nią innych. Obcych. Jest to bardzo kuszący wariant rozprawienia się z brzemieniem niedawnej stalinowskiej tragedii.

Historycy prawie nie uczestniczą w dyskusji, która rozgrywa się dzisiaj w Związku Radzieckim na temat fenomenu stalinizmu. A dyskusja to podstawowa, bowiem dotyczy ona samej zasady komunizmu. W najbliższym czasie ma się ukazać biografia polityczna Stalina pt.: "Zwycięstwo tragedii" pióra filozofa Wolkogonowa. Znana jest ona z fragmentów i obszernego streszczenia. Otóż stalinizm jawi się tam jako wynik psychopatii przywódcy. Jak pisze Afanasjew, jest to próba pozbycia się Stalina dla uratowania stalinizmu. Ekonomista Popow próbuje naszkicować weberowski typ idealny "systemu administracyjnego", który stworzony został w Związku Radzieckim na początku lat trzydziestych. Według niego Stalin optymalnie spełniał rolę przywódcy takiego systemu, w którym niezbędna komponentą był strach. Pisze Popow: *"Wierzyliśmy, że likwidując kult jednostki pozbędziemy się wszystkich problemów. Teraz wiemy już, że to nieprawda. /.../ Wszystkie nasze propozycje odnowy w latach 1956-65 opierały się na przekonaniu, że można zreformować system. Ale system się obronił i oparł wszystkim próbom reformy. Co więcej, skonsolidował się i zwyciężył?".* Dostyc wyjątkowa postać w swoim środowisku, nonkonformistyczny historyk Getter napisał jeszcze w 1987 roku: *"Jeśli chcemy przeżyć, musimy zobaczyć Stalina między nami, musimy zacząć mu mówić i pokazać go milionom ludzi od najlepiej wykształconych do półanalfabetów. Nie ma nic bardziej szubnego niż trzymać się w tej dziedzinie dziennikarskich banatów".*

Filozof Kliamkin przejął koncepcję "systemu administracyjnego" Popowa i postawił pytanie: jakie siły społeczne zapewniły mu zwycięstwo? Według Kliamkina było to chłopstwo. Pierwszą fazą instalacji systemu była, jego zdaniem, kolektywizacja, a powiodła się ona, gdyż opierała się na preburżuazyjnej, kolektywistycznej mentalności wsi. Pierwotnie udało się rozbudzić niechęć mas chłopskich przeciwko jednostkom przedsiębiorczym i bogatszym tzw. kulakom, a potem można było sukcesywnie niszczyć wieś, która zamykała się w granicach swoich maleńkich wspólnot. Masy chłopstwa stanowiły kadry nowego reżimu. W "okcydentalistycznym" nurcie myślenia, który reprezentuje również Kliamkin, po raz pierwszy w dziejach myśli radzieckiej pojawia się indeterminizm. Historyk Wołobujow rozważa inne warianty rozwoju wydarzeń w roku 1917 i pokazuje w efekcie, że wybór socjalizmu nie był podyktowany żadną historyczną koniecznością. Wybitny historyk średniowiecza Gurewicz stwierdził w dyskusji opublikowanej w br. w "Junosti": *"Musimy przedstawić historię jako przejaw indywidualnej woli człowieka, musimy pokazać, iż zawsze istnieje wybór, zawsze istnieją alternatywy".*

Dyskusję na temat stalinizmu podsumował cytowany już wielokrotnie rektor Instytutu Archiwów Historycznych - Jurij Afanasjew mówiąc: *"Jeśli chcemy rzeczywiście zmienić nasze społeczeństwo musimy zrozumieć zjawisko społeczno-ekonomiczno-polityczne zwane stalinizmem. Albowiem mentalność i stalinowski sposób życia są nie do pogodzenia ze światem współczesnym. Kulturować je znaczyłoby pogrzebać się coraz głębiej w zamroznym upadku. A upadek ten nie ograniczałby się tylko do nas, w sposób nieunikniony pociągnęlibyśmy za sobą w przepaść cały świat".*

S Z Y M O N   D A W I D O W I C Z

# Powiośnie

/fragment/

Jest. Albo nie. Albo trochę. Może. Mo-że. Przez "z" z kropką. Nie: mo-rz-e, Morze to woda. Słona. Rzygać się chce. Rzygać się chce. Po niej. Po wodce. Jak wypitem pół szklanki, ścieto mnie. Na miejscu. Myśleli, że umarłem. Jak Boga Kocham. Śmierć kliniczna. Kurwa, ale sielciera. Szkoła zdrowia. Grunt, żebyśmy zdrowi byli. Lepiej już ajerkoniak. To taki pies. Też. Jajnik. Jakby nam dmuchali glistę i kazali jej szczekać. Ha, ha. Jego starzy musieli wyglądać w trakcie jak zwój kiełbasy. Takie jest życie, psiakrew. Hm. Różne monstra chodzą po świecie. Np. moja była nauczycielka od rosyjskiego. Jezu. To najlepszy środek antykoncepcyjny w Układzie Słonecznym. Osiągnięcie systemu socjalistycznego. Baba jak smok. Jej mąż musi być zoofilem. Albo pedałem. Tertium non datur. Kurwa. Ale nudy. Za bardzo przeklinam. Schamałem.

A teraz jest rano. Siedzę. Siedzę. Kurwa. Schamałem. Jak tu nie schamieć. PRL. Siódma rano. Zima. Zima, kurwa, człowiek łaży po kostki w błocie. W powietrzu lody kakaowe. Zmieszane z gównem. Jadę dziś autobusem. Na gapę. A jak. He, he. Już kawał życia tak jeżdżę. Do nieba wejść na gapę. I jeszcze wpuszczę znajomych. Do kłna. Wszędzie. Nie ma się co sentymentić. Trzeba dawać w dupę temu państwu. Bagno pierdolone. Zmora sowiecka. Mózgi na kartki. Czuj, czuj, czuwaj. Wkurzyłem się, nie ma co. Skurwysyni. Kastraci. Czerwone pedaty. Cloty Lenina. Czerwonka. Międzynarodowa biegunka. Szraczka proletariacka. O Jezu. Dno. Dobrze, że wódka jest tania. Dolar dziesięć w pewexie. Trzy kafeł. Na czym to ja skończymy? Dno, kurwa. Jadę autobusem. Syf w atmosferze. Człowiek rocznie połyka tyle gnoju, że jak go zżądą do woja, zostanie ołowianym żołnierzkiem. Ptaki znoszą jajka z ołowiu. W skorupkach z dwutlenku siarki. Ptakom też się coś przesuwało pod sufitem. Komunizm, kurwa. Łabędzie pływają po Wiśle. Kumpel wleciał kiedyś do Wisły. W drugiej klasie liceum. Do natury przynosił zwolnienia od dermatologa. No, kumpi! to ja miałem nieźle rąbniętych. Taki Władziu Szwed. Czterdzięci pał na semestr. Biedne dziecko. Zakochał się w panience z IV b. Ukradł jej sznurówki. Przed wfi-em. Zjadł jedną. Chciał zjeść dwie. Porzygał pół korytarza. Haftował jak nawiedzony. Boże. Rekordzista. Dlaczego sznurówki? Mógł zjeść jej rower. I kazał jeździć na sobie, he, he. Różne są zboczenia. Braterstwo sznurówek. Sznurówki wszystkich krajów łączcie się. Pieprzy mi się. No, ale dość. Ład mi się chce.

Wróciłem. Dobrze się jest wylać. Życie jest piękne, kurczę. Dobrze jest mieć się czym wylać. Nieźle pomyślane. Człowiek stoi i widzi jak uchodzi z niego dusza. Kobiety mają gorzej. Nieestetycznie. No, ale za to, co tu dużo gadać. Jadę tym pieprzonym autobusem i wciągam to zasyfione powietrze. Walka klas, kurwa. Wszyscy podychają. Pierwsi robotnicy. Nie mają forsę na filtry. Na nic nie mają forsę. Ciemnota francowata. Siedzę. Patrzę. Wchodzi baba. Pomarszczona. Napoleon z cycami. Po sześćdziesiątce. Patrzy. Stoi. Stoi, kurwa. Pomnik baby. Wstaje. Co zrobić. Tak mnie wychowali. Baba w dom, gość w dom. Siada. Siada. Siedzi. Dupa w niebiosach. Chętnie by pierdła. Ale nie może. To baba. Baba co pierdnie, pójdzie do piekła. Dziesiąty kraj. Niżej od zdrajców. A to jest święta baba. Joanna, kurwa, Dark. Po sześćdziesiątce. Bojownik, kurwa. O wolność. I demokrację. Za dużo kłnę. A może to naprawdę bojownik? Niech siedzi. Musiała być nieźłą szprychą. Teraz nikt jej nie rucha. Mądra baba, kurwa. Jak Sfinks. Niech siedzi. Mogę stać. Na palcach. Na piętach. Na wszystkich.

Jadę. Patrzę w szybę. Nowa Huta. Śliczne miasteczko. Kurwicy można dostać. Gość, który to wykombinował musiał przechodzić dur brzuszny. Z powikłaniami. Artysta szczęśliwy. Dajmy spokój. Znow się wkurzę. Mamut pierzony. Troglodyta marksistowski. Ech, góry, moje góry. Nieźle mi odbija. Nieraz jak zaczne to koniec. Na umór.

Wieczór. Okno. Księżyc. Niezła latarna. Siedzi Duduś na dachu i spogląda przez lupę. Wtem się Księżyc obrócił i pokazał mi. Dupę. Poezja. Cholera. Ciemno. Boże. Gdzie to się



podziewa.. To światło.

Rano. Dzień. Pościel. Jak niebo. Taka wyobraźnia. Chora, cholera. Obioki. Lecę sobie nad miasteczkiem niewidzialnym mym stateczkiem. Obok ptaszki szarobure wspólnie drażą w niebie dziurę. Nie wydrąży, nie wydrąży. Bo nie zdąży. Trzeba wstać. Mam stracha, psia-krew. Co to za cholerstwo? Jak się podniosę, to koniec. Okej. Ale wcześniej? Mokrutki jestem jak kurczakto. Nie podoba mi się to. Ti, ci, di... mać. Lepiej już wstać. Rymuję, psia-krew. Rej z Nagłowic.

PIOTR HESZEN

## TUMANY I FETYSZE:

KONRAD STRUGA

# Czerwony z orłem w koronie

Jako uczestnik opozycji konstruktywnej witam z nieklamany uznaniem kolejne gesty dobrej woli ze strony naszej władzy. Ostatnio postanowiła ona przywrócić do życia pewne postacie i wydarzenia historyczne drogie sercom Polaków. Nie nazywa się już więcej marszałka Piłsudskiego sługą klas posiadających odpowiedzialnym za faszycyzację życia publicznego w latach 20. i 30. Nareszcie - odetchnałem z ulgą. Wojsko Polskie /przedwojenne/ nie jest już ciemną narzędną tychże klas, a rogatywki zdobiją dziś skroń kompanii honorowej Wojska Polskiego /Ludowego/, chodzą zaś słuhy, że niebawem przywdzieje je - by jak najszybciej - karzące ramię klasy robotniczej: ZCZO. Popieram tę szlachetną ideę ze wszystkich sił. 11 Listopada pozwala się już nie tylko do woli czcić jako rocznicę niepodległości, ale nawet same władze uświetniają tę rocznicę swoją obecnością. Mało tego: inicjują szereg okolicznościowych imprez. Kazimierz Barcikowski, który był członkiem Biura Politycznego już w czasach Gierka, dziś kłóczy zamysłony przy trumnie Marszałka. Złośliwi dopatrują się w tym jakichś sprzeczności. Są w biedzie. Przeszłość nie może bowiem pętać współczesnych suwerennych decyzji. W końcu najważniejsza jest przecież szczerłość intencji.

Tak więc nareszcie po wielu latach strachu i niepewności, obchodzę narodowe rocznice w pełnym komforcie psychicznym. Moje przekonania, w które chwilami zaczynałem już wątpić, teraz zostały potwierdzone i dopełnione. Jest mi naprawdę bardzo przyjemnie.

Czytelniku, śpij spokojnie! ORMO /które czuwa/ na na czapkach OREA W KORONIE!

KONRAD STRUGA

